Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 41 (1385) ROK XXVII 13 PAŹDZIERNIKA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Innowacyjność gospodarki
■ Bitwa pod Gruszką
■ „Dama Kameliowa" i inne
■ Noc saksofonów
■ Poker z Hamletem

A ja jeszcze żyję...

Rozmowa z GRAŻYNĄ DŁUGOŁĘCKĄ.

Historia życiowa i zawodowa tej aktorki jest tragiczna i smutna. Mogłaby posłużyć za kanwę scenariusza filmu sensacyjnego lub łzawego melodramatu. Jest również przykładem jak można zniszczyć prawdziwy talent i ciekawego człowieka. A wszystko zdawało się zapowiadać na bajkę z tysiąca i jednej nocy, kiedy to Kopciuszek z ul. Tramwajowej w Łodzi dostał się po odwołaniu do ministra kultury i sztuki na Wydział Aktorski PWSFTviT, gdzie spotkał go na korytarzu słynny reżyser z Paryża i zaproponował główną rolę w skandalizującym filmie, przygotowywanym do nagrody na Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes. GRAŻYNA DŁUGOŁĘCKA weszła do historii filmu polskiego jako Ewa, bohaterka filmu Waleriana Borowczyka „Dzieje grzechu". I choć później zagrała 13 ról filmowych i telewizyjnych w obrazach polskich, jugosłowiańskim i czechosłowackim, to jednak nie zrobiła kariery prawdziwej gwiazdy filmowej, choć taką jej przepowiadano i ku której miała wszystkie atuty i szanse.

Po kilkuletniej nieobecności na ekranach pojawiła się w kinach i telewizji. I tak TVP przypomniała film „Dzieje grzechu", na premierę czeka film TV „Orinoko", a na ekranach kin możemy ją oglądać w „Bluszczu".

We wrześniu aktorka rozpoczyna próby do spektaklu pantomimicznego „Joanna d'Arc na nowo?", który w Szwecji realizuje amerykański reżyser.

Wywiad udzielony „Odgłosom" jest pierwszym prasowym wywiadem Grażyny Długołęckiej.

„Piękne dziewczęta na ekrany", pamiętą pani taki konkurs dla amatorek-aktorek? Nie brała pani w nim udziału?

O takim konkursie nie słyszałam, chyba był organizowany w Polsce bardzo dawno. Do filmu trafiłam jako studentka I roku łódzkiej PWSFTviT, zaangażowana przez reż. Janusza Majewskiego do filmu „Markheim" wg. noweli Edgara Poe, zrealizowanego na zamówienie telewizji RFN. Nie jestem aktorką-amatorką, choć wiem, że nie przypisuje mi się dyplomu i do dziś stawia przy nazwisku same kreski jak nieobecnej, niepracującej, nieżyjącej...

Może dlatego, że takie piękne dziewczęta jak pani rzadko bywają równie zdolne aktorsko i kto by je tam podejrzewał o studia i dyplomy. A propos urody — czy jako dzieci-

10

WACŁAW OPACKI

Zachodnioniemieckie niepokoje

(Korespondencja z Republiki Federalnej Niemiec)

Redaktor Schumann z radia bremeńskiego podsunął mi pomysł: pojechać do rodziny strajkującego robotnika i opisać dzień po dniu jej przeżycia.

Pomysł znakomity, niezbyt trudny do zrealizowania. Ale jego radiowa koleżanka — redaktor Barbara Schleich odradziła. Może zabraknie mi wiedzy naukowej? Bo jak tu przejrzyście opisać stany psychiczne, skaczące od nadziei i euforii do zwątpienia i apatii. Zabraknie wreszcie czasu.

W Hamburgu jednak pojechałem do klubu bezrobotnych, znajdującego się przy Barnerstr 36. O przeżycia psychiczne zapytałem Klausa Zellmanna, lat 49, dziennikarza, od trzech lat bezrobotnego.

— *Na początku pojawił się szok* — powiedział Klaus Zellmann. — *Tak było również w moim przypadku, chociaż decyzji zwolnienia mnie z pracy już wcześniej się spodziewałem. Szok jest tym większy, im więcej ktoś zarabiał.*

— Czy wykształcenie ma z tym też związek?

— *Oczywiście, ma ono wpływ na stopień frustracji. Tylko dzięki działalności polityczno-społecznej mogłem ją stopniowo zwalczyć. W okresie pracy miałem wielu przyjaciół, których z chwilą zwolnienia utraciłem. Nie tylko pracujący, ale ty sam unikasz swoich byłych kolegów. W naszym społeczeństwie człowiek bogaty ma oczywisty większy prestiż. Zjawisko to ulega pogłębieniu. Po pierwszym szoku pojawia się stres, wzrost poczucia winy, co prowadzi, szczególnie wśród młodych, do agresji i samobójstw. Większość społeczeństwa uważa jednak, że los bezrobotnego jest jego prywatną sprawą.*

Znany zachodnioniemiecki politolog, liberał, Ralf Dahrendorf, często powtarza, że suma indywidualnych cierpień niewiele się przyda w kolektywnym działaniu, co jest niejako skwitowaniem społecznych skutków bezrobocia. Oblicza się, że bezrobociem w Republice Federalnej Niemiec jest objętych bezpośrednio i pośrednio ok. 6 mln osób. Towarzystwo i Zrzeszenie psychologów we wspólnym oświadczeniu zwracają uwagę na najbardziej widoczne skutki bezrobocia: wzrost przestępczości, zwłaszcza wśród młodzieży, wzrost narkomanii i samobójstw, nasilenie symptomów agresji i depresji, przyrost zachorowań psychosomatycznych. Bezrobocie prowadzi wreszcie do spadku wiary w siebie, poczucia własnej wartości, wiary w ludzi, fatalizmu i apatii, beznadziejności. Prowadzi wreszcie, co potwierdził Klaus Zellmann, do izolacji społecznej i obwiniania za ten stan własnej rodziny i siebie. Raport psychologów stwierdza wyraźnie:

„W naszym mniemaniu masowe bezrobocie prowadzi na dalszą metę do psychicznego zubożenia wielkich grup obywateli, a tym samym do szkód psychospołecznych, które będzie można usunąć z wielkim trudem, o ile okaże się to możliwe, i tylko w długim okresie".

I jeszcze inny, psychologiczny aspekt bezrobocia. Pracownicy z obawy przed wymówieniem boją się brać zwolnienia lekarskie. Badania Instytutu Gospodarki Niemieckiej mówią, że w 1980 r. pracobiorcy korzystali ze zwolnień lekarskich rzadziej w RFN niż we Włoszech, Szwecji i Holandii. Udział pracowników korzystających ze zwolnień w roku 1982 wyniósł mniej niż 5 procent ogólnej liczby zatrudnionych i był najniższy od 1967 r. Ale już w 1983 r. ze zwolnień lekarskich skorzystało zaledwie 4,4 proc., co było najniższym wskaźnikiem od czasu zakończenia II wojny światowej.

Badania Krajowego Związku Zakładowych Kas Chorych w Hesji z kolei wskazują, że u 70 proc. pracowników we własnej opinii zdrowych wykryto schorzenia wymagające pomocy lekarskiej, a 1,5 proc. badanych musiano nawet natychmiast hospitalizować. Codziennie ok. 2 proc. idzie do pracy, choć powinni z powodu choroby pozostać w domu.

KRESKA W DÓŁ

W Republice Federalnej Niemiec znalazłem się w okresie — zgodnie twierdziła także prasa i telewizja, jak i indagowani obywatele — najpoważniejszego konfliktu społeczno-gospodarczego w historii tego państwa. Oglądałem sparaliżowaną gospodarkę, ulice zapełnione manifestującymi ludźmi. Nawet w „Die Welt" kierownik działu Burkhard Müller mógł pokazać tylko puste pokoje redakcyjne i nieaktualny ostatni numer, a to wskutek strajkującego personelu drukarni.

Wszelkie zaś rozmowy i dyskusje zaczynały i kończyły się na strajkach i bezrobociu.

Według Federalnego Urzędu Pracy od grudnia 1981 do grudnia 1982 r. wzrost bezrobocia wyniósł 520 tys., czyli o 30 proc. Przeciętna liczba bezrobotnych w ciągu całego roku 1982 wynosiła 1.833.200, czyli o milion więcej niż w roku 1979. Liczba nie zatrudnionych cudzoziemców wzrosła nieznacznie, osiągając poziom 293.400. Wzrosła liczba osób zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin (Kurzarbeiter) do poziomu 1.114.300.

Wszyscy bezrobotni otrzymywali przez rok część swojego ostatniego uposażenia (Arbeitslosengeld), a po roku przechodzili do innej kategorii: odbiorców zasiłku dla bezrobotnych (Arbeitslosenhilfe) wynoszącego ok. 60 proc. ostatniej płacy. 70 proc. pobierało w ramach I czy II kategorii zasiłek mniejszy niż tysiąc marek miesięcznie, co wystarczało zaledwie na zakup najniezbędniejszych rzeczy.

W październiku 1982 r. rządy przejęła koalicja chadecko-liberalna. W ciągu półtora roku ich sterowania w Bonn liczba zarejestrowanych bezrobotnych wzrosła o 23 proc., osiągając w 1983 r. poziom 2,3 mln. osób. Przewodniczący Federalnego Urzędu Pracy Heinrich Franke

3

Ja oszust

Areszt Śledczy w Łodzi. Tutaj oczekuje na sądowy proces tymczasowo aresztowany Piotr K. — oszust i uwodziciel, którego przestępczy życiorys porównuje się nawet do skali wyczynów osławionego superuwodziciela Jerzego Kalibabki.

Strażnik wprowadza aresztanta. Na progu pokoju staje wysoki, dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna.

— *Przepraszam pana za ten strój. Niestety nie dysponuję wizytowym ubraniem* — Piotr K. wskazuje na więzienny uniform w nieciekawym kolorze.

— Czy zgadza się pan na krótką rozmowę dla tygodnika „Odgłosy"?

— *Tak, zgadzam się. Redaktor Iwanicki z „Odgłosów" napisał kiedyś duży, bodaj że dwustronicowy artykuł na mój temat. To był najbardziej obiektywny tekst. Pan Iwanicki pisał tak, jak to mniej więcej było i nie mogę mieć do niego pretensji. Reszta artykułów na mój temat, a mam 100-kartkowy zeszyt z prasowymi wycinkami, to w 95 procentach bzdury wyssane z palca. Możemy porozmawiać...*

Piotr K., lat 22. Urodzony i ostatnio zamieszkały w Warszawie. **Pochodzenie robotnicze. Wykształcenie zasadnicze zawodowe.** Żonaty, ojciec 4-letniej córki. Karany. Zatrzymany 13 września 1983 roku w hotelu „Chemik" w Pionkach na podstawie listu gończego. Oskarżony o gwałty, wymuszenia oraz kradzieże biżuterii i innych wartościowych przedmiotów. W okresie od 23 czerwca do 13 września 1983 roku przebywał łącznie w 30 miejscowościach, gdzie dopuścił się 26 przestępstw na szkodę 22 kobiet. Zagarnął mienie o łącznej wartości 5,8 mln zł.

Dokładny opis przestępczej eskapady Piotra K., wsparty zeznaniami poszkodowanych kobiet, prezentował na naszych łamach Eugeniusz Iwanicki („Odgłosy" nr 14 z 7 kwietnia 1984 r.) w artykule pt. „Brutalny wdzięk uwodziciela".

Dla przypomnienia: 8 marca 1983 r. Piotr K. opuścił zakład karny w Siedlcach, gdzie odbywał karę pozbawienia wolności za kradzież samochodu. Zastosowano wobec niego warunkowe przedterminowe zwolnienie. Wrócił do żony i córki. Podjął pracę konserwatora z pensją 8 tys zł. W połowie czerwca tegoż roku przyjechał taksówką do Łodzi i tu w hotelu „Mazowieckim" dokonał pierwszego przestępstwa. W lunaparku na Zdrowiu poznał dziewczynę. Po szampańskiej nocy spędzonej w hotelowym pokoju, skorzystał z nieuwagi dziewczyny i zrabował jej biżuterię wartości 70 tys zł. Z Łodzi pojechał do Gdańska, gdzie skopiował swój wyczyn, kradnąc młodej kobiecie precjoza wartości prawie 100 tys. zł. W ciągu niespełna trzech miesięcy zawitał jeszcze do: Kołobrzegu, Wrocławia, Wałbrzycha, Katowic, Chorzowa, Szczecina, Torunia, Krakowa, Zakopanego, Kielc, Białegostoku, Augustowa, Lublina, Karpacza, Rzeszowa, Zielonej Góry, Leszna, Poznania, Warszawy i Pionek. W niektórych miastach był dwukrotnie.

Po przyjeździe meldował się w najlepszym hotelu, a następnie szybko i łatwo nawiązywał znajomości z kobietami o widocznych oznakach zamożności. Zwykle przedstawiał się jako bogaty biznesmen. Fundował paniom wystawne kolacje na dancingach, nie skąpił go-

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Strvjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch". 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — kalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — opłacaja prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłacznie w urzedach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw. ul. Towarowa 28. 00-938 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granice poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecajacych instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku nastepnego oraz cały rok nastepny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2887. E-12.

Odgłosy

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

Żołnierz w okopie strzelający do wroga nie ma poczucia ani roli, ani znaczenia rozgrywającej się bitwy. Nie jest w stanie nawet zrozumieć, że bierze udział w jakiejś bitwie, która zaplanowano w sztabach i teraz realizuja ja armie, korpusy, dywizje, pułki i bataliony. On wie, że ma po prostu celnie strzelać i zabijać wroga, gdyż jeśli tego nie będzie robił to wróg zabije jego. Ileż to razy już po latach, żołnierze dowiadywali się, że brali udział w historycznych i przełomowych bitwach. A oni przecież tylko bronili Stalingradu, albo tylko musieli wejść na szczyt Monte Cassino, albo tylko wylądować na plażach Normandii. Piloci nad Londynem musieli jak najwięcej i najszybciej zestrzeliwać niemieckie samoloty, bo albo te samoloty ich by zestrzeliły, albo zrzuciłyby bomby na Londyn a to była opiewana po dziś historyczna Bitwa o Anglię. Przykłady można mnożyć.

Dla ludzi żyjących pod okupacja niemiecka w latach 1939—1943 generał Władysław Sikorski uosabiał nadzieje — jak to słusznie podkreśla Zygmunt Kałużyński w „POLITYCE" (nr 40 z 6 października 1984 roku). Przecież mawiało się wówczas, **„Im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej"**. Każde następne święta miały już być obchodzone w wolnej Polsce. Nikt nie chciał wierzyć, że wojna może potrwać aż tyle lat i że będzie taka ciężka. Nikt też nie traktował generała Władysława Sikorskiego w kategoriach historycznych. Świadomość historii przychodzi na ogół później. Tak też rodzą się mity, uprzedzenia i legendy.

BOHDAN PORĘBA BIERZE NA WARSZTAT

na ogół tematy trudne i kontrowersyjne. Można powiedzieć, że robi to ambitnie, ale też i rezultaty tej pracy spotykają się z bardzo różnym przyjęciem. Zygmunt Kałużyński napisał w „Polityce": **„w sumie jednak odniosłem wrażenie, że film — przynajmniej wobec publiczności owego wieczoru — obronił się"**. Natomiast Olgierd Terlecki 17 września 1984 roku w krakowskim kinie „Wanda" naliczył na „Katastrofie w Gibraltarze" 29 widzów, o czym nie omieszkał napisać w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 41 z 7 października 1948 roku). Zresztą Olgierd Terlecki nie tylko o ilości widzów w kinie „Wanda" pisał.

Zygmunt Kałużyński opisawszy, kto był razem z nim w kinie, dodaje: **„co jednak jest wart, po zastanowieniu się?"**. To oczywiście o film Bohdana Poręby chodzi.

Nie zwykłem omawiać w przeglądzie prasy recenzji teatralnych czy filmowych, chyba że dotyczą one niecodziennych wydarzeń lub zwracają uwagę niebanalną formą czy bulwersującymi poglądami i ocenami. Tym razem czynie wyjątek od tej zasady z innej przyczyny. Otóż publikacje Zygmunta Kałużyńskiego w „Polityce" i Olgierda Terleckiego w „Życiu Literackim" nie są zwykłymi recenzjami. Zresztą Olgierd Terlecki lojalnie przyznaje, że nie jest recenzentem filmowym, a o filmie Bohdana Poręby pisze **„jako historyk zajmujący się szczególnie postacią i działalnością Władysława Sikorskiego"**. Poza tym bohater filmu „Katastrofa w Gibraltarze" jest postacią wyjątkową, wokół której narosła nie tylko legenda, ale też i wiele nieporozumień. Był przez jednych uwielbiany; przez innych znienawidzony. Jednego popierali, inni zwalczali. Był nadzieją nie tylko żyjących pod okupacja niemiecka, ale i żołnierzy szykujących się do walki lub walczących z wrogiem. Zginął w tajemniczych okolicznościach. I mimo że Olgierd Terlecki próbował w cyklu artykułów publikowanych na łamach „Przeglądu Tygodniowego" wyjaśnić w sposób racjonalny i przekonywający przyczyny awarii samolotu, to nadal wokół śmierci generała Władysława Sikorskiego pełno jest nieporozumień i mitów oraz fałszywych, bo niczym nie udokumentowanych, oskarżeń. Tak więc warto zwrócić uwagę Czytelnika na publikacje Zygmunta Kałużyńskiego w „Polityce" i Olgierda Terleckiego w „Życiu Literackim", nie dlatego, że formułują określone zarzuty pod adresem reżysera Bohdana Poręby i scenarzysty Włodzimierza T. Kowalskiego, ale dlatego, że pozwalają nie tylko sprawę filmu ujrzeć w innym świetle.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI ZARZUCA

filmowi Bohdana Poręby, że *„jest kroniką rekonstrukcyjną o Sikorskim, „fakt za faktem", typu cokolwiek telewizyjnego"*. Jego zdaniem film ten *„należy do gatunku wyhodowanego przez telewizję i uprawianego następnie przez kino, inscenizacji historii w formie sprawozdawczości dokumentalnej, tak jak to idzie według nagromadzonych świadectw"*. Według Zygmunta Kałużyńskiego jest to... wada filmu.

W tym momencie zaczyna się sprawa nie tylko jednego filmu, któremu nadano tytuł „Katastrofa w Gibraltarze", ale sprawa całego gatunku. Trudno zaprzeczyć, że widowiska telewizyjne autorstwa Ryszarda Frelka i Włodzimierza T. Kowalskiego o wielkich wydarzeniach historycznych cieszyły się dużym powodzeniem i zainteresowaniem. Tutaj bowiem dochodzi do głosu wspomniana na wstępie zasada, kiedy to człowiek uczestniczy w wielkim historycznym wydarzeniu, ale nie zdaje sobie z tego sprawy, a dopiero później — dzięki historykom — może się o tym przekonać. Ludzie chcą wiedzieć, jak to było i dlaczego było tak a nie inaczej oraz kto jest temu winien? Telewizyjne widowiska próbowały dać na to odpowiedź. Akcja toczyła się wszakże przez kilka tygodni, z odcinka na odcinek. Widz był niejako biernym uczestnikiem, poznawał tajemnice ministerialnych gabinetów, tajnych narad, poufnych rozmów. Bez pomocy historyka i telewizji nigdy by tego nie zobaczył. Miał tu do czynienia z faktami historycznymi, jak po sobie następowały. Była to rekonstrukcja historycznych wydarzeń, oparta na dokumentach, ale serwowana widzowi w określonych dawkach. Czy ta metoda sprawdziła się w filmie?

Zygmunt Kałużyński pisze, że nie. Film musi posługiwać się inną metodą. Przypomina on Samuela Goldwyna, który zabierając się do kręcenia filmu o Joannie d'Arc wyrzucił do kosza całą dokumentację i zapytał ludzi, jak sobie wyobrażają Joannę? Otrzymał odpowiedź, że ma być to *„młoda, piękna dziewczyna w pancerzu na koniu"*, która *„prowadzi armię"*. I Dziewica Orleańska w filmie Samuela Goldwyna nie zdejmowała pancerza i nie zsiadała z konia. W tym wypadku reżyser spełnił oczekiwania widzów. Bohdan Poręba nie miał zamiaru budować jeszcze jednego mitu. Przeciwnie, on chciał pokazać, jak to było naprawdę. A Zygmunt Kałużyński słusznie przypomina, że *„kronika nie jest historią"*. Pisze on:

„Film składa się z paru defilad wojskowych oraz z kilkudziesięciu rozmów na wysokich szczeblach, z udziałem około dwóch tuzinów generałów i pułkowników, których nazwiska padają w tonie „państwo wiedzą kto to", a tymczasem państwo wcale nie wiedzą."

Zygmunt Kałużyński tej metody nie pochwala. Jego zdaniem:

„...film powinien przede wszystkim odtworzyć ten klimat uczuciowy, nie zaś brnąć w kronikarskie szczegóły dyplomatyczne. Kino ma załatwiać wzruszenia, nie publikację dokumentów..."

Wynika z tego, że telewizyjne doświadczenia Włodzimierza T. Kowalskiego zaszkodziły filmowi i reżyserowi Bohdanowi Porębie, który nie umiał się przed nimi obronić. Ale

OLGIERD TERLECKI JEST ODMIENNEGO ZDANIA

Uważa on, że *„autor scenariusza nazbyt uległ reżyserowi; bywa często, że z pożytkiem dla filmu, tu jednak stało się tak z absolutną dla filmu szkodą"*. Olgierd Terlecki — jak przystało na historyka — przedstawia długi rejestr pomyłek, uchybień i wręcz błędów. Wiele faktów miało miejsce wcześniej niż film przedstawia lub później, przez co podważona została ich autentyczność, wiele rzeczy zostało naciągniętych do reżyserskich koncepcji. Na przykład scena spotkania pułkownika Zygmunta Berlinga z generałem Władysławem Sikorskim, kiedy ten pierwszy donosił na generała Władysława Andersa oraz pokazywał mapkę szkolną z wyrysowanymi przyszłymi granicami Polski, nigdy w rzeczywistości nie miała miejsca. Generał Władysław Sikorski nigdy nie spotkał się z pułkownikiem Zygmuntem Berlingiem i z nim nie rozmawiał. Zamiast więc odkłamania mitu mamy do czynienia z tworzeniem nowego. Coś takiego, co przydarzyło się innym autorom, usiłującym przypisywać innemu bohaterowi tamtych czasów, generałowi Stefanowi Grotowi Roweckiemu, lewicowe poglądy, których nigdy nie miał.

Pokazywanie historii odbywa się u nas najczęściej na dwóch płaszczyznach: albo stawiamy kogoś na cokole, albo zdejmujemy go z tego cokołu. A współczesny człowiek chciałby po prostu wiedzieć, jak to było naprawdę, bez potrzeby składania wieńców i burzenia cokołów. Jemu potrzebna jest prawda, wedle której dowie się że bohaterowie też byli ludźmi, wątpili, cierpieli, błądzili, kochali, śmiali się, mieli wady i zalety oraz codziennie rano i wieczorem myli zęby. Po prostu — byli ludźmi. I od sztuki oczekujemy, że ludzi nam pokaże.

Historycy muszą wszakże podejmować tematy trudne i kontrowersyjne. W tejże samej „Polityce" Jan Różdżyński pisze (już drugi odcinek)

O WALCE Z UKRAIŃSKIMI NACJONALISTAMI

Najpierw omówił znalezione archiwum nadrejonu „Chołodnyj Jar", a następnie przedstawił dzieje „Stepana", który jako anonimowy pracownik kontrwywiadu wszedł do tajnej sieci Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i stał się nawet jej szefem na Polskę oraz organizatorem przerzutów do USRR. Są to lata 1949—1952. Dzięki pracy „Stepana" polski i radziecki kontrwywiad kontrolują siatki szpiegowskie OUN współpracujące wówczas z wywiadem brytyjskim.

„Przez cały okres prowadzenia tej gry operacyjnej aresztowano 86 osób, w tym 16 agentów wywiadu brytyjskiego, amerykańskiego i kurierów przybyłych z zagranicy oraz 70 członków OUN. Zabitych zostało 13 osób, w tym: 10 agentów wywiadu brytyjskiego i kurierów oraz 3 członków OUN. (...) Likwidacja siatki OUN w Polsce spowodowała zerwanie przez Anglików umowy o współpracy z S. Banderą."

W pięć lat później Stepan Bandera został zabity w niewyjaśnionych okolicznościach. A „Stepan" w Polsce? Żyje do dziś, jest na zasłużonej emeryturze, choć formalnie... popełnił samobójstwo. Jest nawet świadek, który to widział.

Doświadczony konspirator „Don" powziął na początku 1954 roku niejakie podejrzenia, że „Stepan" działa na dwie strony. Spróbował nawiązać bezpośredni kontakt z Monachium, gdzie rezydował Stepan Bandera. Próbę tę odkrył kontrwywiad. Trzeba było likwidować siatkę OUN w Polsce. „Stepan" znajdował się wówczas w towarzystwie „Lubomyra". Dom otoczyło KBW i milicja.

„W tej sytuacji — jak zeznał później niewtajemniczony „Lubomyr" — „prowidnyk" Stepan połknął truciznę i poniósł śmierć na miejscu".

Trudne to sprawy i bolesne. Dobrze, że się o nich teraz pisze, bo dla rozwoju dalszej przyjaźni i współpracy obu naszych narodów trzeba wyjaśnić do końca wszystkie trudne i sporne sprawy. Byli przecież nacjonaliści wśród Ukraińców i byli wśród Polaków. Czy tylko byli? Nacjonalizm nie należy przecież do nieodwracalnej przeszłości, niestety.

LUCJAN BOGUSZ

Nagroda tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury

Waga i znaczenie kultury w życiu społeczeństwa nie podlega dyskusji. Jednak rozwój kultury w trudnym dla nas okresie kryzysu ulega zahamowaniu i napotyka przeszkody. Redakcja tygodnika „Odgłosy", rozumiejąc swoje miejsce w życiu kulturalnym miasta i regionu, postanowiła przyznawać raz w roku nagrodę za upowszechnianie kultury. Chcemy przyczynić się do rozwijania niezbędnych inicjatyw. Chcemy popierać te wszystkie przedsięwzięcia, które sprzyjają dotarciu wartości kulturalnych do najszerszych kręgów społeczeństwa, do wszystkich środowisk.

Kandydatów do nagrody może zgłaszać każdy, jeśli potrafi udokumentować wniosek rzeczywistymi rezultatami. Chcemy bowiem nagradzać rzeczywiste osiągnięcia w upowszechnianiu kultury. Nie stawiamy ograniczeń terytorialnych, ale jest rzeczą naturalną, że będziemy szczególną uwagę przywiązywali do upowszechniania kultury w Łodzi i sąsiednich województwach.

Kandydatami do nagrody mogą być wszyscy, którzy w danym roku kalendarzowym wystąpili z interesującymi inicjatywami, pomysłami, koncepcjami, rozwiązaniami organizacyjnymi i poprzez ich realizację przyczynili się do upowszechniania kultury. Chcemy spowodować, aby inicjatywy w tej dziedzinie zostały dostrzeżone, a przez to, aby nastąpił ich dalszy rozwój. Liczymy na współpracę i pomoc naszych Czytelników.

Poniżej publikujemy „Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury".

REGULAMIN
NAGRODY TYGODNIKA „ODGŁOSY"
ZA UPOWSZECHNIANIE KULTURY

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy" w wysokości 30 tysięcy zł przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów" oraz stowarzyszeń twórczych, towarzystw regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.
2. Kandydatów do nagrody należy zgłosić do końca roku kalendarzowego.
3. Kandydaci do nagrody powinni być ludźmi, którzy w danym roku kalendarzowym wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, poczynaniami organizacyjnymi, przyczyniającymi się do upowszechniania kultury, które zostały potwierdzone praktyką.
4. Do nagrody może też kandydować zespół ludzi zajmujących się upowszechnianiem kultury, z tym, że wysokość przyznanej nagrody nie ulega zmianie.
5. Nagroda nie może być przyznawana instytucjom czy stowarzyszeniom za ich statutową działalność.
6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie z obszernym uzasadnieniem i w miarę możliwości poparty niezbędną dokumentacją.
7. Jury może odstąpić w danym roku od przyznania nagrody, jeśli ilość kandydatur będzie mniejsza niż trzy oraz jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom niniejszego regulaminu.
8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy" jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch".
9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy" na wniosek naczelnego redaktora „Odgłosów" powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.
10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy" wchodzą:
— przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
— dwóch przedstawicieli zespołu tygodnika „Odgłosy",
— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,
— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych i zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL oraz innych stowarzyszeń zawodowych.
Jury nie może przekraczać 11 osób.
Obradom jury przewodniczy redaktor naczelny tygodnika „Odgłosy".
11. Wynik pracy jury ogłasza się w maju każdego roku, począwszy od 1 maja 1985 roku.
12. Po raz pierwszy nagrodę przyznaje się w maju 1985 roku. Kandydatury do tej nagrody należy zgłaszać do 31 grudnia 1984 r.

Co po „Skirolawkach"?

Nowa, napisana specjalnie na zamówienie „Odgłosów", sensacyjna powieść

Rapier Napoleona

„(...) Dziewczyna spojrzała na butelkę, która nie była już matowa, lecz pokryta drobnymi kropelkami wilgoci, i przesylabizowała z angielska: PERIGNON.

Reżyser podpuszczał tymczasem:

— No, gdyby Jack usłyszał, co ty wygadujesz o szampanie, który trzyma dla najlepszych przyjaciół...

Wypiła.

Dolał i świdrował ją oczkami. Szampan, jak wiadomo, ma tę cudowną właściwość, że z miejsca wchodzi do krwi, poraża totalnie, obezwładnia nogi i ręce, mąci w głowie, nokautując często wytrwałych pijusów, a co dopiero trzynastoletnie, skądinąd zresztą niebywale rozrośnięte dziecko.

Pobladła. Ale rozluźniła się. Było jej dobrze. Przygotowując aparat, by dokonać kolejnych zdjęć, Napoleon zadał jej bez nadmiernej finezji parę zasadniczych pytań — czy jest dziewicą? (nie odpowiedziała), czy w samotności, kiedy najdzie ją oskoma za chłopakiem, robi czasami użytek ze swoich cudownych paluszków? Czy nie zechciałaby ewentualnie zademonstrować mu tej wielce podniecającej i niewinnej sztuki? (...)".

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Zachodnioniemieckie niepokoje

Foto: Archiwum

Dokończenie ze strony 1

podał w kwietniu 1984 r., że liczba bezrobotnych wyniosła dokładnie 2.393.251, co jest najwyższym wskaźnikiem w okresie powojennym. Przynajmniej 900 tys. dalszych bezrobotnych nie zarejestrowało się w urzędach pracy. Są to zniechęceni młodzi ludzie, którzy po daremnych poszukiwaniach miejsca nauki lub pracy ominęli urząd pracy, nie obiecując sobie po nim żadnej pomocy; zrezygnowane kobiety zamężne, które po utracie pracy wycofały się w szeregi „cichej armii rezerwowej rynku pracy"; byli odbiorcy zasiłku dla bezrobotnych, którzy po weryfikacji zniknęli ze statystyk urzędowych, bowiem zostali przesunięci do kategorii odbiorców zasiłku socjalnego.

W 1983 r. jeszcze 40 proc. objętych rejestrem bezrobotnych pobierało zasiłek wynoszący przeciętnie 959 marek miesięcznie, a 23 proc. bezrobotnych zasiłek wynoszący 802 marki miesięcznie. W 1984 r. przeciętna wysokość zasiłku wynosi już tylko 801 marek, tj. zaledwie 41 proc. przeciętnego zarobku netto. Trzeba także dodać, że 1/3 bezrobotnych zarejestrowanych w urzędzie pracy — z powodu braku spełnienia koniecznych warunków — nie otrzymuje takiej sumy. Eliminacja liczby uprawnionych postępuje szybciej niż sam wzrost liczby bezrobotnych. W 1983 r. zaoszczędzono 2,3 mld marek.

Po wyborach w Bundestagu z 6 marca 1983 r. w kołach gospodarczych zapanował optymizm. Helmut Geiger, przewodniczący Niemieckiego Związku Kas Oszczędnościowych powiedział nawet, że po wyklarowaniu się stosunków politycznych ożywi się koniunktura, a zmniejszająca się stopa inflacji pozwoli na dalsze obniżenie oprocentowania bankowego. Helmut Kohl z kolei w deklaracji rządowej zapewnił zachowanie państwa opiekuńczego. Fakty jednak są inne. Rząd od samego początku realizował program drastycznych posunięć oszczędnościowych, drogą jednak najmniej spodziewaną dla społeczeństwa zachodnioniemieckiego: obcięcia wydatków na cele socjalne. Na pierwszy ogień poszli emeryci i bezrobotni. Od 1 września 1983 r. uchwalono wprawdzie podniesienie składek ubezpieczeniowych do 19 proc., ale równocześnie przyjęto uderzający w emerytów nowy system aktualizacji emerytur i rent. Nie miały one jak dotychczas być obliczane na podstawie średnich dochodów z trzech ostatnich lat, lecz z poprzedniego roku. Zamiast 5 proc. emeryci otrzymują więc tylko 3,5 proc. podwyżki. (Równocześnie jednak prawie o jedną czwartą wzrosły dochody przedsiębiorców i dochody z majątku). Przewiduje się, że do roku 1985 emerytury, renty, zasiłki dla bezrobotnych zmniejszą się w stosunku do roku 1982 aż o 183 mld marek.

Przeciętny obywatel odczuwa też coraz bardziej brzemię podatków. Płace w 1983 r. według obliczeń Niemieckiego Instytutu Badań Gospodarczych (DIW) wzrosły o 9,1 mld. marek, ale płatnicy uiścili o 3,3 mld. marek więcej z tytułu opłat na cele socjalne i 6,2 mld. marek więcej z tytułu podatków od dochodów: łącznie 9,5 mld. marek. Tylko 22 proc. ankietowanych przez Instytut Badania Opinii Publicznej EMNID z Bielefeld uznało te obciążenia podatkowe za „sprawiedliwe i odpowiednie".

Znowu według opublikowanych na początku kwietnia 1983 r. przez Instytut Infratest badań, przeprowadzonych na zlecenie federalnego ministerstwa pracy i spraw socjalnych, ok. 43 proc. osób godziło się na cięcia także we własnych świadczeniach socjalnych, zaś 23 proc. uważało za konieczne podniesienie składek na ubezpieczenie socjalne. Tylko 15 proc. było za zwiększeniem zadłużenia państwa, a 14 proc. za podwyżką podatków dla pokrycia deficytu w funduszach na świadczenia socjalne. 49 proc. ankietowanych uważało, że sytuacja materialna emerytów i rencistów jest bardzo dobra, zdaniem zaś 43 proc. — dość dobra. Jednakże 51 proc. było zdania, że sytuacja pogorszy się w najbliższych latach.

Rośnie inflacja i zadłużenie państwa z równoczesnym spadkiem świadczeń socjalnych, ujemnie przecież wpływających na rynek pracy. Instytut Badania Opinii Publicznej w Allensbach twierdzi, że dla obywateli oznacza to zmierzch państwa dobrobytu.

POCZĄTEK BATALII

Co na te poczynania rządu związki zawodowe?

— *Związki nie mają nic do powiedzenia* — powiedział mi Walter Drecker z IG Metall, uczestnik wiecu, wieńczącego tzw. „Marsz na Bonn". — *Musimy się bezradnie przyglądać, jak koalicja rządowa ogranicza lub wprost likwiduje jedną po drugiej ustawę socjalną.*

Jeszcze w 1983 r. kanclerz federalny występujące trudności *mógł tłumaczyć* grzechami poprzedników. Obecnie okres ochronny *już się skończył.*

Kryzys gospodarczy i społeczny, w jakim znalazło się zachodnioniemieckie państwo nie był zaskoczeniem. Bezrobocie nie spadło z nieba, tak jak nie *nastąpił* nagły spadek koniunktury gospodarczej. Od kilku lat proponuje się różne rozwiązania Socjaldemokraci i związki zawodowe preferują programy zatrudnienia, chrześcijańscy demokraci (ostatnio z pomocą liberałów) i lobby przedsiębiorców proponują najpierw niskie płace, obniżkę podatków i mniejsze wydatki na cele socjalne. Obydwie metody wymagają spełnienia warunku dodatkowego: wysokiego wzrostu gospodarczego. Trzecie rozwiązanie przyjmuje za punkt wyjścia niską stopę wzrostu oraz skrócenie czasu pracy.

Realizacji trzeciego wariantu podjęły się w końcu związki zawodowe.

Postulat 35-godzinnego tygodnia pracy, obok żądania zakazu lokautu, ujęto po raz pierwszy w 1974 r. w programie społeczno-politycznym Związku Zawodowego Pocztowców, którego przewodniczącym był Ernst Breit, wybrany potem w maju 1982 r., podczas zjazdu w Berlinie Zachodnim przewodniczącym Federacji Niemieckich Związków Zawodowych. W następnych latach podejmowano nieudane batalie o skrócenie czasu pracy, np. w latach 1978/79 wskutek popełnienia błędów, w tym późniejszego rozpoczęcia mobilizacji załóg, czy też braku wsparcia prowadzonych rokowań zmasowanym strajkiem ostrzegawczym. Nie posunięto się także do okupacji zakładów pracy.

Pierwsze większe demonstracje, zapowiedź masowych w następnych latach, miały miejsce w 1982 roku już po zmianie koalicji w Bonn. W Stuttgarcie 30 października zgromadziło się 150 tys. osób, w Hamburgu 90 tys. Demonstracje odbyły się także m.in. w Hanowerze, Bremie, Saarbruecken, Szlezwiku-Holsztynie. Większość demonstrantów stanowili członkowie IG Metall. Na wiecu w Hamburgu, członek zarządu IG Metall Georg Benz uznał za konieczne wprowadzenie ogólnogospodarczego planowania strukturalnego, sterowania inwestycjami oraz przekształcenie opanowujących rynek przedsiębiorstw i koncernów we własność społeczną. Polityce reform społecznych — mówił Benz — musi towarzyszyć demokratyzacja gospodarki, a na oczekiwany wzrost bezrobocia najlepszym lekarstwem byłoby skrócenie czasu pracy. W tymże samym roku nastąpił precedens. Kierownictwo wytwórni napojów w puszkach w Gelsenkirchen miało zamiar zwolnienia części załogi, ale rada pracownicza przeforsowała skrócenie czasu pracy z 40 do 36 godzin, dzięki czemu można było cofnąć znaczną liczbę zwolnień już zgłoszonych w urzędzie pracy.

27 września 1983 r. wszystkie 17 regionalnych komisji związku zawodowego metalowców do spraw umów zbiorowych wypowiedziało ramowe umowy zbiorowe z 1979 r., w których na okres 5 lat ustalony był 40-godzinny tydzień pracy. (Tu trzeba zaznaczyć, że w RFN obowiązuje nadal formalnie ustawa o 48-godzinnym tygodniu pracy w wymiarze 8 godzin dziennie przez 6 dni w tygodniu. Trzy lata temu Federalny Trybunał Pracowniczy wydał taki wyrok w odpowiedzi na skargę rady zakładowej jednej z drukarń. Pracodawca ma również formalnie prawo wymagać w ciągu roku od pracownika 60 nadgodzin). Zarząd IG Metall wydał dwa zalecenia, ustalające konkretne cele walki o skrócenie czasu pracy: po pierwsze 35-godzinny tydzień pracy, a praca ponad ten wymiar ma być rekompensowana czasem wolnym, a po drugie: powinno nastąpić pełne wyrównanie zarobków.

Skróconego tygodnia pracy zaczęły się domagać również inne związki zawodowe: pracowników poligrafii i przemysłu papierniczego, pracowników handlu, banków i instytucji ubezpieczeniowych, pracowników przemysłu drzewnego, a także łączności.

LICYTACJA ARGUMENTÓW

Istnieje jednak koniunktura na różnego rodzaju ekspertyzy, opracowania i opinie. Z jednej strony zleca je koalicja rządowa, a z drugiej SPD i związki zawodowe. Nikt jednak nie ma pewności ich skuteczności i słuszności.

— *Wszelkie obecne doraźne rozwiązania są zaledwie przykładaniem plasterka na rozległą ranę* — powiedział mi Wilfried Heinrich z Jugendpresseclub, mającego swoją siedzibę w Bonn przy Godesberger Allee 142, najlepiej chyba podsumowując toczącą się w atmosferze strajków, manifestacji i wieców dyskusję i wymianę poglądów.

Zacznijmy od prognoz ostrzegawczych, wybiegających więc jeszcze dalej w przyszłość. Prognozy Nadreńsko-Westfalskiego Instytutu Badań Gospodarczych (RWI) w Essen przewidują, że do roku 1990 w wyniku automatyzacji, bankructwa firm, rosnącej konkurencji krajów III świata, które oferują tańsze produkty, jak również z powodu przeobrażeń wewnętrznych na rynku RFN stanie się zbędnych ok. 1,3 mln. miejsc pracy.

Instytut Monachijski IFO z kolei jest zdania, że w 1985 r. w samym tylko przemyśle będzie pracowało o 160 tys. mniej niż w 1984 r. Tak więc miejsc pracy będzie nadal ubywać.

Profesor nauk ekonomicznych, członek SPD, Werner Meissner szacuje poziom bezrobocia w 1990 r. przy rocznej stopie wzrostu 2,5 proc. na 3—4 mln. Przyjmując sześcioprocentowy wzrost w przyszłości za niemożliwy (tylko taki gwarantowałby pełne zatrudnienie), wyjściem jest tylko skok jakościowy i skrócenie czasu pracy. To pierwsze oznacza przedsięwzięcia w sferze oszczędności energii, rozbudowę sieci zdalnego ogrzewania centralnego, polepszenie warunków życia w miastach, utrzymanie i polepszenie jakości środowiska, rozbudowę publicznej komunikacji osobowej.

Pojawiają się też inne propozycje rozwiązania istniejącego problemu. Jedną z nich jest system „job-sharing". Kilka osób dzieli między siebie obowiązki, wykonywane normalnie przez jednego pracownika. Przed pracodawcą odpowiadają wszyscy, ale podział czasu pracy jest wyłącznie ich sprawą. Możliwe są tu wszelkie kombinacje, począwszy od pracy co drugi dzień do półrocznej przerwy. System taki jest szeroko rozpowszechniony w USA i Wielkiej Brytanii. Bernard Teriet z norymberskiego Instytutu Badania Rynku Pracy i Zawodu, uważany za autorytet w sprawach związanych z pracą w niepełnym wymiarze godzin, przeprowadził badania, które wykazały, że 27 proc. kobiet i mężczyzn opowiedziało się za krótszą dniówką. Daje to 6,75 mln osób zawodowo czynnych.

Ostatnią propozycją jest rezygnacja z nadgodzin. W 1982 r. — według Instytutu Badań Rynku Pracy i Zawodów (IAB) — każdy z 22,2 mln zatrudnionych przepracował 90 nadgodzin, co odpowiada 2 mld godzin pracy. Rezygnacja z nich dawałaby 1,2 mln nowych miejsc.

NIE ROZPACZAĆ

Jeden z organów zrzeszenia pracodawców przemysłu metalowego proponuje zachować spokój i nie rozpaczać. Trzeba po prostu wziąć kartkę papieru, długopis i trochę policzyć. Spośród 2,5 mln bezrobotnych trzeba odliczyć 100 tys. nie zatrudnionych z powodów atmosferycznych. Dzięki poprawie koniunktury do pracy zostanie przyjętych pół miliona osób. Ankieta przeprowadzona przez miesięcznik „Capital" wśród szefów 10 wielkich koncernów zachodnioniemieckich, reprezentatywnych dla swoich branż wykazała optymizm. Na skali sięgającej od zera do dziesięciu ocenili oni stan koniunktury w swoich przedsiębiorstwach z reguły w granicach pięć — siedem, natomiast stan całej gospodarki na trzy — pięć. W całym roku 1984 nastąpi wzrost zysków i inwestycji. Kolejnych 900 tys. zarejestrowanych bezrobotnych po krótkim czasie znów znajdzie pracę (są to tzw. „Sucharbeitslose"). Zostaje więc tylko 1 mln osób bezrobocia strukturalnego, co stanowi zaledwie cztery procent ogółu pracujących.

Więc pracodawcy uważają, że naprawdę nie ma z czego robić problemu. Ze związkami zawodowymi zawarto kompromis, ale gdyby jednak po kilku miesiącach znów podniosły one głowy, to im też się pokaże. Nie takie strajki *„przetrzyma się"*. Miesiąc? Dwa? Trzy? Pół roku? A może rok? Na wzór walki angielskich właścicieli kopalń z górnikami? Funduszy strajkowych na długo nie wystarczy, a „oni" mają z czego żyć!

Pracodawcy mają swoje metody walki. Największa siła tkwi w jedności. Utworzyli więc Federalne Zrzeszenie Niemieckich Związków Pracodawców (BDA), do którego weszło 47 wiodących związków przedsiębiorstw branżowych (Fachspitzenverbaende) i 12 ponadbranżowych związków krajowych. Opracowali też system postępowania i utworzyli finansowe fundusze walki, które w czasie nasilenia sporów ze stosunku pracy umożliwiły dotychczas stosowanie na szeroką skalę lokautów. Pierwszy Senat Federalnego Sądu Pracy wydał orzeczenie uznające prawo do lokautu, dopuszczając więc zwolnienia, jako metody walki z pracownikami. Skarga wniesiona przez DGB dotyczyła podwyżki płac w przemyśle metalowym północnej Badenii—Wirtembergii oraz warunków pracy w przemyśle poligraficznym. W strajku metalowców wzięło udział 104 tys. pracowników na pół miliona ogółem zatrudnionych w branży metalowej, ale zwolnienia objęły 146 tys. osób. Zdaniem sądu lokaut ten zachował granice proporcjonalności. W strajku punktowym w czterech przedsiębiorstwach branży poligraficznej wzięło udział 2300 osób, pracodawcy zaś zwolnili 32.700 osób zatrudnionych w 327 zakładach. W katalogu ustalonym w 1978 r. zgromadzono 14 zasad, od których odstąpienie może nastąpić wyłącznie wskutek decyzji kierownictwa BDA. Wcześniejszej konsultacji z BDA wymagają m.in. regulacja urlopów w umowach zbiorowych, współdecydowanie, zasady ochrony przed wypowiedzeniem, długość czasu pracy, w tym skrócenie tygodnia pracy. Powstał trzystopniowy fundusz walki utworzony z obowiązkowych wpłat przedsiębiorstw, według określonego procentu funduszu płac. Na I szczeblu „związki taryfowe" przedsiębiorstw tworzą tzw. fundusz wsparcia (Unterstuetzungsfonde), na wyższym szczeblu wiodące związki (Spitzenverbaende) tworzą tzw. fundusze na wypadek wspólnego zagrożenia (Gefahrengemeinschaften), a na najwyższym szczeblu BDA w kooperacji z Federalnym Związkiem Przemysłu Niemieckiego (BDI) gromadzi fundusz ochronny wspólnoty (Schutzgemeinschaft).

Fundusze te były już kilkakrotnie wykorzystywane. W 1963 r. na wypadek wspólnego zagrożenia przemysłu metalowego wypłacono niektórym zakładom ogółem 25 mln marek. W 1971 r. — 220 mln marek, w 1978 r. — już 252 mln marek. W 1979 r. Zrzeszenie Pracodawców Przemysłu Hutniczego i Metalowego otrzymało za niedopuszczenie do przeforsowania przez związek zawodowy metalowców (IG Metall) 35-godzinnego tygodnia pracy — 60 mln marek.

Nie wydaje się, że zawarty w lipcu 1984 r. kompromis 38,5-godzinnego tygodnia pracy przetrzyma próbę więcej niż rok. Bezrobocie wbrew oficjalnym zapowiedziom nie zmniejsza się, oczekiwanej koniunktury nie widać jeszcze na horyzoncie. Rozgoryczenia bezrobotnego nie wyleczy się zaś tysiącmarkowym zasiłkiem, a i pracujących można „poruszyć". Bo przecież resort gospodarki podjął nie tylko decyzje obniżki płac, podatków dla przedsiębiorstw, ale i ograniczył ochronę pracownika przed wypowiedzeniem.

Więc coraz większej aktualności nabierają słowa Hansa Mayra, od 12 października 1983 r. przewodniczącego największego w RFN i na świecie Związku Zawodowego Metalowców, następcy na tym stanowisku Eugena Loderera:

— *Rząd* — mówi Mayr — *coraz lepiej dopasowuje się do roli bezpośredniego sojusznika interesów przedsiębiorców, cały ciężar kryzysu stara się przerzucić na ludzi pracy i związki zawodowe. Pracodawcy blokują skracanie czasu pracy nie z uwagi na koszty, lecz w celu utrzymania bezrobocia jako środka nacisku politycznego.*

WACŁAW OPACKI

„Bitwa pod Gruszką była największym, bo jem stoczonym w latach 1939—45 na terenie Kielecczyzny i jedną z największych walk partyzanckich w Polsce. Niemiecka operacja, której celem było zniszczenie zgrupowanych w zachodniej części Gór Świętokrzyskich brygad AL zakończyła się zupełnym fiaskiem. Mimo zaskoczenia, mimo znacznej przewagi nieprzyjaciela i to zarówno w ludziach, jak i sprzęcie (czołgi, artyleria) oraz mimo niezbyt dogodnego do obrony terenu oddziały partyzanckie zdołały przetrzymać całodzienny napór przeciwnika, a następnie w całości wyjść z okrążenia. Nieudana operacja pod Gruszką kosztowała hitlerowców ponad 200 zabitych i rannych, a ponadto 4 czołgi, 1 samochód pancerny i 1 samochód osobowy, zniszczone lub uszkodzone przez partyzantów w toku walki...”

(Wojskowy Instytut Historyczny. Bogdan Hillebrandt. Partyzantka na Kielecczyźnie 1939—1945. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. W-wa 1967 r. str. 437).

RYSZARD KLIMCZAK

Bitwa pod Gruszką

Noc była, jak na tę porę roku krótka. O wiele za krótka. Dowódca zarządził alarm i ten rozkaz szybko postawił mnie na nogi, przepędził resztki snu, kołaczące się po całym ciele. Opornie rozwierały się moje powieki.

— Do dowódcy! Do dowódcy! — targnął moim ramieniem brzysłany łącznik. — Alarm! — wrzeszczał do ucha.

Z żalem rozstawałem się z pachnącym sianem, które służyło mi za posłanie. Sypiałem w stodole. Krępowałem się bowiem kłaść do przyzwoitego łóżka na kwaterze. Byłem zawszony. Te wszy paraziły mnie zresztą kiedyś na pośmiewisko. Długi czas przechwalałem się, że żadne insekty do mnie nie lgną. Opierałem moje przekonanie bardziej o sugestię niż o fakty.

— Nie mam i kropka — broniłem się stanowczo, nagabywany przez kolegów.

— Ściągaj koszulę. — Przełom postanowił mi udowodnić swoje racje kategorycznie i wobec świadków. — Po prostu nie umiesz szukać.

I oczywiście udowodnił. A moi przyjaciele pokpiwali sobie ze mnie od czasu do czasu nie pozwalając zapomnieć o kompromitującej wsypie.

Popędziłem do kapitana Łokietka, w biegu dopinając rynsztunek. Zameldowałem się zdyszany. Łokietek ledwie na mnie spojrzał, wydając zebranym oficerom i podoficerom funkcyjnym, krótkie dyspozycje.

Przyszła kolej na mnie. Zduszonym głosem rzucił rozkaz.

— Natychmiast do wozów amunicyjnych. Zgłoszą się do ciebie szefowie wszystkich kompanii. Wydasz maksymalną ilość amunicji na każdego żołnierza. Rozdzielisz granaty ręczne i wszystkie pepence. Pozostawisz tylko żelazne rezerwy. Zachowasz je do mojej wyłącznej dyspozycji.

— Rozkaz! — wykrzyknąłem poruszony.

— Następnie — ciągnął dalej dowódca — zameldujesz się u mnie. Przydzielam cię do grupy ochrony sztabu. Wozy amunicyjne pozostawisz pod komendą Twardobija.

Przy wozach amunicyjnych „urzędował” już Twardobij. W pośpiechu wydawaliśmy taśmy z amunicją i luzem, granaty ręczne, pepence i moździerzowe.

Rozpoznanie ogniowe Niemcy rozpoczęli około godziny dziewiątej. Nastąpiła ostra wymiana strzałów z naszymi placówkami, wysuniętymi daleko do przodu od stanowisk zajętych przez pododdziały naszej brygady.

Dowodzenie nad całym zgrupowaniem partyzanckim objął najstarszy stopniem mjr Zygmunt, dowódca I Brygady. W sztabie, wobec zamknięcia w pierścieniu naszych oddziałów skoncentrowanych w tym terenie przez duże siły nieprzyjaciela postanowiono przyjąć system obrony okrężnej, przetrwać napór wroga do zmierzchu i pod osłoną nocy wydostać się z kotła silnym natarciem na hitlerowskie pozycje.

Pobiegłem do miejsca postoju sztabu. Panowała tu gorączkowa atmosfera. Co chwila wpadali łącznicy z meldunkami. Odchodzili, donosząc do pododdziałów już zaangażowanych w walce nowe rozkazy Łokietka. Kpt. Orkan, który miał szczególnie ważną funkcję oficera operacyjnego, wyruszył na inspekcję zajętych przez nasze kompanie pozycji.

Dopadł mnie por. Marat, dowódca kompanii sztabowej. Wyprowadził z sadu i wskazał stanowisko. Był to punkt obserwacyjny oddalony o jakieś 80-100 metrów od miejsca dowodzenia zajętego przez sztab Brygady. Punkt obserwacji był znakomity, ale zadanie mało atrakcyjne, tak więc: dokładnie rejestrować ruchy nieprzyjaciela na wyznaczonym kierunku, meldować o ważnych wydarzeniach, obserwować przedpole i ochraniać miejsce postoju sztabu.

Tymczasem dookoła toczyła się zażarta bitwa.

W miejscowościach Łupuszno, Mnin, Radoszyce, Sarbice, Dobrzeszów i Mularzów skoncentrowane zostały duże siły nieprzyjacielskiej piechoty, wsparte czołgami i artylerią. W ten sposób zgrupowanie partyzanckie znalazło się w zamkniętym i zacieśniającym się pierścieniu przeważającego liczebnie i nieporównywalnie górującego bojowym sprzętem wroga. Wobec groźby totalnego zniszczenia naszych oddziałów przed każdą kompanią, plutonem, drużyną i każdym indywidualnym partyzantem stanęło zadanie walki na powierzonym odcinku do ostatniego naboju, powstrzymania naporu hitlerowców w toku całodziennej bitwy, by następnie nocą, pod osłoną ciemności, śmiałym skokiem przerwać pierścień i wyjść z okrążenia.

Po prawej mojej ręce, w odległości trzystu metrów, zajął stanowiska ogniowe pluton dowodzony przez Zewa. Pluton dysponował znaczną siłą ognia. Poza bronią automatyczną poszczególnych partyzantów, Zew posiadał na stanie uzbrojenia plutonu jeden cekaem i dwa ręczne karabiny maszynowe. 500 metrów przed nimi byli już Niemcy.

Nie wiedziałem co dzieje się z Przełomem, Rozłuckim, Masztem, Kmicicem, Azją, Jurkiem, Dulką, Sosną. Straciłem ich z oczu bardzo wcześnie i nie mogłem zorientować się, na jakich odcinkach walczą.

Jakoś nie lękałem się o losy bitwy. Zaufany w naszą siłę, wierząc w skuteczność partyzanckiej taktyki potraktowałem walkę jako jedną z wielu przecież potyczek, jeden z epizodów partyzanckiej wojaczki.

Nawet wówczas, gdy dostrzegłem podchodzące do akcji czołgi, nie wziąłem sobie tego mocno do serca, tym bardziej że jeden z nich trafiony został serią pocisków z rusznicy przeciwpancernej i zamarł na pochyłości stoku, płonąc. Unosiła się nad nim czarna chmura dymu. Uznałem to za ważne wydarzenie i zameldowałem w sztabie.

Nagle rozpoczęła się artyleryjska kanonada. Dobrze wiedziałem co to oznacza. Za chwilę Niemcy ruszą do natarcia. Nie omyliłem się. Przypuścili atak na kierunku północnym. Napotkali tam jednak zdecydowany opór naszych chłopców. Ich tyraliera załamała się. To był jednak dopiero początek.

Niemcy po dokonaniu rozpoznania ogniem i grupami atakującej piechoty, której zadaniem było ujawnić nasze stanowiska, rozpoczęli wstrzeliwanie w partyzanckie pozycje ogniem moździerzy. Jednakże nasi dowódcy poszczególnych odcinków pasa obrony chwilę przerwy w natarciu wykorzystali na zmianę stanowisk, na ile tylko umożliwiał to ograniczony teren.

Po wstrzelaniu się Niemcy rozpoczęli nawałę ogniową. Po chwili ich grupy szturmowe ponownie ruszyły do natarcia. I znów zagrała nasza broń maszynowa przyciskając hitlerowców do ziemi. Ani się mogli ruszyć.

Zew, ze zmienionych pozycji, położył na szkopów tak gęsty ogień ze wszystkich luf, że skosił pierwszą linię tyraliery. Ci co zalegli w polu, głowy nie śmieli wychylić. Zew i jego chłopcy pamiętali rozkaz: „Ani metra do tyłu”. Wiedzieli co to znaczy. Niewielki nawet wyłom, jeden pozornie niegroźny klin, wbity przez Niemców w ystem partyzanckiej obrony, mógł śmiertelnie zagrozić całemu zgrupowaniu.

Musiałem w tej mojej niezwykłej „loży teatralnej” uczynić jakiś demaskujący mnie ruch, skoro zauważył mnie niemiecki snajper. Wokół pagórka, za którym się skryłem, zaczęły padać pociski. Poczułem się nieswojo. Nie mogłem zorientować się skąd strzelano. Wydawało mi się, że ze wszystkich stron.

Upatrzyłem sobie krzak tarniny. Pełzałem ostrożnie, spłaszczony jak robak, tylko oczy penetrowały skąd padają strzały. Ukryłem się za krzakiem, ale snajpera nie zdołałem wypatrzyć.

Polowanie, w którym byłem zwierzyną, ustało. Udało się wymknąć z pola widzenia snajperskiej lunety. A może, po prostu „załatwił” mojego prześladowcę któryś partyzant. Mieliśmy także wyborowych strzelców. Świetnych strzelców.

Musiało już minąć sporo czasu. Nie byłem zorientowany. Kto w takich okolicznościach spogląda na zegarek. Może upłynęło kilkanaście minut, a może godzina albo dwie. Walka toczyła się na wszystkich kierunkach. Płonące zabudowania Gruszki i rzednąca na tym odcinku palba wykazywały, że na tym froncie nie dzieje się dobrze.

Między dwa bataliony I Brygady, które tu walczyły, na kierunku południowo-wschodnim, od strony Dobrzeszowa, wdarł się wróg i próbował rozszerzyć wyłom w naszej obronie.

Silne uderzenie Niemców na batalion Górala, od południa, wsparte zostało natarciem czołgów i samochodów pancernych. Przybyli łącznicy prosząc o pomoc. Mjr. Zygmunt przydzielił im dodatkowo cztery rusznice przeciwpancerne z obsługą. Natarcie zostało na pewien czas powstrzymane. Z niesłychaną siłą natomiast rozgorzała walka na kierunku zachodnim i północnym. Od strony Mularzowa ruszyły czołgi. Tam właśnie biły się kompania Rozłuckiego, pierwszy i drugi bataliony II Brygady.

Nasi ruszyli do kontrnatarcia w celu zlikwidowania hitlerowskiego klina. Utracone pozycje zostały odzyskane.

Nagle odczułem, że jest coś niepokojącego. Może to instynkt sygnalizował niebezpieczeństwo? W leśnym życiu ukształtował się silniej niż u ludzi żyjących w poczuciu bezpieczeństwa. Rozejrzałem się wokół. Zrozumiałem, że zostałem sam. W miejscu postoju sztabu już nie było nikogo. Skulony przeskakiwałem od jednej do drugiej osłony terenowej, zdążając w stronę lasu.

Na zatylu zabudowań wioski Jóźwików rozciągała się rozległa łąka, zupełnie odsłonięta. Nie było mowy, żeby ją przeskoczyć kilkoma susami. Dopadłem do jakiegoś rowu. Był płytki. Nad głową bzykały, jak rojące się osy, pociski karabinowe. Kilkudziesięciometrowy odcinek drogi, ostatni oddzielający mnie od skraju lasu, przebyłem jak najsprawniejszy żołnierz na pokazowych ćwiczeniach pełzania.

Dobrnąłem do lasu szczęśliwie. Tu — już swoi. Odetchnąłem. Pot spływał strużkami po twarzy. Usiadłem pod drzewem, głowę opierając o pień. Chciało mi się śmiać. Powody były oczywiste. Przez moją niepoprawną skłonność do obserwacji „zostałem się za batalionową ofermę, gapę”. Kiepski ze mnie żołnierz ochrony sztabu, skoro sztab zniknął jak kamfora, a ja tego nie zauważyłem. Swoją drogą, ktoś tam zapomniał pewnie zdjąć mnie z posterunku.

Po bitwie i to nie zaraz po bitwie, lecz dopiero po upływie kilku dni zrozumiałem, że z posterunku, podczas pośpiesznej ewakuacji sztabu z miejsca dowodzenia, po prostu nie miał mnie kto zdjąć. Dowiedziałem się, że por. Marat został ciężko ranny dwoma pociskami, jeden ugodził go w ramię, drugi w okolicę podbrzusza. Cierpiał okrutnie, przeżył dramatyczne chwile, lecz dzięki ofiarności towarzyszy broni, opiece służby szpitalnej w Końskich, gdzie zdołano go ulokować i trosce tamtejszej placówki AL uratował życie.

Ranny został także kpt. Łokietek, co nie przeszkodziło mu dalej dowodzić walką, mjr Zygmunt, wielu partyzantów odniosło ciężkie obrażenia. Byli wśród nas pierwsi zabici.

Na skraju lasu, którego dopadłem, chłopcy z II Brygady zajęli nowe stanowiska ogniowe. Za szańcem, usypanym z głazów, ponoć rękoma powstańców z 1863 roku, który stanowił naturalne umocnienie skraju rachitycznego lasu i spełniał znakomicie rolę tarczy osłonowej, zalegli partyzanci w niewielkim oddaleniu jeden od drugiego. Wyszukałem lukę pomiędzy dwoma żołnierzami i włączyłem się do walki. Dowodził tym odcinkiem osobiście dowódca naszej Brygady, kpt. Łokietek.

Pociski artyleryjskie z ogłuszającym hukiem, zwielokrotnionym przez echo, wybuchały kilkadziesiąt metrów za nami, nie wyrządzając żadnej szkody. Dym, kurz, eksplozje. Wrzawa bitwy zagłuszała nawet myśli.

Odpieraliśmy frontalne natarcie hitlerowców. Na chwilę zapadła cisza. Donośny głos Łokietka rozniósł się po pozycji.

— Chłopcy! Szwaby nie podejdą! Trzymać się. Tylko do wieczora!

Lecz oto przed oczyma pojawiły się sylwetki nacierającego wroga. Sto. Osiemdziesiąt metrów.

— Ognia! — rozkazał dowódca.

Zadudniły głośnym szczekaniem nasze cekaemy. Zaterkotały plując ciągłym ogniem erkaemy.

Na plecy posypały się, jak grad, łuski z pistoletu kolegi strzelającego tuż obok.

Pamiętałem o zasadach skuteczności ognia. Krótkie serie. Krótkie serie... bo gdy lufa automatu rozgrzeje się nadmiernie, pocisk nie sięgnie celu. Nie doleci.

Wymieniłem magazynek. Erkaemiści wymienili dyski.

— Ognia! Ognia!

Niemcy uciekli. Na polu pozostali zabici i ranni. I znowu zapadła cisza.

Tuż obok mnie leżał w kałuży krwi ranny towarzysz. Dwie nasze sanitariuszki już nie dawały sobie rady. Zresztą też stanęły do walki. Koledzy przenieśli rannego do ukrytego w parowie sanitarnego wozu. Złożyli go na wyścielonych słomą deskach furmanki. Pozostał jego karabin. Znakomita, dziesięciostrzałowa „zariadka”. Miałem ją po swojej lewej ręce, w rezerwie. Mój pistolet zamilkł. Do dozorów, które sobie wytrasowałem w terenie, gdzie dostrzegłem hitlerowskie gniazda, mój automat już tam, na taką odległość nie doniesie. Przydał się karabin rannego kolegi. Podciągnąłem kolbę, przycisnąłem w dołku strzeleckim. Chwilę mierzyłem starannie. Wziąłem odwet za to niedawne, snajperskie polowanie.

Przydał się ten karabin. Kto mógł przypuszczać, że w partyzantce zajdzie konieczność prowadzenia walki w klasycznym stylu, walki pozycyjnej.

„Zariadka” to świetny, celny karabin. Dalekonośny. Skuteczność ognia: 1000 metrów.

I znów promień słoneczny załamał się na stalowym hełmie. Strzał. Nie, tym razem chyba nie trafiłem. Hełm znika w nierównościach gruntu.

Na bronionym przez nas odcinku Niemcy nie poważą się już więcej ruszyć do ataku. Za drogo ich to kosztuje.

Myślę: statystyka wojny... Teoretycznie, każdy z nas powinien już być co najmniej jeden raz ranny.

Porucznik Marat dostał dwie kule, trzy pociski pokaleczyły ręce i nogi Lampa. Przeciętnie wypadło na nas — Marata, Lampa i mnie po nieco więcej niż półtora pocisku. Ja nie odniosłem rany. Szczęście?

Gdy człowiek uwierzy we własne szczęście i dojdzie do wniosku, że kule się go nie imają, wówczas przestaje się bać. Kapitan Orkan, ten wspaniały żołnierz i dowódca nigdy nie kłaniał się kulom. Zaraźliwa była ta jego odwaga.

Na prawej flance coś zaczęło się dziać niedobrego. W głąb lasu przenikali pojedyńczo partyzanci. Wyglądało, że ustępują.

Łokietek nakazał mi zorganizować na tym skrzydle ponownie twardą obronę. Nie dopuścić do odsłonięcia skrzydła.

Wyskoczyłem naprzeciw uchodzących z rozkrzyżowanymi ramionami.

— Stać! Stać! — wrzasnąłem i puściłem serię w powietrze. Równocześnie chwyciłem jakiegoś żołnierza za pas, aż zarył nogami w ziemię.

— Do mnie!

Chłopcy oprzytomnieli.

— Pluton! Na stanowiska! — rozkazałem

Gorączkowo przystąpiłem do rozwinięcia linii obrony. Wybrałem dla każdego pojedynczego strzelca stanowisko ogniowe.

Na skrzydłach rozmieściłem gniazda erkaemów. Sam zaległem po środku rozwiniętej linii dla łatwiejszego dowodzenia głosem i gestem obu skrzydłami, prawym i lewym. Linia była na tyle rozległa, na ile pozwalał nieduży teren. Za nami las. Przed nami łąka, z rzadka porosła krzewami.

Idą. Już ich widać.

— Chłopcy! Nie strzelać bez rozkazu! — podałem komendę.

Już, czy jeszcze nie? Moment wahania.

Sylwetki Niemców coraz bliżej. Sto pięćdziesiąt... sto trzydzieści... sto dziesięć — oceniłem w myśli odległość — sto metrów...

— Ognia!

Z wszystkich luf mojego, doraźnie zorganizowanego plutonu posypały się pociski.

Niemcy zalegli.

— Chłopcy! Tylko do wieczora! Trzymać się! — powtórzyłem rozkaz Łokietka.

Spojrzałem w niebo. Słońce jeszcze wysoko. Cholernie wysoko. Czy uda się wytrzymać do zmierzchu?

— Ognia!

Bili się ci chłopcy potem jeszcze jak szatany, odpierając kolejne uderzenia Niemców.

Wytrzymaliśmy do wieczora. O zmierzchu Niemcy poniechali walki.

Nocą, po drugim, tym razem udanym natarciu na niemieckie pozycje batalionu szturmowego zorganizowanego ad hoc z partyzantów II Brygady, pod dowództwem kpt. Orkana, zgrupowanie partyzanckie Armii Ludowej spod Gruszki przedarło pierścień niemiecki i wyszło z okrążenia.

P.S. Bitwa pod Gruszką toczyła się cały dzień 29 września 1944 r. W nocy, z 29 na 30 września, o godz. 1.30, po gwałtownym uderzeniu grupy szturmowej na pozycje niemieckie zgrupowanie partyzanckie z dużymi stratami przedarło się z okrążenia.

W bitwie tej brały udział: I Brygada Ziemi Kieleckiej AL, II Brygada Ziemi Kieleckiej AL „Świt”, oddział AL im. Bartosza Głowackiego, oddział radziecki pod dowództwem kpt. Filuka. Ogółem około 1.500 partyzantów.

Po stronie niemieckiej w walce przeciw partyzantom brały udział: brygada pancerna dowodzona przez gen. Steinbocka, oddziały Waffen SS oraz zmotoryzowana jednostka żandarmerii przydzielona czasowo przez dowództwo 9 armii niemieckiej do akcji przeciw partyzantom.

Kpt. Łokietek — Tadeusz Maj (nie żyje), Kpt. Orkan - Tadeusz Łęcki, por. Góral — Stefan Szymański, mjr. Zygmunt — Henryk Połowniak (nie żyje), por. Dulka — Adam Bakalarczyk, por. Marat — Wacław Tracz, Twardobij — Antoni Polakowski (nie żyje), Rozłucki — Jan Pora, Przełom — Mieczysław Mazurkiewicz, Zew — Kazimierz Simbierowicz (nie żyje), Maszt — Kazimierz Mazurkiewicz, Azja — Józef Bugajski (nie żyje), Kmicic — Apoloniusz Janczarski, Jurek — Stefan Skwarliński (nie żyje), Sosna — Jan Pocheć, Lamp — Jan Wrześniewski.

R. K.

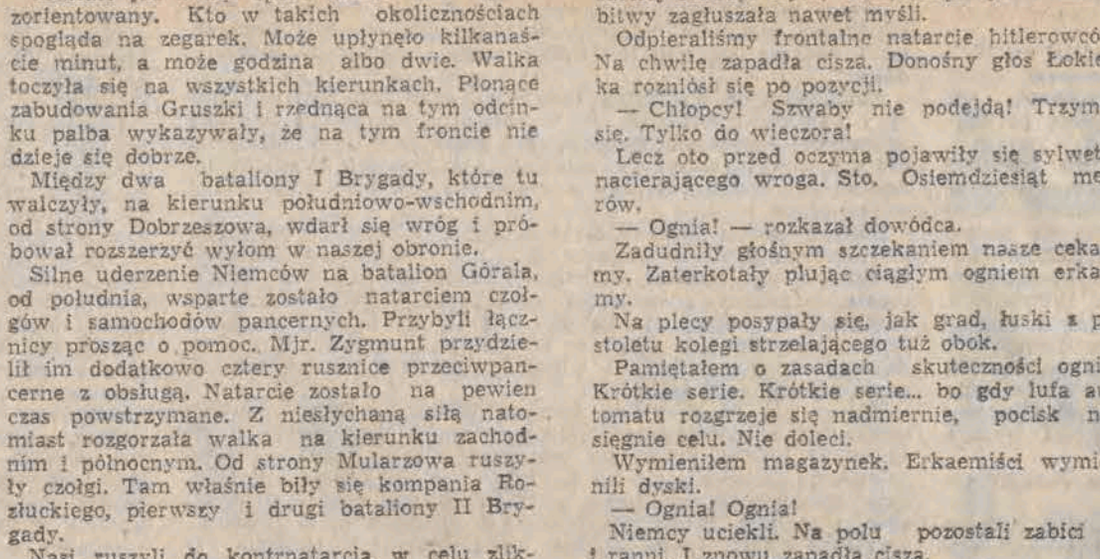

Zwiad partyzancki II Brygady Ziemi Kieleckiej AL „Świt”

(Ryszard Klimczak jest kapitanem rezerwy WP, w czasie drugiej wojny światowej był zastępcą szefa uzbrojenia II Brygady Ziemi Kieleckiej Armii Ludowej „Świt”, jest dziennikarzem i pisarzem).

Innowacyjność gospodarki

WITOLD KASPERKIEWICZ

Bez cienia przesady można stwierdzić, że działalność innowacyjna (pojmowana jako proces wprowadzania do produkcji nowych technologii, nowych lub zmodyfikowanych wyrobów) należy do najważniejszych, wręcz kluczowych problemów w naszej kryzysowej sytuacji. Innowacyjność gospodarki jest przecież najważniejszą cechą każdego systemu ekonomicznego, swoistym probierzem jakości określonej gospodarki. Tak istotne dla ogólnego obrazu efektywności gospodarki kategorie jak: kapitałochłonność, materiałochłonność i energochłonność produkcji są wynikiem innowacyjności gospodarki.

Doświadczenia obecnego etapu funkcjonowania gospodarki polskiej wskazują na konieczność zintensyfikowania działalności innowacyjnej we wszystkich dziedzinach wytwórczości. Można nawet powiedzieć o imperatywie innowacji w gospodarce polskiej, która na początku lat osiemdziesiątych stanęła w obliczu licznych wyzwań ekonomicznych. Imperatyw innowacji wynika z kilku zasadniczych przesłanek, wśród których dominującą jest wyczerpywanie się istotnych w latach siedemdziesiątych źródeł wzrostu dochodu narodowego. Dotyczy to pogłębiającego się deficytu siły roboczej w niektórych dziedzinach gospodarki oraz drastycznego ostatnimi laty ograniczenia importu licencji technologicznych i gotowych urządzeń z rozwiniętych krajów kapitalistycznych (notabene w latach 1981–1983 nie zakupiliśmy żadnej licencji).

Innowacje powinny interesować naszą gospodarkę z innego jeszcze powodu. Jesteśmy świadkami przyspieszenia rewolucji technologicznej w całym świecie, czego spektakularnym wyrazem są roboty przemysłowe, automatyzacja przemysłu, przenikanie do wszystkich sektorów gospodarki elektroniki i zbliżająca się eksplozja biotechnologii. **Według przewidywań ekspertów prawie 40 proc. produktów wytwarzanych za pięć lat, to wyroby, które dzisiaj jeszcze nie istnieją.** Aby uniknąć zastoju technicznego musimy przystąpić do ożywienia działalności innowacyjnej gospodarki. Nie możemy się od tego uchylić, gdyż w przeciwnym razie Polsce grozi prowincjonalizm techniczny i miano „narodu kustoszy" w muzeum techniki światowej.

1. PRZEJAWY REGRESU

W ostatnich trzech latach można zaobserwować wiele negatywnych tendencji w dziedzinie aktywności innowacyjnej naszej gospodarki, wywodzących się z głębokiego kryzysu gospodarczego. Sygnalizując szczególny wpływ kryzysu na regres innowacyjny, należy pamiętać, iż nawet w okresach „dobrej koniunktury" nasza gospodarka przejawiała swoistą **ociężałość innowacyjną**, wynikającą przede wszystkim z ułomności systemu nakazowo-rozdzielczego i generalnie niskiego prestiżu postaw i działań innowacyjnych w naszym życiu społecznym.

Najlepiej zauważalnym symptomem utrzymywania się negatywnych tendencji w tym zakresie jest występująca w przedsiębiorstwach orientacja na rozwiązywanie poprzez innowacje problemów doraźnych, o niewielkiej skali, zarówno w sensie wymiaru technicznego, jak i ekonomicznego. Przedsiębiorstwa wybrały taktykę przetrwania w trudnych i nie ustabilizowanych warunkach narzuconych przez kryzys i wymagania reformy. Ograniczenia w imporcie i krajowe braki zaopatrzeniowe zmusiły przedsiębiorstwa do podejmowania działań związanych z technologiami zapewniającymi oszczędność materiałów, surowców i energii. Jednocześnie niewielką rolę odgrywają przedsięwzięcia zmierzające do intensyfikacji produkcji, unowocześnienia wyrobów, podwyższania jakości i niezawodności wyrobów. Stanowi to bezpośredni skutek utrzymywania się stanu głębokiej luki inflacyjnej, która nie tworzy przymusu innowacyjnego u producentów.

Kolejnym przejawem niekorzystnych zjawisk występujących w omawianej sferze był (i nadal jest) uwiąd wynalazczości rozpatrywanej w aspekcie pracowniczych projektów wynalazczych i wynalazków sensu stricto. Nie zgłębiając tego problemu warto zasygnalizować, że np. w 1982 r. liczba zgłoszonych projektów wynalazczych wynosiła 120 tys., z czego zastosowano 83 tys. Dla porównania w 1980 r. liczby te wynosiły odpowiednio 274 tys. i 195 tys. Natomiast tendencje kryzysowe na polu wynalazków wyrażają się gwałtownym spadkiem liczby zgłoszonych wynalazków krajowych, z 6198 w 1980 r. do 4369 w 1981 r. i 4482 w 1982 r.

Zespół objawów charakterystycznych dla sytuacji kryzysowej wystąpił także w placówkach badawczo-rozwojowych (b+r), od których zależy w znacznym stopniu podaż innowacji. A oto niektóre szczególnie niebezpieczne zjawiska, jakie pojawiły się w działalności tzw. zaplecza b+r.

Po pierwsze — w 1982 r. miał miejsce **exodus kadr** zwłaszcza z instytutów resortowych. Stan zatrudnienia w zapleczu (b+r) w 1982 r. zmniejszył się o 32 tys. osób, czyli prawie o jedną czwartą wszystkich pracowników. Szczególnie niepokojący jest fakt, że z pracy w placówkach b+r rezygnują częstokroć badacze z wieloletnim doświadczeniem, co powoduje rozpad zespołów badawczych tworzonych przez wiele lat. Podstawową przyczyną tego exodusu jest relatywnie niski poziom średniej płacy w zapleczu b+r, który wynosi ok. 80 proc. średniej płacy w gospodarce. Warto wspomnieć, że osiem lat temu proporcje te były odwrotne.

Po wtóre — o degrengoladzie grożącej zapleczu b+r świadczą niekorzystne zmiany w strukturze badań prowadzonych w tych placówkach. Na przykład w placówkach resortu hutnictwa i przemysłu maszynowego w 1982 r. w porównaniu z 1976 r. udział badań stosowanych zmniejszył się z 19,7 proc. do 15,8 proc., prac rozwojowych z 56,8 proc. do 53,4 proc., a jednocześnie wzrósł udział produkcji materialnej i usług nie mających charakteru prac badawczych z 19,3 proc. do 27,3 proc. W okresie kryzysu wyrażającego się brakiem dostatecznej liczby zamówień ze strony przedsiębiorstw na prace badawczo-rozwojowe, zwłaszcza o nastawieniu perspektywicznym, placówki chętnie podejmują małotonażową produkcję antyimportową i rozbudowują swoje warsztaty usługowe. Z pewnością produkcja antyimportowa jest potrzebna gospodarce i stanowi źródło dochodów placówek b+r, tym niemniej dalsza rozbudowa tego typu przedsięwzięć może doprowadzić do upadku twórczego nurtu w działalności zaplecza.

Po trzecie — wiele placówek b+r egzystuje tylko dzięki środkom przyznawanym im przez MNSWiT z Centralnego Funduszu Postępu Techniczno-Ekonomicznego. Wiele placówek jedynie w 10 proc. pokrywa swoje potrzeby finansowe ze środków pochodzących z umów zawieranych z przedsiębiorstwami. Przyczyna wegetacji placówek tkwi nie tylko, jak się na ogół sądzi, w niedostatecznej skłonności innowacyjnej przedsiębiorstw, lecz także w pasywności kierownictwa zaplecza b+r. Niewiele jest placówek, które zastosowały ofensywną taktykę działania przypominająca „komiwojażera" starającego się o zlecenia na prace badawcze.

2. MECHANIZM REFORMY A INNOWACYJNOŚĆ GOSPODARKI

Założenia reformy naszkicowane w dokumencie podstawowym pt. **„Kierunki reformy gospodarczej"** oraz skonkretyzowane w licznych regulacjach prawnych nie traktują w sposób odrębny o mechanizmie innowacyjnym gospodarki narodowej. W projekcie reformy przyjęto milczącą tezę, że skłonność innowacyjna podmiotów gospodarujących uwarunkowana jest pryncypiami systemowymi, takimi jak: podział kompetencji decyzyjnych w gospodarce, jakość więzi poziomych między uczestnikami rynku, struktury organizacyjne, charakter systemu cen, system finansowy etc. Z analizy założeń docelowego mechanizmu reformy wypływa konkluzja, że najważniejszym warunkiem społecznie pożądanej aktywności innowacyjnej przedsiębiorstw jest presja na efektywność, przymus efektywności gospodarowania.

Na podstawie analizy systemu reformy w wersji 1983 i 1984 r. można zaryzykować stwierdzenie, że system ów kryje w sobie zarówno rozwiązania proinnowacyjne, ożywiające zainteresowanie przedsiębiorstw innowacjami, jak i rozwiązania połowiczne, a nawet nieskuteczne w tej dziedzinie. Spośród wielu różnorakich elementów systemu ekonomiczno-finansowego wyłaniającego się z docelowego projektu reformy i licznych regulacji przejściowych zamierzam przedstawić kilka, w moim przekonaniu, najistotniejszych rozwiązań rzutujących na innowacyjność gospodarki.

1. Najważniejszym proinnowacyjnym rozwiązaniem w systemie reformy jest znaczne **rozszerzenie samodzielności** decyzyjnej przedsiębiorstw. Cele i zakres działalności innowacyjnej ustala przedsiębiorstwo samodzielnie w oparciu o rozeznanie potrzeb odbiorców i przyszłej sytuacji rynkowej, możliwości zaopatrzenia w materiały i maszyny; własną znajomość stanu wiedzy i techniki w określonej dziedzinie oraz informacje płynące z centrum gospodarczego. Projekt reformy oraz ustawa o przedsiębiorstwach państwowych przyznają organowi założycielskiemu prawo nałożenia na przedsiębiorstwo obowiązku podjęcia określonej działalności (w tym również innowacyjnej) związanej z potrzebami obronności kraju, klęską żywiołową lub wykonaniem międzynarodowych zobowiązań gospodarczych. Realizacja takiego zadania powinna następować na mocy umowy zawartej między przedsiębiorstwem a jednostką organizacyjną wskazaną przy nakładaniu zadania. Umowa ma charakter cywilno-prawny, a środki niezbędne do jej realizacji zapewnia organ założycielski.

2. Wyłaniający się z założeń reformy mechanizm ekonomiczny polega na ustanowieniu jednorocznego zysku netto, jako głównego miernika oceny pracy przedsiębiorstwa i uzależnieniu od tej kategorii części płacy załogi w formie udziału pracowników w zysku. Rozwiązanie to determinuje podstawowy motyw działalności przedsiębiorstwa i pracy jego załogi, którym staje się dążenie do powiększenia udziału w zysku. Wobec tego z całą ostrością może ujawnić się konflikt między działalnością krótkookresową a długookresową (innowacyjną). Realna jest groźba ugruntowania niechęci przedsiębiorstw do dokonywania nakładów przynoszących efekt po upływie okresu dłuższego od roku, a więc przede wszystkim nakładów na innowacje technologiczne i produktowe, a także niechęci do ponoszenia uzasadnionego ekonomicznie ryzyka. Z dwóch sposobów zwiększania zysku: obniżki kosztów produkcji poprzez stosowanie innowacji i wzrostu cen, przedsiębiorstwa wybierają łatwiejszy sposób, a więc manipulowanie cenami. Wyborowi temu sprzyjają silne napięcia rynkowe ułatwiające praktyki monopolistyczne.

3. Hipotetycznie rzecz ujmując zasada samofinansowania, która określa ekonomiczną odpowiedzialność przedsiębiorstw rodzić powinna niejako naturalną presję na innowacje. Jednak analiza uregulowań konkretyzujących tę zasadę w założeniach reformy i ustawach sejmowych budzi wątpliwości, co do słuszności owej hipotezy. Zasada samofinansowania prezentowana w tych dokumentach nie gwarantuje uruchomienia skutecznego mechanizmu samoregulacji zmuszającego przedsiębiorstwa do proinnowacyjnych działań. Do takiej konkluzji upoważniają dwa spostrzeżenia.

Po pierwsze — wpływ samofinansowania na skłonność innowacyjną przedsiębiorstw nie jest automatyczny. Przedsiębiorstwa dysponują wieloma sposobami optymalizacji swego celu, wśród których w obecnych warunkach, działalność innowacyjna nie stanowi metody najistotniejszej. Powodem tego jest słabość niektórych rozwiązań ekonomicznych, jak również brak objawów konkurencji wewnętrznej i zewnętrznej, który trudno jest skompensować wyspecjalizowanymi narzędziami ekonomiczno-finansowymi.

Po wtóre — zasada samofinansowania jest realizowana w sposób oportunistyczny w stosunku do tradycyjnego systemu nakazowo-rozdzielczego. Przejawy owego oportunizmu można przedstawić następująco.

Przyznanie szerokich kompetencji cenowych producentom zajmującym pozycję monopolistyczną wobec nabywców jest de facto uchyleniem twardych ograniczeń finansowych dla pewnej grupy przedsiębiorstw. Ceny ustalone przez monopolistów tracą swój parametryczny charakter stając się narzędziem realizacji pozornej zasady samofinansowania.

Kwitnie w dalszym ciągu system subwencji i dotacji bezzwrotnych lub pozornie zwrotnych dla wyrównania strat poniesionych przez określone przedsiębiorstwa. Tamę dla obfitego wciąż potoku dotacji powinna położyć konsekwentna realizacja ustawy o poprawie gospodarki przedsiębiorstwa państwowego i jego upadłości oraz ustawowe określenie wyselekcjonowanych dziedzin gospodarki, które z ważkich względów społecznych powinny być objęte „paternalistyczną" polityką państwa.

4. Wysoce kontrowersyjnym z punktu widzenia oddziaływania na innowacje rozwiązaniem reformy (zaliczanym do gatunku przejściowych) jest **rozdzielnictwo materiałów i surowców.** System ten, nawet w formach optymalnych, niekorzystnie wpływa na aktywność innowacyjną przedsiębiorstw, gdyż usztywnia zaopatrzenie materiałowe. Programy operacyjne i zamówienia rządowe wprowadziły określone preferencje zaopatrzeniowe przyznając je przede wszystkim wyrobom i procesom już znanym. Innowacje pozostają na ogół poza obrębem owych preferencji i napotykają barierę zaopatrzeniową. Szansa na przezwyciężanie tej bariery tkwi w intensyfikacji zamówień rządowych dotyczących prac badawczych i rozwojowych oraz zadań wdrożeniowych. Zgodnie z ustaleniami Komisji Planowania przy Radzie Ministrów zamówieniami rządowymi objęte są te przedsięwzięcia, które ze względu na wysokie koszty i znaczny stopień ryzyka nie mogą być realizowane z własnej inicjatywy przedsiębiorstw.

5. Projekt reformy i ustawa o gospodarce finansowej przedsiębiorstw zawierają **zestaw rozwiązań pobudzających innowacje.** Istotne znaczenie dla skłonności innowacyjnej przedsiębiorstw ma fundusz postępu techniczno-ekonomicznego (FPT-E) tworzony z narzutów obciążających koszty własne wydatkami na badania, prace rozwojowe i wdrożeniowe (bez inwestycji). W przedsiębiorstwach nie tworzących tego funduszu wydatki na postęp techniczno-ekonomiczny obciążają bezpośrednio koszty działalności przedsiębiorstwa. Wydatki te pomniejszają potem zysk i jednocześnie podatek dochodowy.

Fundusz ten jakkolwiek słuszny w swej istocie nie jest wolny od pewnych słabości, które mogą niweczyć jego proinnowacyjne oddziaływanie. Zastrzeżenia budzi zwłaszcza przyjęcie zasady podmiotowego ustalania normy odpisu na FPT-E, tzn. określenie tych odpisów w postaci średniej wielkości dla poszczególnych ministerstw. Zamiast tego ujęcia trafniejsze wydaje się ustalenie tych odpisów w sposób przedmiotowy, tzn. dla poszczególnych grup wyrobów. Trudno też zrozumieć dlaczego procentowe stawki odpisów określono w sposób mało zróżnicowany i zarazem zaniżony dla niektórych producentów, nie uwzględniają ogromnych różnic w zapotrzebowaniu na innowacje i w naukochłonności produkcji. Przykładowo stawka odpisu dla resortu hutnictwa i przemysłu maszynowego wynosi 1,15; a dla urzędu geodezji i kartografii 1,03; dla resortu górnictwa i energetyki 0,60; a dla resortu oświaty i wychowania 2,0.

Inną sprawą budzącą wątpliwości jest przyjęta na okres przejściowy (prawdopodobnie do 1985 r.) regulacja, w myśl której 50 proc. wpłat na FPT-E przedsiębiorstwa przekazują na fundusz centralny nieodzowny dla zapewnienia kontynuacji badań w centralnie sterowanych programach badawczych oraz stworzenia możliwości udzielania subwencji dla przedsiębiorstw realizujących szczególnie ważne zadania innowacyjne. Nie negując konieczności istnienia centralnego funduszu należy jednak sceptycznie odnieść się do niesłusznego, w przekonaniu niektórych przedsiębiorstw, jednolitego wskaźnika podziału środków z odpisu na FPT-E. Z powodu zróżnicowanego popytu producentów na innowacje wskaźnik ten jest zbyt niski dla przedsiębiorstw reprezentujących przemysły naukochłonne np. elektroniczny czy chemiczny, a w pewnych przypadkach zbyt wysoki dla przedsiębiorstw przemysłu bawełnianego, odzieżowego etc.

6. Ważnym czynnikiem określającym zainteresowania samodzielnych przedsiębiorstw innowacjami są formy ich ekonomicznych i organizacyjnych powiązań z placówkami b+r. Rozwiązania narzucone przez reformę **nie ograniczają przedsiębiorstw w wyborze źródeł innowacji:** przedsiębiorstwa mogą prowadzić własne prace b+r, tworzyć wespół z instytutami naukowymi zakłady naukowo-produkcyjne bądź korzystać na zasadach umownych z usług placówek b+r. Ten ostatni typ współpracy odgrywać powinien, zgodnie z intencją reformy, pierwszorzędną rolę w kreowaniu podaży innowacji.

Następstwem reformy w funkcjonowaniu jednostek b+r jest zwiększenie zakresu ich samodzielności ekonomiczno-finansowej. Wyodrębnione placówki b+r mają działać według zasad uniwersalnych, czyli:

a) samofinansować się oraz czerpać korzyści wynagrodzeniowe i rozwojowe z dzielonego przez siebie zysku i

b) być zarządzane bez udziału samorządu jako organu posiadającego uprawnienia w istotnych dla załogi sprawach.

W tym kontekście stwierdzić należy, że objęcie schematyczną komercjalizacją sfery badań i rozwoju jest w wielu przypadkach pozbawione sensu, zwłaszcza w odniesieniu do badań podstawowych oraz tych kierunków badań sterowanych, którymi nie są bezpośrednio zainteresowane przedsiębiorstwa. Brak jest również ważkich powodów, aby nie przyznać wielu placówkom prawa funkcjonowania w formie jednostki samorządnej.

Wątpliwości rodzą się także w związku z systemem państwowych dotacji podmiotowych dla ogółu placówek. Dotacje te pod nazwą subwencji zasilających fundusz rozwoju placówki są przyznawane uznaniowo przez ministerstwa gałęziowe i innych dysponentów funduszu prac badawczych. Jest to forma uzasadniona tylko w przypadku badań podstawowych i placówek realizujących je. Natomiast niefrasobliwe stosowanie tej formy bez żadnych ograniczeń zagraża przymusowi efektywności w placówkach, gdzie samofinansowanie należy egzekwować z konsekwencją.

Warto także wspomnieć o braku stabilizacji zasad działalności placówek b+r. Funkcjonują one w oparciu o Uchwałę nr 282 Rady Ministrów z 30 grudnia 1982 r., która ma charakter prowizoryczny i dlatego negatywnie wpływa na planowanie tematów badawczych. W związku z tym szczególnie pilny wydaje się postulat sformułowania w formie ustawy spójnych zasad funkcjonowania zaplecza badawczego przemysłu pozbawionych biurokracji, płynności rozwiązań organizacyjnych i nieuzasadnionych interesem rozwoju techniki dotacji.

„Telimena" skończyła z kryzysem

TERESA JERZYKOWSKA

Foto: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Modelki od pozostałych, tzw. przeciętnych kobiet różnią się m.in. tym, że przysłowiowy stary worek potrafią nosić z takim wdziękiem, iż zamienia się on w awangardową kreację. Natomiast zaprezentowana ostatnio w Teatrze Wielkim kolekcja modeli „Telimeny", tym różniła się od wielu, które mogliśmy oglądać, że w pokazanych sukniach, kostiumach i płaszczach równie znakomicie wyglądać będą również panie, które modelkami nie są. Podstawowa cecha modeli — to obszerność. W kilometrach miękkich materiałów, w licznych fałdach, poszerzanych krojem lub poduszkami ramionach znakomicie skryją się nie całkiem idealne nogi, trochę za gruba talia, a nawet wałeczki tłuszczu. Oczywiście nie dotyczy to kobiet najbardziej, mówiąc łagodnie, okazałych, bo tym najlepszy nawet projektant nie pomoże.

W dzień ubierze nas więc „Telimena" w duże, długie, płaszcze z miękkiej wełny, pod to — równie duże i miękkie suknie bądź komplety, do tego — prawie męskie kapelusze, grube pończochy (mogą się marszczyć na kostkach) i płaskie botki. Na wieczór — czarny angielski haft z dużymi dziurami, lejące się białe atłasy i ręcznie malowane, naturalne jedwabie. Wszystkie zaprezentowane modele wejdą do produkcji, ale oczywiście nie starczy ich dla wszystkich chętnych. Kto nie kupi — może uszyć sam, pamiętając, że ma być obszernie. Tak obszernie, jakby nie było żadnych trudności z kupnem materiału.

„Dama Kameliowa" i inne

ROBERT GLUTH

Motto: „Reportaż ozdobiony histerią autora, przypomina gulasz przyrządzony przez wariata. Staraj się beznamiętnie notować czyjeś słowa. I tak powiedzą ci w końcu rzeczy straszne".

Egon Erwin Kisch

(w liście do Franty Nezvala).

Geografia łódzkich pijalni piwa jest uboga, ale jednak się zmienia. Obecnie ferajna zbiera się w lokalach przy ulicy Wschodniej, przy Prochniku Gdańskiej i w słynnym „Kuflu" na rogu Kościuszki i Andrzeja. Tam jednak niezbyt bezpiecznie zachodzić — jak fama niesie — „naloty" często się zdarzają, a kelnerki bardzo nie lubią lekko podpitych zaczepek. Ferajna jest różna. Najgrzeczniejsza przy ulicy Wschodniej, gdzie króluje za bufetem szefowa, przed którą stoi plastykowa wiewiórka, do której za każde rzucenie mięsem trzeba wrzucić brzęczącą monetę. Przeważają tam kibice sportowi, no i oczywiście przypadkowi amatorzy „jasnego łódzkiego". Gdzieś tam przy Obrońców Stalingradu, w okolicach Przybyszewskiego i w innych takich punktach — to już nie ten fason.

Sierpień 1984, jak wiadomo, był bardzo gorący, wewnątrz lokalu przy ulicy Gdańskiej dwaj kandydaci bodaj na hutników pracowali w śmiertelnym upale, ubrani jedynie w kitle. Wydawali piwoszom po kilka butelek trunku, inkasując należność plus zastaw za butelki — co okaże się niezmiernie ważne. Po wyjściu z redakcji wpadłem w tunel upału, więc pierwsze kroki skierowałem do tej właśnie pijalni. Stwierdziłem, że znają się tam chyba wszyscy, zabierają swój „browar" i idą wypić go na placyk przed lokalem na plecionych krzesełkach przy niezmiernie brudnych stolikach.

— Czy mogę się dosiąść? — zapytałem dwóch już tęgo zaprutych panów, pod których stolikiem dla wzmocnienia stało kilka butelek wina.

— Siadaj frajerze, nam nie przeszkadzasz.

I nagle pojawiła się ONA. Mogłem przypatrzeć się jej dłużej, bo usiadła o kilka stolików dalej. Była chyba ładna. Tylko zaniedbana, jakby porowata twarz ją szpeciła. Dwaj starsi panowie przy tym samym stoliku opróżnili właśnie kolejne butelki i wtedy ona sprawnym przytknięciem palców zrzuciła je na bruk. Rozległ się trzask szkła. Faceci zerwali się i dali nogę.

Ona tymczasem krążyła od stolika do stolika, odmawiała zdecydowanie poczęstunku, zdaje się, że była już dobrze spita, brała puste butelki i z trzaskiem rozwalała je o bruk. Nie mówiła przy tym ani jednego słowa — a jednak starzy bywalcy nie protestowali, każdy z nich przecież tracił po kilkadziesiąt złotych zastawu — starali się jak najszybciej uciekać. Przybyła budziła jakiś irracjonalny lęk.

Gdy dosiadła się do stolika, przy którym sączyłem z wolna drugą już butelkę, usiadła na wolnym krześle, tyłem do mnie i powiedziała.

— Wypij, synu, szybciej to piwo.

— Ależ dlaczego pani to robi? Przecież tu za chwilę może być milicja, ludzie się pokaleczą, obsługa będzie miała masę roboty. Co pania napadło?

— Nie twoja sprawa, dziadu.

Zakołysała się lekko, wstała, odeszła. Skąd mogłem przypuszczać, że spotkam ją jeszcze raz w okolicznościach absolutnie makabrycznych.

„DAMA KAMELIOWA"

Ongiś, niedaleko Piotrkowskiej 96, tam gdzie teraz Coctail-bar, mieściła się w latach sześćdziesiątych pijalnia piwa. Schodzili się tam przedziwni ludzie. Sporo było zabijaków, dziwaków, przychodził nawet śmiertelnie chory na gruźlicę poeta. Częstymi gośćmi byli milicjanci z patroli legitymujący na prawo i na lewo, niektórych delikwentów proszący do radiowozu. Jeden plutonowy — już chyba na emeryturze — w rozpędzie huknął na mnie: „ty lumpie". Nie pytałem dlaczego. Widocznie takie było ogólne pojęcie o bywalcach, a ani na wydobycie dowodu, ani legitymacji prasowej nie było czasu, bo uwaga została rzucona szybko i mimochodem.

Jedyną kobietą w owej pijalni, tolerowaną absolutnie przez wszystkich była dziewczyna chyba ongiś bardzo piękna, ale o twarzy już zniszczonej. Skąd wziął się przydomek „Dama Kameliowa" tego nie wiem. Tak już ją poznałem, a zaczęło się od tego, że podała mi wycinek z „Expressu" z kroniki wypadków, gdzie czarno na białym stało, że dziewczyna rzuciła się przez okno.

— Widzisz, te inicjały to właśnie ja.

— I nic ci się nie stało?

— Złamałam obie nogi, poleżałam w szpitalu, ale tu przecież o mnie piszą.

— Na mój nos, Damo Kameliowa, to przecież żaden powód do dumy.

— Co ty wiesz o życiu? Ja to przecież zrobiłam z miłości. Śmiejesz się? Ty może myślisz, że ja jestem kurwa? Zapytaj kogoś tutaj, czy coś ze mną miał. Ja znałam tak z obserwacji jedna panią doktor. Od czego ona tam była doktorka, to nie wiem, ale mieszkała też na Piotrkowskiej. Miała męża i córeczkę. A wiesz, co raz widziałam? Jak rżnęła się na klatce schodowej z młodym człowiekiem. A co dozorca o niej mówił, to pożal się Boże. Mąż się z nią rozwiódł, bo już tego nie wytrzymywał. Widzisz, to są kurwy. Dobrze sytuowane, bardzo szanowane. Ja cóż, mieszkam kątem, często zmieniam pracę. Notowana też już byłam, ale nie za kradzież ani kurewstwo. Jedną chwyciłam za kudły i rozwaliłam jej buzię. Tylko dlatego, że powiedziała do mnie to słowo. A ja przecież tego majstra naprawdę kochałam. Oczywiście mi nie wierzysz, myślisz że puszczam się na prawo i lewo. Ja już tak paskudnie wyglądam — to niczemu się nie dziwię.

ZDARZENIE POD SEMAFOREM

Wszyscy tutaj występujący zastrzegli pełną anonimowość, łącznie z obsługą stacji podłódzkiej.

Tam w drodze do Warszawy pociąg zatrzymał się gwałtownie, rozległ się krzyk pasażerów, konduktorów, obsługi sygnalizacyjnej. Wyszedłem razem z innymi. Na torach leżała ta sama dziewczyna, która w upalny dzień sierpniowy rozwalała butelki od piwa przy ulicy Gdańskiej. Albo przynajmniej łudząco podobna. Bo, wiecie, grymas bólu i krew zniekształcają.

Rozpoczęły się błyskawiczne czynności rutynowe. Pracownicy SOK otoczyli miejsce wypadku, konduktorzy zagnali pasażerów do przedziałów, uspokajając ich, że nic się nie stało, za chwilę było pogotowie kolejowe i posterunkowi ze stacji. Lekarz powiedział:

— Ta miała szczęście. Obie nogi poszły, trochę szoku, ale chyba żyć będzie.

Nie towarzyszyłem lekarzowi, bo i po co. Poszedłem ze starym, wąsatym, żeby było śmieszniej, sierżantem na posterunek stacyjny.

— Czy pan wie coś o tej denatce? Ja ją kiedyś widziałem chyba w Łodzi. Rozrabiała.

— Mój drogi — powiedział sierżant — rozrabiała nie raz, a mieszka na stałe w Łodzi, bo tak stoi w dokumencie, ale krąży po okolicach. Pan myślisz, że to złodziejka? Nic z tych rzeczy. Badaliśmy tę sprawę na wszystkie możliwe sposoby, trochę przygodnych znajomości, to wszystko. Ale zdziwi się pan, że ta jej prostytucja to pachnie trochę jakąś dobroczynnością. No, najwyżej wypije z przygodnym znajomym, prześpi się u niego.. Bo widzi pan, tam gdzie ona mieszka na stałe, to wszyscy wyzywają ją od prostytutki, a ona od tego ucieka. Ja, jako funkcjonariusz MO, to nie mam prawa tak do pana mówić, bo według oficjalnej nomenklatury powinienem orzec „element aspołeczny", bo już pasożyt jakoś nie pasuje. Dziewczyna najmuje się do pracy w ogrodnictwie, a kolej to już zna jak własną kieszeń, bo brała się nawet za cholernie ciężką robotę podbijania torów. Wie pan, mam do pana zaufanie i na tyle znam prawo prasowe, że pan nigdy nie puści farby, kto ja i skąd. Ale mnie jej cholernie żal. Co ja tu właściwie mogę zrobić, tu jakiś lekarz, psycholog, jakiś prorok czy samarytanin mógłby coś pomóc, ale nie moja rutynowa służba.

Sierżant zamyślił się. Po chwili zameldował się młody funkcjonariusz, pogadali, tamten się odmeldował i znów zostaliśmy sami.

— Wie pan — ciągnął sierżant — paskudną sprawę to my mamy z czymś innym. Z takimi trzema rajzerkami już pełnoletnimi, które werbują sobie małoletnie uczennice szkolne i wyruszają z nimi na parę nocy do chłopaków z OHP z melioracji. One są kute na cztery nogi. Oczywiście często łapiemy je na tym procederze, ale nie zawsze — bo widzi pan, w razie czego, to wszystkie milczą, wyuczone są co gadać, nie reagują na nasz regulaminowy krzyk... ach, szkoda gadać.

Zresztą pociągi, stacje, szczególnie te małe, a i duże dworce to istne skaranie boskie. Mówią, że obyczajówka w wielkich miastach ma masę roboty. A kto nas kiedykolwiek pyta ilu tu samobójców, zagubionych, dziwnych, uciekinierek z domów, złodziejaszków? I w tym wszystkim, to my musimy wybierać, bo ja nie powiem, że wszyscy myślą tak jak ja, ale dla mnie człowiek człowiekowi nierówny i niejednemu pomoc, taka wielka pomoc społeczna, dobre słowo, opieka, to wszystko by zmieniło. Proszę pana, ja pracuję już czternaście lat w MO i ja wiem jedno, że nie ma mętów — chyba że są to zbrodniarze, wampiry, diabelscy recydywiści, ale ci mali, ci żałośni, to takie okropne nieudaczniki. Mnie ręce opadają, bo ja wiem, że wszystkiemu jest winna pewna niezdolność. Społeczna niezdolność. No, bo, niech mi pan wytłumaczy, dlaczego ta dziewczyna chciała umrzeć pod semaforem?

JESZCZE RAZ „DAMA KAMELIOWA"

Niedawno odwiedzałem serdecznego przyjaciela w szpitalu imienia Mikołaja Kopernika, lekarza na wysokim stanowisku. Miał trochę wolnego czasu, pokazał mi kilka ciekawych przypadków... I nagle słyszę głos:

— Cześć Robert, i ty tutaj?

Odwracam się, razem ze mną dostojny gospodarz, a tu ni mniej ni więcej — „Dama Kameliowa" cała w bandarzach. Podszedłem do niej i pytam:

— Co się stało, staruszko?

— Och, miałam wszystkiego już dosyć, ale tu w szpitalu mam kawałek cudownego życia, to nic, że ból. Ale ci lekarze i siostry, wszyscy tacy serdeczni, tacy dobrzy, uprzejmi, zupełnie jak dla każdego człowieka. A ja przecież jestem takim zwyczajnym człowiekiem — nie?

I potem szeptem dodała:

— Tu nikt mnie nie uważa za wycirusa, wiesz?

I nagle sobie uświadomiłem, że przecież ja, mały facet, dbający o pozory pan redaktor w latach sześćdziesiątych obiecałem tej dziewczynie, że pójdziemy razem, jak to mówią pokazać całemu światu, do Sali Malinowej w Grand Hotelu i ona na tę okazję uszyła sobie sukienkę. Nigdy mi nie wypomniała mojej niesłowności, mojego tchórzostwa.

Jak wielkie serce w tym nieudaczniku i jaka małość w panu redaktorze R. G.

Ja oszust

Foto: Jerzy Proppe

Dokończenie ze strony 1

tówki na kwiaty i drobne upominki. Zapraszał do hotelowego pokoju, by rankiem „odpłynąć" z biżuterią naiwnych niewiast.

Na liście ofiar uwodziciela figurują nazwiska 22 kobiet, w tym: Dunki, Francuzki i dwóch Cyganek. Francuzka straciła najwięcej — prawie 2 mln zł. Trzy panie oskarżają Piotra K. o gwałt. Twierdzą, że był wobec nich brutalny i groził użyciem ostrego narzędzia. Jest wśród nich 16-letnia uczennica. Reszta kobiet nie ma zastrzeżeń do manier oszusta, pragnie jedynie odzyskać utracone precjoza.

Część pieniędzy, którymi dysponował Piotr K pochodziła z hazardu. Przy pokerowym stoliku Piotr K. potrafił wygrać w ciągu nocy nawet milion złotych.

Niebawem, przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi dojdzie do podsumowania trzymiesięcznej kariery oszusta i uwodziciela.

Rozmowę tę przeprowadziłem z Piotrem K. prawie dokładnie w rocznicę jego aresztowania.

PIOTR K. MÓWI O SOBIE:

Większość artykułów prasowych na mój temat nosi taki krzykliwy tytuł: „Drugi Kalibabka", „Wielki oszust" albo „Brutalny wdzięk uwodziciela". Nie można mnie porównywać z Jurkiem Kalibabką. Znam człowieka osobiście. Obcowałem z nim na wolności z tym, że nie wiedziałem co ten człowiek robi. Wiedziałem, że ma pieniądze, wiedziałem, że te pieniądze zdobywa w sposób nielegalny. Nie wiedziałem, że jest takim oszustem którym ja jestem od iks czasu. Po pierwsze nie wzorowałem się na tym człowieku. Po drugie nie mogłem się wzorować, bo ja oszukuję ludzi od wielu lat, a Jurek Kalibabka *niestety zaczął działać dopiero* od osiemdziesiątego roku. Jeżeli mielibyśmy numerować: Kalibabka I, Kalibabka II, to raczej ja powinienem być jedynką, a on dwójką. Nie można mnie porównywać do Kalibabki, bo on w mojej ocenie nie zasługuje na miano oszusta. Jest to człowiek, który oszukiwał, ale przy tym oszukiwaniu bił i gwałcił. Ja żadnej kobiety nigdy nie biłem, żadnej kobiety nigdy nie zgwałciłem. Zresztą miałem taką swoją zasadę, że starałem się być kulturalnym złodziejem. Porównywanie mnie do niego mija się z celem bo ja nie poczuwam się do tego. Tytuł „Kalibabka II" robi mi reklamę, która nie jest dla mnie dobra, bo każdy automatycznie myśli o mnie że to jest oszust, ale przy okazji i bandyta. Poza tym wpływa to na zeznania świadków — co też nie jest dobre. Opieranie się na zeznaniach trzech kobiet, bo trzy zeznają że byłem brutalny, nie jest współmierne. Nie można twierdzić, że byłem taki czy inny bo nie ma prawomocnego wyroku. A może stanie się cud i zostanę uniewinniony.

Uważam, że nie jestem winien gwałtów. Bo na przykład: białostoczanka jest mężatką, ma bardzo zazdrosnego męża. Przebywała ze mną w pokoju hotelowym od dwunastej w południe do trzeciej nad ranem, to jest piętnaście godzin. Czy można gwałcić kobietę przez piętnaście godzin? Do tego ja kilkakrotnie wychodziłem z pokoju do pokoju wchodziła kelnerka z szampanem — i gdzie tu gwałt.

Poznanianka twierdzi, że byłem brutalny, groziłem jej itd. Bzdura! Twierdzi nawet, że ją biłem. Też bzdura! Po pierwsze nie ma obdukcji. Po drugie, pół roku po fakcie okradzenia zaczęła twierdzić, że ją zgwałciłem. Dlaczego nie od razu — nasuwa się pytanie.

Tak, zgoda — kradłem i oszukiwałem, ale nigdy nie biłem i nie gwałciłem.

Nie jestem wielkim szulerem. Lubię grać w karty, hazard mnie pociąga. Czy umiem? Mam szczęście. A że są ludzie naiwni, którzy potrafią przegrywać kilkaset tysięcy w ciągu nocy no to przecież z takich naiwnych żyje świat. Człowiek, który gra tak jak ja, licząc na swoją zręczność, czy na przysłowiowy łut szczęścia, to człowiek, który nie powinien być karany a jeszcze powinien otrzymać jakąś nagrodę. Przecież ja zamrożone pieniądze wprowadzałem w obieg i państwo z nich korzysta — to jest coś bardzo dobrego. Tym bardziej, że nie płacę za rzecz, która jest warta sto złotych, lecz dwukrotnie czy trzykrotnie więcej.

Piszą, że wydawałem ogromne sumy. Wcale te pieniądze nie były tak strasznie wielkie. Dziennikarze piszą, że wydałem parę ładnych milionów. A mnie mnóstwo rzeczy drogo kosztowało. Niektóre z kobiet obdarowałem. Któraś dostała złoty zegarek, któraś tam jeszcze coś. W sumie, później mi się to zwracało, ale już koszty własne były wielkie. Kiedy zarobiłem milion złotych, to na czysto miałem z tego sześćset czy siedemset tysięcy. Poza tym, ekskluzywne życie, ciuchy, które są w tych czasach bardzo drogie, drogie drinki, drogie knajpy, dziewczyny, poker — nie zawsze można przecież wygrywać. Są nieraz lepsi — to znaczy ci, co mają więcej szczęścia. Sumy dla przeciętnego człowieka były ogromne, a ja nie czułem, że wydawałem tak dużo. To koszt życia był wielki. Jeżeli chciałem zarobić milion czy pół miliona, to musiałem w kobietę zainwestować, mogłem udawać biednego studenta i też bym zarobił te pieniądze. Z tym, że musiałbym na to pracować dłużej i musiałbym w to włożyć dużo więcej inwencji, mojej pracy, a jestem trochę leniwy i nie chciało mi się.

O KOBIETACH:

Moje zdanie na temat kobiet zupełnie się nie zmieniło. Nawet jest ono lepsze, bo wiele z kobiet, które w akcie oskarżenia wymienione są jako poszkodowane, w stosunku do mnie zachowuje się bardzo elegancko — nawet za elegancko. Piszą do mnie, przyjeżdżają — to znaczy, chcą przyjeżdżać, bo prokurator niestety stwierdził, że on nie będzie za mnie płacił alimentów i zezwoleń na widzenie nie będzie wydawał. Uważam, że kobieta która po tym co jej zrobiłem — a uważam, że zrobiłem niektórym wielką krzywdę — zachowuje się tak, a nie inaczej, to rozsądna kobieta. To nie chodzi nawet o to, że wziąłem gotówkę, biżuterię albo inne walory, bo nigdy w swoim życiu nie okradłem człowieka, który był biedny i zarobił na przykład dziesięć tysięcy na państwowej posadzie i jutro nie miał na chleb. W takim towarzystwie nigdy się nie obracałem i takich ludzi nie spotkałem. Jeżeli kogoś okradłem to wiedziałem, że ten ktoś będzie miał następnego dnia taką samą czy podobną sumę i to nie będzie dla niego wielki ubytek. Więc jeżeli zrobiłem tym kobietom krzywdę — bo rzeczywiście można to tak brać — to chodzi o to, że okradłem je z jakiś tam złudzeń — może niektórym nawet serduszko ukradłem... Ale większość z tych kobiet w stosunku do mnie zachowuje się bardzo fajnie, bardzo fair, na tej zasadzie, że piszą do mnie, utrzymują ze mną kontakty. Mam tu mnóstwo listów od nich. Może robią nawet aż za dobrze i to zmieniło moje zdanie o kobietach na dużo lepsze, niż miałem do tej pory.

W tych listach są takie fajne, ciekawe słowa — wspomnienia, uczucia, to, tamto. W sumie jest to rzecz śmieszna, bo dorosła kobieta nie może mieć żadnych złudzeń po tym, co robiłem. Nie może łudzić się, że ją kochałem czy darzyłem jakimś tam innym uczuciem. Ale to jest fajne, miłe — przynajmniej dla mnie miłe. Po prostu, miłej jest wspominać kogoś, kto jest w stosunku do mnie ustawiony fajnie, niż kogoś, kto się mści. Biorąc pod uwagę tę dwudziestkę czy dwadzieścia parę kobiet, to zdanie moje o kobietach zmieniło się na lepsze. Do tych trzech kobiet, które są wyjątkami też nie można mieć pretensji, bo człowiekowi, który poznaje ją, szepce jej czułe słówka o miłości, a później nagle znika z jej biżuterią, to jeszcze można przebaczyć tę biżuterię. Ale chyba najgorszym jest to, że było to zawiedzenie jakieś takie uczuciowe. I chyba za to te kobiety się mszczą. Zresztą, mam skrytą nadzieję, że jeszcze to da się odkręcić i że jednak sąd uzna mnie niewinnym...

Jestem ciekaw reakcji niektórych kobiet na procesie. Większość sytuacji będzie śmiesznych. Z czego można się śmiać — z naiwności kobiet, z pewnych sytuacji, można się śmiać z tego, że kobieta żyjąca w dwudziestym wieku, która nie jest zwykłą szarą gąską, bo większość z nich to kobiety prowadzące prywatną inicjatywę, albo kobiety, które o tym życiu coś tam wiedzą więcej niż każda inna, przyjmowała tak łatwo do wiadomości, że jestem wielkim bonzą, milionerem, szpiegiem czy kimś takim. I to jest plus dla mnie, bo omotać tak człowieka, żeby uwierzył, że białe jest czarne, to chyba jest dojście do perfekcji. I nie chwaląc się, bo nie ma się czym chwalić, to właśnie gwarantuje że w swoim fachu, może źle wybranym w życiu, ale że byłem na tyle dobry, że potrafiłem coś zrobić.

Otrzymuję listy od wielu pokrzywdzonych; z Francji, Danii, Warszawy, Wałbrzycha. Jedna z tych kobiet napisała mi tylko, że zrobiłem jej krzywdę, nie tyle materialną, lecz uczuciową. A reszta kobiet, z tego co wynika z listów, jest mi w pewnym sensie wdzięczna, bo jednak przeżyła parę dni, które w życiu są niepowtarzalne. A że za chwilę szczęścia zapłaciły trochę złota czy łez...

A teraz ostrzeżenie dla kobiet, żeby spotykając takiego delikwenta, jak ja, trochę uważały. Czy to poskutkuje? Ja wiem, ta reklama, którą robi prasa jest bardzo dobrą rzeczą, bo ostrzega kobiety. Ale to też nie pomoże, bo kobieta może przypuszczać, że zostanie okradziona, a i tak wchodzi sama w założoną na nią sieć. Tak, że ostrzeżenie niewiele da, no ale zawsze na sto, któraś tam pomyśli i będzie ostrożniejsza.

O OSZUSTWIE:

Nie ma człowieka, którego nie można oszukać. Są przykłady na to, że można oszukać człowieka, który wie o danym oszustwie. Ja w swojej praktyce spotykałem kobiety, które opowiadały mi o kimś takim, o podobnym człowieku jak ja, który je kiedyś okradł. W tym czasie kiedy ja kończyłem działalność, głośno było o osławionym Jurku Kalibabce. Tak, że kobiety o tym wiedziały, przypuszczały. Niektóre z tych kobiet nawet siedząc ze mną w pokoju hotelowym czy w restauracji zaczynały takie rozmowy: „Ja słyszałam o takim oszuście... A gdybyś ty był kimś takim..." To są kobiety myślące, kobiety które mogłyby dojść do tego, że zostaną moimi ofiarami.

Z tym, że podstawą oszusta jest to, żeby nie dać tej drugiej stronie myśleć. Żeby ta druga strona myślała tak jak ja chcę.

A zmusić człowieka do tego — nie w sensie fizycznym, tylko w sensie psychicznym — to trudna sprawa. Ale sprawa łatwa dla tego, kto ma trochę praktyki i chce. Na tej zasadzie, że rzucanie mnóstwem faktów, historyjek, anegdotek, opowiadań itd., nadaje kierunek myślenia danej osobie. Jest on taki jak ja chcę. Ta osoba podporządkowuje się mnie i późniejsze działanie jest takim standardem, który gdy się zobaczy raz, drugi, powtarza się tak samo. Wcale to nie jest trudne.

Człowiek oszukiwany zawsze jest przygotowany na jakąś ekscentryczność, na to, że zobaczy coś innego niż każdy inny. I na tej zasadzie kobiety same wchodziły w taką siateczkę, którą ja zakładałem.

One za mało myślały o mnie, a za dużo myślały o sobie i o swoich korzyściach, które mogą mieć ze znajomości ze mną.

Twierdzę: można oszukać każdego człowieka, z tym że do każdego trzeba dobrać odpowiedni kluczyk. Są ludzie, którzy sami poświęcają olbrzymie sumy pieniędzy na to, żeby dać się oszukać.

Zwykły człowiek, który nie ma pojęcia o oszustwie na pewno nie oszuka zwykłej, normalnej, przeciętnej osoby. Nie będzie wiedział, jak i nie będzie umiał. Druga sprawa że będzie człowiekiem uczciwym.

Ja kradnąc wyzbyłem się pewnych ludzkich uczuć.

Trzeba mieć odpowiednie predyspozycje ku temu. Tak to wygląda.

Każdy numer, który jest oszustwem, jest dobry na raz albo na kilka razy. Mój numer niestety dobry jest na raz i będzie można powtórzyć go dopiero za kilkanaście lat. Może jakiś oszust weźmie się za to. Oszuści żyją od czasu, kiedy żyje nasz świat. Na razie ten numer dla oszustów jest zupełnie wykończony.

Kobiety będą miały trochę spokoju.

Oszukać kobietę jest dużo łatwiej niż oszukać mężczyznę. Większość ludzi będzie szła zawsze na łatwy chleb — tych ludzi podobnych do mnie, nie mówię o wszystkich ludziach. Będą starali się oszukać naiwnych. A najłatwiejszymi ludźmi do oszukania są właśnie kobiety.

O TYM CO JEST W ŻYCIU NAJWAŻNIEJSZE:

Do tej pory były pieniądze, a co dalej... Dla mnie do tej pory były najważniejsze pieniądze. Wokół tych pieniążków wszystko się kręciło.

Nie ma człowieka, którego nie można kupić. A jeżeli można kupić człowieka, to praktycznie można kupić wszystko. No, znaczy wszystko, to jest niewymierne — zdrowia nie kupimy. Ale mając zdrowie i pewne sprawy, których za pieniądze nie kupimy, można kupić wszystko. A jeżeli ma się w życiu wszystko to ma się szczęście. A jeżeli nawet nie szczęście, to namiastkę szczęścia. To jest to zrobić, bo jeżeli na przykład nie ma się powodzenia u kobiet, to idzie się do dobrej knajpy, płaci się kobiecie kilkadziesiąt tysięcy złotych i to szczęście ma się. Chociaż to jest namiastka, to jest złudne, ale można życie oszukać. Tak więc pieniądze są wymiernikiem szczęścia. Przynajmniej były nim dla mnie do tej pory.

Czy te trzy miesiące były szczęśliwe? Wszystko się nudzi. Nudzą się i pieniądze, nudzą się i restauracje, nudzą się i kobiety. To jest fajne, jeżeli ktoś obcuje z tym raz na jakiś czas. Ja to życie poznałem dość wcześnie. Zresztą od tej złej strony — restauracje, knajpy, dziewczyny, karty. Powiem szczerze, że takie życie męczy. Nieraz przychodzą takie chwile stresowe, że człowiek ma już wszystkiego dość. Chciałbym odpocząć, jechać gdzieś w taką zabitą dechami wieś, nie widzieć ludzkich twarzy, iść na jakieś polowanie, postrzelać do zwierzątek.

Takie życie było fajne. A druga sprawa, że przynosi to, czego w naszych układach naszego standardowego życia, szczególnie w kryzysie, nie można osiągnąć. Coś fajnego, coś niespotykanego — fajni ludzie, duże pieniądze.

Jeszcze raz twierdzę: wymiernikiem tego szczęścia przez dwadzieścia kilka lat które żyje na świecie, były pieniądze. I do tej pory tylko nimi w moim życiu się kierowałem.

O LĘKU:

Jedynej rzeczy co się obawiam, to Cyganie. Cyganów na tej zasadzie, bo miałem kiedyś w życiu dużo wspólnego z Cyganami. Prowadziłem z nimi różne interesy, handel itd. Lękam się, bo jedna z tych poszkodowanych była wysoko postawiona w hierarchii. To była bodaj że wnuczka króla Cyganów Łakatosza. Tak, że obawiam się ich zemsty, nieprzyjemnych ekscesów.

Kobiet się nie obawiam. Byłem z nimi konfrontowany — nie ze wszystkimi, bo niektóre nie chciały przyjeżdżać. Czy wstyd? Nie wiem czego, bo to ja chyba powinienem się wstydzić. Kobiet nie obawiam się, bo jeśli ktoś zachowuje się w stosunku do nich tak jak ja, to musi być pozbawiony pewnych uczuć. I jak to mówią zwykli szarzy ludzie — pozbawieni w pewnym sensie ambicji — są to takie znamiona, które takiego oszusta, jak ja muszą jakoś kwalifikować w tym społeczeństwie.

O TYCH, KTÓRYCH PIOTROWI K. BRAKUJE:

Spotkać chciałbym się z wieloma osobami — usłyszeć informacje ze świata. Dużo osób znam są mi bliscy — przyjaciele, znajomi. Chciałbym zobaczyć moją córkę. To jest dla mnie najbliższa osoba w tej chwili. Nie mam takiej możliwości. Moja żona robi mi na złość, nie umożliwia mi spotkania z nią, a ja w tej chwili nie mogę nic zrobić. Chciałbym zobaczyć moją małą Magdę i to by mi sprawiło największą przyjemność.

Drugą osobą, którą chciałbym zobaczyć — też by było fajnie — byłaby Francuzka, jedna z moich poszkodowanych. Napisała ostatnio do mnie list, że prawdopodobnie przyjedzie na sprawę. Przyjedzie sama, bo sąd nie chce jej wzywać na mój koszt i nie chce wzywać na swój koszt, bo podróż kosztuje dość drogo. Ale mam tu jej zapewnienie listowne, że przyjedzie. Liczę na to, że prokurator wyrazi zgodę na to widzenie.

Zobaczymy jak to będzie. Może wstąpię w związki małżeńskie — nie mam pojęcia. I takie plany niektóre z tych kobiet w stosunku do mnie snują. Może to by nie było złe — jestem bardzo cyniczny ale zawsze przyjemniej jest wiedzieć, że ktoś na mnie czeka. Zresztą to czekanie bywa różne — można czekać kilka miesięcy, ale nie kilka lat. Życie nie będzie takie monotonne będzie ciekawiej i weselej. Ja do tego nie podchodzę bardzo uczuciowo, tak że śmieję się z tego. Zobaczymy jak będzie po sprawie...

Notował:
ROMAN KUBIAK

Kronika kulturalna

Teatr im. Stefana Jaracza gości w Warszawie Na odbywającej się właśnie Międzynarodowej Konferencji Strindbergowskiej teatr pokaże prapremierową inscenizację „Wielkanocy" Strindberga w reżyserii Bohdana Hussakowskiego.

Jednocześnie Teatr im. St. Jaracza w ramach Warszawskiej Jesieni Poezji przedstawi „Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" Bolesława Leśmiana. Reżyserem tego przedstawienia jest także Bohdan Hussakowski. Warto przypomnieć, że przedstawienie to wyróżnione zostało Srebrną Łódką w sezonie 1982—83 oraz nagrodą za debiut aktorski dla odtwórczyni jednej z głównych ról Lidii Dudy. Teatr im. Stefana Jaracza weźmie także udział w XXIII Rzeszowskich Spotkaniach Teatralnych (13—14 października) przedstawiając „Dziady" A. Mickiewicza w reżyserii Macieja Prusa.

W ramach przeglądu filmów realizowanych w Wytwórni Filmów Oświatowych, odbywającego się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca w kinie „Wisła", 1 października obejrzeliśmy obrazy reżyserii Edwarda Pałczyńskiego. Zobaczyliśmy między innymi „Łódzką niedzielę", „Walczącą satyrę" film o Mariuszu Zaruskim oraz „Narty, gips, Zakopane".

W miniony czwartek, 4 bm., zainaugurowała swoją działalność Galeria Muzyki im. A. Rubinsteina, działająca przy Muzeum Historii Miasta Łodzi. W koncercie inauguracyjnym wystąpiła Kaja Danczowska — skrzypaczka, Andrzej Bauer oraz Waldemar Malicki — fortepian. Koncert przygotowany był z okazji obchodzonego 1 października Międzynarodowego Dnia Muzyki.

W Centralnym Muzeum Włókiennictwa czynna jest wystawa „Stulecie polskiego ruchu robotniczego". Na wystawę złożyło się 178 prac 80 artystów. Są to prace, które dotąd nie były prezentowane podczas innych wystaw, przedstawiające wydarzenia i postacie z kart historii 100-lecia naszego ruchu robotniczego. Zgromadzone prace obejmują różne dziedziny, kierunki i style.

W uroczystości otwarcia wystawy wzięli udział m.in.: sekretarz KŁ PZPR Andrzej Hampel i wiceprezydent m. Łodzi Zbigniew Turewicz.

Znany krytyk dr Henryk Pustkowski odznaczony został za długoletnią współpracę z KMP „Wiadukt" Srebrnym Odznaczeniem im. Janka Krasickiego. Uroczystość wręczenia odbyła się w Klubie Młodych Pisarzy „Wiadukt", podczas wieczoru autorskiego gdańskiej poetki Ariany Nagórskiej. Odznaczenie wręczył zastępca przewodniczącego ZŁ ZSMP Jan Ciesielski.

Powrócił do Łodzi z Festiwalu Folklorystycznego w Montebelluna we Włoszech Zespół Pieśni i Tańca Włókniarzy „Poltex", działający przy ZPB im. Juliana Marchlewskiego. Obok występów na festiwalu zespół koncertował w miastach północnej Italii. Na program prezentowanego koncertu złożyły się: tańce narodowe — mazur i polonez, regionalne — śląskie, góralskie, żywieckie i rzeszowskie, widowiska — wesele łowickie i w sobótkowy wieczór oraz obrazki taneczne.

„Encyklopedia m. Łodzi" i „Złote Pióro" z Tetova

Chciałoby się powiedzieć: nareszcie! Oto bowiem zapadła decyzja wydania *„Encyklopedii Miasta Łodzi"*, zbioru informacji poświęconych warunkom naturalnym miasta, jego historii, gospodarce, strukturze społecznej, organom władzy i administracji, sądownictwu, prokuraturze, kulturze, oświacie, nauce, zdrowiu, turystyce literaturze, sztuce, muzyce, architekturze, filmowi, prasie, radiu, TV oraz ruchowi wydawniczemu. Jest faktem bezspornym, że Łodzi bardzo brakuje tego typu compendium.

Będzie to niewątpliwie książka ważka i ważna. Zostaną w niej uwzględnione dzieje miasta, jego życie społeczne, gospodarcze, polityczne. Znajdą się w niej sylwetki ludzi, którzy na trwałe wpisali się w jego historię.

Edytor, którym będzie Wydawnictwo Łódzkie, przewiduje, iż „Encyklopedia Miasta Łodzi" ukaże się w 1990 roku. Do tego czasu zespół redakcyjny będzie musiał wykonać niełatwą i żmudną pracę, gdyż „Encyklopedia" będzie zawierać ca 5.000 haseł rzeczowych i osobowych. Dojdą do tego fotografie, mapy, rysunki, tabele statystyczne. Przewiduje się objętość — około 50 arkuszy drukarskich.

Zanim jednak ukaże się owa wspaniała publikacja, edytor zamierza wydać „Zarys Encyklopedyczny", który będzie pierwszym, skrótowym informatorem o Łodzi.

Skoro już jestem przy sprawach Wydawnictwa Łódzkiego, gwoli kronikarskiemu obowiązkowi muszę odnotować fakt otrzymania przez dyrektora tej oficyny dr *Jacka Zaorskiego „Złotego Pióra"* na Międzynarodowym Zjeździe Tłumaczy w Tetovie w Jugosławii za przekłady z literatury macedońskiej. Wydawnictwo Łódzkie od 1976 roku wydaje cykl książek pod wspólnym tytułem „Biblioteka Jugosłowiańska". Dotąd ukazało się ponad 20 pozycji tej biblioteki tłumaczonych z języków serbo-chorwackiego, macedońskiego i słoweńskiego.

(ei)

Foto: G. Gałasiński

Słodki ciężar lekkiej muzy

Łódzki Teatr Muzyczny pozostający w cieniu Teatru Wielkiego i — sama przyznaje to niemal ze skruchą — nie obejmowany jak dotąd owym najżywszym a najbardziej satysfakcjonującym instytucje artystyczne zainteresowaniem krytyki, które skupia się na „wydarzeniach" i „sensacjach", ma wierną i wdzięczną publiczność. Każdego wieczoru do ostatniego prawie miejsca wypełnia ona jego salę niewiele tylko mniejszą od tej, którą szczyci się nasza operowa scena. Po każdym spektaklu wielokrotnie wznosi się tu kurtyna, bo długo nie milkną oklaski. Każdego dnia, od rana do późnych godzin nocnych, trwa tutaj intensywna praca. Im lżejsze i pełniejsze wdzięku wydają nam się kolejne przedstawienia tej sceny, tym więcej kryje się w nich trudu i wysiłku zespołu Teatru Muzycznego.

Nasz zespół pracuje bardzo intensywnie — mówi dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Muzycznego w Łodzi, doc. RAJMUND AMBROZIAK — praca wre tu bez przerwy. Zajęci są wszyscy: soliści-śpiewacy, orkiestra, chór, balet, pracownicy techniczni. Mamy moc zajęć...

— ...my zaś, w ostatnim zwłaszcza sezonie, niewiele otrzymaliśmy nowych propozycji repertuarowych. *(Jak to się dzieje i dlaczego właśnie tak — o to nie zdążę już zapytać, bo mój impulsywnie reagujący rozmówca widząc w tym pytaniu atak na rytmiczność pracy swego zespołu kontratakuje natychmiast długą serią dramatycznych pytań i wykrzykników, w których desperacja miesza się z irytacją; uczuciami — o czym za chwilę przyjdzie mi się przekonać — w najwyższym stopniu uzasadnionymi...)*

— Niewiele?!! A czy zna pani kulisy, magazyny i pracownie techniczne naszego teatru, na którego afiszu utrzymuje się w bieżącym repertuarze dwanaście pozycji, będących (koniecznie — bo takie są wymagania naszych widzów) niezwykle bogato inscenizowanymi spektaklami, których większość osiągnęła nieosiągalną przez inne teatry liczbę stu przedstawień?! Nie?! To proszę, chętnie pani pokażę, w jakich warunkach pracujemy, a właściwie pracowaliśmy do wczoraj, bo właśnie zakończyliśmy modernizację sąsiadującej z nami kamienicy-rudery, którą oddano do użytku naszemu teatrowi. Do tych wyremontowanych pomieszczeń właśnie się wprowadzamy, będzie więc pani mogła zobaczyć nasze „dziś" i „jutro", a właściwie „wczoraj" i „dzisiaj", na przyszłość także i tego jest w gruncie rzeczy za mało, bo chociaż zyskaliśmy pięćset metrów kwadratowych na „rozgęszczenie" garderób, pracowni technicznych i pomieszczeń biurowych, to tylko o powierzchnię jednego z dwu wjazdów dla samochodów (raptem kilkanaście metrów) moglibyśmy powiększyć magazyny dekoracji, których z racji wielkości nie da się przecież przechowywać w najpiękniej nawet odremontowanych pokojach dwupiętrowej kamieniczki. Chodźmy!

W wąskich korytarzach i korytarzykach, w ciasnym przejściu stanowiącym jedyny ciąg komunikacyjny z garderób do „sali prób", której funkcję przed południem spełnia foyer i kawiarenka dla publiczności, stoją elementy dekoracji poustawiane tak przemyślnie, by zmieściło ich się możliwie najwięcej na jednym metrze kwadratowym. W ciasnych garderobach — uginające się pod kostiumami wieszaki. Pokoju dla dyrygentów nie było dotychczas wcale. Miejsca, w którym przed wejściem na scenę mogliby przy instrumencie „rozśpiewać się" artyści — także nie.

— Bhp? Dobrze, że nie było dotychczas żadnego wypadku Straż Pożarna? No cóż, „częste rozmowy przebiegają w atmosferze wzajemnego zrozumienia". Naszej sytuacji nie musi rozumieć, bo jej nie zna, łódzka publiczność. Ale — jak już powiedziałem — mamy dla niej dwanaście spektakli. Premiera trzynastego, który wzbogaci ich listę, odbędzie się w grudniu. Dlaczego tak późno? Bo do grudnia nie mamy ani jednego dnia, w którym mogłaby się ona odbyć. Zakłady pracy i szkoły wykupiły spektakle całego już niemal ostatniego kwartału. Żadnego z tych przedstawień nie mogę zdjąć z afisza, bo takim cieszą się one powodzeniem. Publiczność zmusza nas do organizowania dodatkowych spektakli (których plan — i tak już bardzo wysoki — przekroczymy w tym roku o przeszło trzydzieści przedstawień, co jakby wzbogacało nasz kalendarz o trzynasty miesiąc) o najbardziej także i dla nas zdumiewających godzinach: dla jednego z zakładów pracy „Kramę uśmiechu" zagramy w październiku o godzinie trzynastej. Zawsze uwzględniamy te „specjalne życzenia". Tylko w styczniu zagraliśmy czterdzieści sześć przedstawień. A zapotrzebowanie na nasze spektakle jest takie, że gdyby w październiku sam minister chciał obejrzeć „Skrzypka na dachu", to nawet jego nie miałbym gdzie posadzić. Służbowe miejsca dawno już oddałem kasie i od dawna także i tych miejsc kasa już nie ma. Nasza widownia liczy przeszło tysiąc miejsc, których ilość ze względu na złą widoczność z ostatnich rzędów balkonu musieliśmy ograniczyć do dziewięciuset i te dziewięćset miejsc wypełnia się co wieczór. Łódzka i nie tylko łódzka publiczność lubi nasz teatr. My szanujemy jej upodobania.

— Czy to one kształtują repertuar Teatru Muzycznego tak, że przeważa w nim operetkowa klasyka, a niemal nieobecne, są musicale i współczesne komedie muzyczne?

— Tak, w przeważającej mierze publiczność „dyktuje" nam repertuar. Nie staramy się zmieniać jej gustów zbyt usilnie, zwłaszcza że nie wydają się nam one złe. Dobra inscenizacja dobrej operetki jest zawsze dobrym przedstawieniem, a poświęcony mu wieczór — wieczorem udanym. Nie próbując „na siłę" zmieniać gustów publiczności (tą bowiem metodą nikomu nie przyniosła dobrych rezultatów) staramy się poszerzyć jej zainteresowania. Ten nurt naszej działalności ciągle jeszcze pozostaje działalnością sondażową. Nie sprawdził się u nas „Rycerz Sinobrody" i „Księżycowy poemat" (ten ostatni chyba przez zbyt odbiegającą od tradycji sceny naszego typu problematykę libretta), ale wielkim powodzeniem cieszy się „Skrzypek na dachu". Będziemy kontynuować nasze poszukiwania w tym właśnie kierunku, choć nie mogę obiecać pani czytelnikom, że zaowocują one jakąś niesłychaną obfitością tytułów. Szuflady rodzimych twórców są przerażająco puste...

...a na to, by czerpać z zasobów zagranicznych kompozytorów pewnie nie ma pan dewiz.

— Nie mam. Za „Skrzypka na dachu" płacimy jego twórcom złotówkami. Dewiz nie mam i mieć nie będę, a ostatnio nawet polska wytwórnia „Telkom" zażądała ich ode mnie, gdy chciałem w tej wytwórni nabyć niezbędną teatrowi centralkę telefoniczną, bo stara odmówiła posłuszeństwa i skończyła swój żywot tak definitywnie, że zostaliśmy bez telefonów wewnętrznych. My nie mamy ośmiuset pięćdziesięciu dolarów (bo niby skąd mamy je mieć?!), a oni mówią, że taki mają „wsad"... Obywamy się bez telefonów i gramy „złotówkowe" pozycje. Liczyć na rodzimych twórców mogę tylko z największą ostrożnością, bo jeśli w ogóle coś komponują, to robią to tak wolno, że mając wyznaczony termin premiery i sprzedane na nią bilety, często nie ma się jeszcze kompletu partytury. Mateusza Święcickiego musiałem zamknąć w pokoju na klucz, by przez trzy dni generalnych prób swego utworu skomponował go do końca. Dewiz nie ma, nasi twórcy nie oferują niczego ciekawego, a pani chciałaby pewnie „Oklahomę", „Jezus Chrystus Super-Star" lub coś na miarę i w artystycznej klasie wymienionych tu tytułów?

— Pewnie, że bym chciała. Ale nie mogę ukrywać obaw, czy Pana zespół, którego wartości i umiejętności bynajmniej nie deprecjonuję ani nie umniejszam, lecz który wydaje mi się zbyt przywiązany do jednego typu śpiewania i jednej tylko konwencji gry aktorskiej, znalazłby w sobie tyle siły, by udźwignąć podobne zadania w całej ich wokalnej, aktorskiej i choreograficznej złożoności. Ten zespół wiele potrafi, sama wielokrotnie chwaliłam go na tych i na innych łamach, ale...

— ten zespół, także z tych powodów, o których mówiliśmy przed chwilą, stawiane ma takie, a nie inne zadania, choć i te, z jakimi dobrze radzi sobie obecnie, nakreślone są dość szeroko. Proszę wziąć pod uwagę różnice gatunkowa jaka dzieli „Cnotliwą Zuzannę" od „Skrzypka na dachu". Obydwie te pozycje są bardzo trudne w jakże jednak odmienny sposób. Mamy wszechstronnych śpiewaków, którzy swych rozległych walorów scenicznych dowiedli w „Kuzynku z Honolulu". Nie tylko świetnie w nim śpiewają, lecz także doskonale tańczą. Miarą jakości naszej pracy jest przyznana Teatrowi Muzycznemu „Srebrna Łódka". Z innych względów, choćby płacowych, ciągle nie możemy „dorobić się" satysfakcjonującego nas wszystkich swym profesjonalnym poziomem chóru i baletu, choć ostatnio i te zespoły podciągają swoją kondycję. Waszą natomiast, dziennikarzy winą są jego hamujące nasz rozwój kompleksy! Nazywacie uprawiany przez nas gatunek „lekką" lub „podkasaną" muzą, ze znacznie większą estymą i szacunkiem odnosicie się do opery i klasycznego baletu, nie wiedząc zapewne, że służba „lekkiej" muzie jest bardzo ciężka. Te kompleksy niższości obarczają młodzież już na etapie wokalnych studiów (o czym kształcąc tę młodzież w łódzkiej Akademii Muzycznej mogę wiele powiedzieć) i ich następstwem jest przemożna chęć śpiewania wyłącznie dla operowej publiczności. Rachunek zysków i strat nie jest tu wcale oczywisty, ale tego wolałbym nie komentować szerzej niż w słowach, na które sobie tutaj pozwoliłem. Powiem więc tylko, że stały przepływ kadr komplikuje nam nieco życie, ale nic to nowego, życie w ogóle pełne jest komplikacji i ze wszystkimi musimy sobie jakoś radzić. Jeśli o nasz teatr chodzi, sądzę, że radzimy sobie całkiem dobrze, a to, co i jak robimy spotyka się z coraz żywszym i coraz szerszym zainteresowaniem. Podobamy się łodzianom, w minionym sezonie oklaskiwano nas w Przemyślu i na sopockim Festiwalu Teatrów Muzycznych, a ostatnio — w połowie września — cały spektakl „Skrzypka na dachu" zarejestrowała dla swoich widzów amerykańska stacja telewizyjna CBS.

Zapraszamy na kolejne premiery — w tym sezonie między innymi „Wiedeńska krew" i „Ptasznik z Tyrolu" oraz polski musical, nad którym pracuje (i oby go skończył) Jarosław Kukulski. Forma nam rośnie i w coraz lepszej, nie tylko naszym zdaniem kondycji jesteśmy gotowi dźwigać słodki ciężar lekkiej muzy.

— Czekamy na olimpijskie wyniki.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

Z półki recenzenta

„DZIEJE GŁUPOTY W POLSCE"

Ta książka stała się prawie bestsellerem. Po raz pierwszy wydana w 1947 r. nie była nigdy wznawiana, co może jedynie dziwić i zdumiewać. A przecież jest to książka mądra, choć wzbudzająca kontrowersje, książka-przestroga, książka-oskarżenie i książka-nauka. Czytając ją odnosi się czasami wrażenie, że sytuacje, zdarzenia i wnioski z nich płynące dotyczą współczesności, że wywody autora zostały wysunięte na podstawie wydarzeń, jakie rozegrały się u początku lat osiemdziesiątych. W sumie jest to pozycja ważna, potrzebna i bardzo mądra. Tylko ilu znajdzie czytelników, skoro została wydana zaledwie w nakładzie 20 tys. egz.?

Aleksander Bocheński: „Dzieje głupoty w Polsce". Czyt. 1984. Str. 452. Cena 200 zł.

„ZAJĘCZY PAŁAC"

Ilekroć wypada mi pisać o książkach dla dzieci, tylekroć nachodzi mnie refleksja, że książek tych jest ciągle za mało. Właśnie ukazał się uroczy zbiorek wierszy Anny Kamieńskiej pt. „Zajęczy Pałac" z ilustracjami Adama Kiliana. I znów ta sama refleksja co zawsze: nakład 60 tys. egz. nie zaspokoi potrzeby bajek dla najmłodszych, a przecież wiadomo, że czego mały Jaś nie przeczyta, dorosły Jan nie przeczyta potem już nigdy.

Książka, którą niniejszym proponuję i polecam, zawiera opowiastki o przygodach raka, kotka, zajączka, misia, kogucika i innych małych przyjaciół małych czytelników.

Anna Kamieńska: „Zajęczy Pałac". Czyt. 1984. Str. 58. Cena 80 zł.

„SYLWETY I WSPOMINKI"

Henryk Szletyński, aktor i reżyser, opublikował swoje „Sylwety i wspominki". Obejmują one dość rozległy okres czasowy: od pogrzebu Bolesława Prusa po ludzi nam współczesnych — Hańczę, Fijewskiego, Perzanowską, których przecież pamiętamy, a którzy także już odeszli z życia na zawsze.

Jak wszystkie tego typu książki, także i ta nie jest wolna od osobistych sympatii i ocen czasów, o których wspomina autor i ludzi, z którymi pracował lub się przyjaźnił lub pod urokiem i wpływem których pozostawał. Mają jednak te wspominki niezaprzeczalną wartość: są dokumentem epoki, która przeminęła na zawsze.

Henryk Szletyński: „Sylwety i wspominki". Wyd. Lit. 1984. Str. 282. Cena 140 zł.

„WYJAŚNIENIE"

Wacław Biliński jest jednym z nielicznych pisarzy, o których można powiedzieć, że „trzymają rękę na pulsie współczesności". Właśnie ukazała się jego nowa powieść „Wyjaśnienie" traktująca o czasie nam zupełnie bliskim, tj. o wielkim kryzysie lat osiemdziesiątych. Bohaterem powieści jest były prominent, człowiek wysoko postawiony w hierarchii władzy, który w dniach załamania się określonej koncepcji polityczno-gospodarczej usiłuje pisemnie wyjaśnić cały dramat i tragedię, jakie spadły na Polskę. Niestety, wyjaśnienie to nigdy nie zostanie napisane, a los prominenta dopełni się w sposób okrutny, choć jakże banalny.

Wacław Biliński: „Wyjaśnienie". KiW 1984. Str. 208. Cena 90 zł.

PAMIĘTNIK NIEZWYKŁY

Członkini „Wielkiego Proletariatu", wnuczka Tadeusza Kościuszki Maria Bohuszewiczówna zostawiła po sobie zaledwie kilka stroniczek pamiętnika, który prowadziła w drodze na katorgę.

Dzieje życia Bohuszewiczówny są krótkie, ale jakże niezwykłe, jakże wypełnione aż po granice ludzkiej wytrzymałości walką o prawa robotników, walką o ideały partii, na czele której stanęła w 1884 roku.

Niestety, ochrana carska dość szybko wpadła na trop grupy Marii Bohuszewiczówny i, po głośnym procesie, jej członków skazano na sybirską katorgę.

Bohuszewiczówna nie dojechała, zmarła w drodze. Miała zaledwie 22 lata!

Maria Bohuszewiczówna: „Pamiętnik". KiW 1984. Str. 88. Cena 120 zł.

SALON I KUCHNIA

Proponuję naszym Czytelnikom książkę szczególną: rozprawę traktującą o kulturze materialnej polskich pałaców magnackich i zamożniejszych dworów ziemiańskich. Są to także dzieje „życia domowego", a więc szczegóły dotyczące realiów codzienności, o których dziś właściwie nic nie wiemy. Jednocześnie książka ta sugestywnie przybliża nam czas, który nie wraca i który na zawsze uniósł ze sobą całą wielkość i śmieszności ceremoniału wraz z niemal dziś egzotyczną już obyczajowością. Wszystko w tej książce jest dokładnie opisane, usystematyzowane, poczynając od salonu a na kuchni kończąc.

Elżbieta Kowecka: „W salonie i w kuchni". PIW 1983. Str. 294. Cena 230 zł.

Rys. Janusz Szymanski-Glanc

Noc saksofonów

Nowa powieść Andrzeja Makowieckiego ukazała się już w księgarniach, wydana przez Krajową Agencję Wydawniczą. Przedstawiamy fragment tej opowieści z życia sfer uniwersyteckich i muzyczno-rozrywkowych. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń realnych jest wykluczone!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wrócił do przedziału i zasnął spokojnie. W Warszawie złapał taksówkę i o pół do jedenastej był już w korytarzach Pagartu. Przystanął na chwilę przed tablicą informacyjną. Przeczytał komunikat:

Przesłuchanie zespołów do Finlandii, Szwecji i Norwegii odbędzie się 13 października br. o godz. 12.30 w Małej Sali Filharmonii Narodowej.

Niżej ktoś przypiął pinezką imienną listę kandydujących orkiestr. Nie było ich na tej liście. Grubas stropił się. Jednocześnie wzrósł jego szacunek do organisty i zmalał nieco szacunek do Krzywika. Gość lubi gadać i umie gadać. Fakt. Ale załatwianie skomplikowanych spraw nie jest jego najmocniejszą stroną. Różnie bossa, lecz w gruncie rzeczy jest nieśmiały. Szczególnie na obcym terenie. Wymigał się przecież od tego wyjazdu, że to niby ma żonę na porodówce i lada dzień oczekuje rozwiązania. Bajer, jak babcię kocham. Kto się będzie rozwiązywał: on czy kobita?

Usiadł w kolejce pod drzwiami, gdzie wyczekiwał tłumek interesantów. Byli wśród nich ludzie spokojni i zdenerwowani, znani i nieznani oraz dwie prawdziwe sławy piosenkarskie, nie robiące na Grubym specjalnego wrażenia, jako że Gruby nie tęsknił nigdy za popularnością. Nie dla niej wybrał ciężki zawód muzyka, lecz dla samej przyjemności grania, no i konieczności zarabiania na chleb powszedni w taki sposób, aby nie wstawać na ósmą do roboty. Cenił sobie anonimową maskę dobrego wojaka Szwejka. Im mniej rzucał się w oczy, tym lepiej. Tak myślał. Ale rzucał się w oczy. Trudno być w owej specyficznej społeczności kimś zupełnie nieznanym.

Bywało, że skinął mu głową jakiś muzyk. Grubas odpowiadał wtedy grzecznie. Nie napierał jednak, nie szukał zbliżeń, nie wyciągał do nikogo ręki. Ot, czekał cierpliwie, słuchając barwnych, klezmerskich opowieści o dalekich krajach, wdychając dym wonnych, amerykańskich papierosów, podpatrując dłonie uzbrojone w modne elektroniczne zegarki. Sam grał, jak dotąd, tylko w Jugosławii i Finlandii, palił klubowe, a na kiści nosił radziecki czasomierz średniego kalibru. Nie narzekał przecież. Gdyby wyszła ta Szwecja... Ho, ho! Mógłby zrobić wreszcie coś dla kobiety i dziecka.

W południe, kiedy był już pierwszy u drzwi, puknął brzuchem estradowego wesołka, który zapewniał, że ma do szefa interesik na jedną minutkę, więc może Gruby przepuści go łaskawie, i wszedł (Grubas, nie ten wesołek) do niewielkiego gabinetu.

Stanął przed szerokim, zawalonym papierzyskami biurkiem, na wprost urzędnika o dobrze ukrwionej cerze, wesołym spojrzeniu i cierpiącym, śledzienniczym grymasie ust. Zapytał bez wstępów:

— W środę przesłuchanie, tak? Pojutrze?

Urzędnik przytaknął wolnym, ledwo widocznym ruchem nosa.

— Nie dostaliśmy zawiadomienia — oświadczył Gruby tonem tak spokojnym, jakby chodziło o zwykłe niedopatrzenie. — Ofertę złożyliśmy przed miesiącem.

— Skąd jesteście?

— Z Łodzi.

— Nazwa!

— Kwintet Uniwersalny.

— Widzę, że macie jakiegoś utalentowanego poetę na liście płac.

— Nie podoba się panu?

— Co? Nazwa? — Śledzienniczy, choć niewątpliwie szalbierczy układ ust nabrał pewnych cech autentyzmu, miał wygląd nieszczęśnika, w którym wzbierają kwasy żołądkowe po bigosie w barze mlecznym. — Z taką nazwą możecie pojechać najwyżej na Bródno. — Jedną ręką grzebał niespiesznie w papierach, drugą nalał sobie z termosu solidną miarkę herbaty. — Taaa. — Błysnął szelmowskim, wesoło zmrużonym okiem, po czym wziął w dwa palce jakiś dokument. — Mam tę waszą ofertę.

— Więc czemu nie jesteśmy na liście?

— Bo nie umiecie, towarzyszu, załatwiać sprawy. Taaa. Jego wzrok odwoływał się teraz do inteligencji Grubasa. — Znacie chyba jakieś działania matematyczne?

Gruby nie okazał zdziwienia.

— Znam — powiedział.

— Wyliczcie.

— No... mnożenie, dodawanie...

— Może jeszcze coś?...

— Może jeszcze dzielenie.

— O, właśnie! — ucieszył się urzędas. — Dzielenie! — Ściszył głos zerkając na drzwi. — Kocham ludzi, którzy potrafią się dzielić.

Grubas sięgnął z westchnieniem po prezydenta Jacksona, przy czym jego westchnienie zabrzmiało tak, jakby pyknął na dworcu parowóz. Żegnaj stary! Złożył banknot wpół, przeciągnął po nim paznokciami i rozdarł go na dwie części. Prawy policzek prezydenta zdawał się lekko uśmiechać, natomiast lewy wyglądał ponuro i groźnie — niewykluczone, iż ekscelencja dostrzegł swoim orlim wzrokiem chmury na dalekim horyzoncie.

— Proszę.

Położył uśmiechniętą połówkę na biurku. Urzędnik zwinął ją ruchem świadczącym o solidnej wprawie, minę jednak miał niesmaczną.

— Tandetny greps — zauważył.

— Ale skuteczny. Przyjedziemy w środę. Jak będziemy na liście i staniemy do przesłuchania, dostanie pan resztę.

— Pan musiał w młodości oglądać dużo filmów o tematyce gangsterskiej.

— Nie — zaprzeczył Gruby zgodnie z prawdą. — W ogóle nie chodzę do kina.

Skrzypnęły drzwi i ukazał się w nich wesołek.

— Precz! — huknął urzędnik. — Nie widzicie, że jestem zajęty?!

W chwilę później gestem miłym i przyjaznym wskazał Grubasowi krzesło.

— I co dalej? — pytał Krzywik nazajutrz, przed próbą.

Grubas zdjął szkła, przetarł je kołnierzykiem flanelowej koszuli i powiedział:

— Gramy jutro, jesteśmy na liście, tyle tylko, że gość radzi, abyśmy zmienili nazwę.

— Na jaką?

— Na LOS DESPERADOS.

— To wszystko?

— Nie... — Gruby zerknął na organistę, który miętosił zachłannie rękę Silwany. Przeniósł wzrok na zatroskane oblicze Igora. Zgiął kolano i dysząc jak rozpruta harmonia wyjął z aktówki zwitek druczków. Ufff. Musimy to wypełnić i zaopatrzyć się do środy w komplet reklamowych fotosów. Poza tym... lepiej będzie podobno, jeśli wystąpimy w jednolitych kostiumach.

— Bagatela! — rzucił Krzywik z przekąsem. Odzyskiwał już pewność siebie i utracone przyczółki władzy. — Na scenę, panowie! Dzisiaj pracujemy do wieczora!

Grubas usiadł posłusznie za swoją sfatygowaną perkusją. Podkręcił metalowym kluczem membranę na werblu, wystroił kocioł, ulokował lewą stopę na pedale break maszyny. Nie miał żadnych ambicji przywódczych. Skąd! Ktoś musiał jednak przejąć ster rządów.

— Krzywik — powiedział cicho.

Klezmer momentalnie wyczuł niebezpieczeństwo.

— Czego chcesz? — beknął.

— Co ci się urodziło? Córka czy syn?

— Na razie nic. Czekamy.

— Nie uważasz — mówił Gruby nie podnosząc głosu — że powinieneś zostać póki co w Polsce? Widzisz... ten gość z Pagartu powiedział, że kwintet z piosenkarką nie ma szans, natomiast ma pewne szanse kwartet z piosenkarką. Bez urazy, Krzywik, ale jesteś najsłabszym muzykiem w zespole. Nie stroisz, nie śpiewasz, nie czujesz frazy. W związku z tym musiałem cię skreślić.

Powiało ciszą. Andrzej trębacz trzymał w jednej ręce paczkę, a w drugiej zapałkę. Zastygł w tej pozie. Papieros zwisał z warg czekając na ogień. Ziemiste,przedwcześnie pomarszczone policzki Krzywika zaczerwieniły się, zapadły jak u bezzębnego staruszka, po czym buchnęły — nie dymem jednak, lecz wiązanką plugawych życzeń.

Słowa, jak to bywa zazwyczaj, porwały mówcę. Wyciągnął szpony na modłę żądnego krwi dusiciela i runął na Grubego z morderstwem w oczach. Tu wszelako zderzył się niespodziewanie z przepastnym brzuszyskiem organisty.

— Zostaw kolegę — powiedział ten ogromny, dwumetrowy chłop.

I Krzywik zostawił kolegę. Owszem, odwołał się jeszcze serią pełnych wyrzutu spojrzeń do sumienia innych członków zespołu. Kamas, choć wstrząśnięty, milczał, pewnie dlatego, że miał do rozwiązania kilka problemów osobistych. Trębacz puknął wreszcie główką zapałki w draskę i wciągnął do płuc solidną porcję dymu, chyba pół papierosa, ale, proszę zauważyć, patrzył w okno. Silwana obserwowała byłego szefa z takim zdziwieniem, jakby chciała zapytać: — No, czemu tu jeszcze sterczysz, wuju? Spadaj!

Krzywik spakował wolno swój saksofon tenorowy, na którym grał kiepsko i swoją gitarę, na której nie grał wcale. Teraz, kiedy był spokojny, wydawał się dużo groźniejszy.

— Odpłacę wam za to — powiedział. — Wszystkim.

I wyszedł.

Ekspresjonizm w Muzeum Sztuki

W odróżnieniu od większości rozpowszechnionych terminów, które na ogół dość precyzyjnie i jednoznacznie określają rozmaite kierunki i nurty sztuki, pod nazwą ekspresjonizmu kryje się szereg różnorakich zjawisk estetycznych, połączonych tylko jedną cechą główną: ekspresją, czyli siłą artystycznego wyrazu. Po drugie — ekspresjonizm, zrodzony u schyłku ub. wieku jako przeciwieństwo impresjonizmu, a także naturalizmu, jest tendencją, która dochodziła do głosu i we wcześniejszych epokach, wyrażając takie stany emocjonalne, jak niepokój, bunt, sprzeciw i przejawiała się w różnych formach i technikach artystycznych.

Wystawa poświęcona ekspresjonizmowi, którą możemy oglądać obecnie (do połowy października) w Muzeum Sztuki w Łodzi i korzystająca wyłącznie ze zbiorów własnych, reprezentuje tendencje ekspresjonistyczne sztuki nowoczesnej, zawiera wiele wybitnych dzieł artystów o światowej sławie, jak **Marc Chagall Paul Klee, Emil Nolde, Aleksiej Jawleński, Kaethe Kollwitz**, ale również ogromnie interesujące i wartościowe pozycje polskiego ekspresjonizmu, występującego zresztą w różnym czasie pod różnymi „szyldami" (m.in formizmu); z dzieł polskich oglądamy tu m.in. prace **Tytusa Czyżewskiego, Pronaszków, Augusta Zamoyskiego St. I. Witkiewicza, Tadeusza Kulisiewicza.** Większość spośród zgromadzonych na wystawie dzieł pochodzi z lat po I wojnie światowej.

Niejako osobny rozdział stanowi cenny i niezwykle oryginalny zestaw obrazów malarzy polskich pochodzenia żydowskiego, czy też reprezentujących zbyt mało jeszcze znane ugrupowanie „jung jidisz", związane wyłącznie ze środowiskiem łódzkim.

Wydaje się faktem oczywistym, że „historyczny" ekspresjonizm niemiecki, który oddziałał niezwykle silnie na kierunek rozwoju sztuki europejskiej, wywarł też wpływ (choćby za pośrednictwem plakatu) na ukształtowanie się współczesnej wrażliwości estetycznej dość szerokich kręgów miłośników sztuki. Czy ekspresjonizm przeszedł więc już do historii i stanowi tylko szacowny pomnik dawnych upodobań? Otóż, wystawa w Muzeum Sztuki, jak to akcentują jej organizatorzy, jest bardzo „na czasie", ponieważ właśnie od pewnego czasu obserwuje się w świecie nawrót do tendencji ekspresjonistycznych. Wolno chyba przypuścić, że w różnych krajach mogą one mieć odmienne inspiracje społeczne i zawierać w sobie odmienną wymowę ideowo-artystyczną.

J. K.

Jankiel Adler „Moi rodzice", 1921

Wirydarz poetycki

Wanda Kocznow

Puste miasto

....wyciągniętej ręce musi odpowiadać jakaś inna, z zewnątrz, skądinąd..."
(Julio Cortazar — „Gra w klasy")

I będziesz szedł ulicami miasta
i żadne okno nie wyjdzie ci na spotkanie
rozświetlonym spojrzeniem
i żadne drzwi nie uśmiechną się
do twoich kroków
Będziesz szedł...
będziesz krzyczał ze strachu i przerażenia
ale w ciasnych uliczkach martwego czasu
nie znajdziesz echa
Będziesz błądził wypełniając chodniki
labiryntem swoich śladów
Będziesz szedł
do ostatniego upadku, ostatniego szlochu,
ostatniego przekleństwa
błagając o jeszcze jeden oddech
jeszcze jedno uderzenie serca
o wymiar przestrzeni i czasu
który mógłby cię powtórzyć
Będziesz sam. Twój szept
rozbije się o ślepą ciszę
i będziesz czuł
jakby ciebie
nie było

Egzekucja

Zawiązano mi oczy ciszą
i ręce skrępowano milczeniem
aby zlinczować
zeschłymi badylami róż
starto mi z ust ich barwę i zapach
bym zapomniała...
lecz zostawiono kolce
wypisując na skórze
ich drobnym pismem
opowieść o życiu...

Jan Grzegorz Issaieff

Melania

Sierść
ma w bogactwie czerni
w gibkości
ma miękkość puchu
imię zaś
nosi dostojne
Przywołuję ją
Ona wskakuje
na moje kolana
mrucząc zadowoleniem
przytula się sennie
Wtedy pytam
tracąc zmysłowy wymiar
istnienia
Melanio
jakie było
twoje poprzednie życie
Ona otwierając
zmrużone szmaragdy
odpowiada głosem
kota

Łódź, 13.XII.1980 r.

Jesień

Utarło się powiedzenie
że najczęściej
można ją zauważyć
w lasach
w parkach
na polach
Ja widzę ją
bardziej intymną
w mieszkaniach
radosnej dzieciarni
gdy w skupieniu
pomaga im kleić
latawce

Łódź, 8.VI.1984 r.

A ja jeszcze żyję...

Dokończenie ze strony 1

ko też była pani taka ładna?

Ależ skąd, byłam wręcz ohydna, miałam odstające uszy, murzyńskie wargi i byłam łysa.

Łysa?

Tak, bardzo długo nie miałam włosów.

Ale później niespodziewanie pani wyładniała, co dostrzeżono na egzaminach wstępnych do szkoły teatralnej i chyba doceniono?

Tak, urodę oceniono na pięć, ale z pozostałych egzaminów miałam same niedostateczne oceny. W tym czasie trudno było dostać się do łódzkiej szkoły ładnym dziewczynom, nawet zdolnym. Pewne panie profesorki nie cierpiały kandydatek z urodą i nie dopuszczały do uczelni. Nie najlepiej było za drugim podejściem, ale uratowało mnie to, że uzyskałam wysoką ilość punktów i byłam pierwsza pod kreską przyjętych. Ostatecznie na studia aktorskie dostałam się po odwołaniu złożonym do ministra.

Te studia musiała pani wkrótce zawiesić, będąc odkrytą przez Waleriana Borowczyka i zaangażowaną do jego „Dziejów grzechu"?

Byłam wtedy na drugim roku, kiedy pewnego dnia podszedł do mnie na szkolnym korytarzu Walerian Borowczyk, przebywający w Polsce i poszukujący kandydatki na bohaterkę swego filmu. Kiedy zapytał — czy nie zechciałabym zagrać roli Ewy w „Dziejach grzechu", byłam właśnie zauroczona jego filmami: „Blanche" i „Rozalia Prudet", które oglądałam na szkolnym pokazie. Odpowiedziałam więc: — tak. Ale o tym, że zagrałam tę rolę zadecydował właściwie przypadek. Kostiumy przygotowane wcześniej na Lidię Borowczyk (żonę reżysera) i termin rozpoczęcia zdjęć w Polsce wypełniłam w stu procentach. I jakoś nikt temu nie zdążył przeszkodzić.

I stało się. Naga aktorka na ekranie w roli dziewczyny z dobrego domu, staczającej się na dno jako prostytutka, była sensacją na krajową skalę. Ta naga rola dała pani nazwisko i postawiła w rzędzie gwiazdek jutra, ale po głośnym debiucie nie było pani widać na ekranach i nie pojechała pani do Hollywoodu robić karierę gwiazdy?

Nie pojechałam, za to doznałam wiele goryczy i upokorzeń za pokazanie na ekranie owej nagości, która gorszyła wiele osób. I podając kilka przykładów: moja mama musiała zrezygnować z pracy w szkolnictwie, na drzwiach naszego mieszkania na ul. Tramwajowej w Łodzi wypisywano „Ty kurwo", „Ty świnio"..., koleżanki i koledzy ze studiów twierdzili, że na taką odwagę, na jaką ja się zdobyłam, oni by sobie nigdy nie pozwolili. Było to oczywiście kłamstwo i obłuda, bo mając możliwość zagrania w filmie, zgodziliby się na najgorsze sceny.

Czego więc aż tak nieprzyzwoitego wymagał od pani na planie reż. Walerian Borowczyk?

Wymagał za dużo, generalnie chciał mnie widzieć od pierwszej sceny, czyli od przyjścia Łukasza — nagą. Był w stosunku do mnie arogancki i wulgarny, przez co powodował moje zamykanie się w sobie, utrudniał a nie pomagał w budowaniu postaci Ewy, a przecież na mojej roli opierał się cały film. Nie było mowy o wypełnianiu podstawowych warunków, abym miała maksymalne skupienie na planie. Obce były mu zwykłe, ludzkie odczucia jak: zrozumienie i ciepło.

Była pani podporządkowanym rekwizytem, czy też miała swoją koncepcję na rolę Ewy w „Dziejach grzechu"?

Musiałam być rekwizytem, bo Borowczyk był apodyktyczny. Mimo to, próbowałam cicho i po kobiecemu wywalczyć swoją wizję tej postaci, i nawet mi się to udawało. Pomogli koledzy aktorzy, szczególnie Marek Walczewski i Karolina Lubieńska.

A poza planem?

Ciągły strach i stresy, bo nie jest tajemnicą, że na czas kręcenia filmu każda aktorka w filmie Borowczyka musi być jego „żoną". Nie poddałam się, choć on usiłował wchodzić do mojego pokoju po balustradzie, przez okno i widząc nieugiętość okupioną atakami histerii — znęcał się później psychicznie na planie, myśląc, że w ten sposób zmusi mnie do uległości.

Co na to wszystko mąż — jugosłowiański fotograf?

Mąż miał zakaz przebywania na planie.

Niedawno TVP emitowała w Kinie „Dla dorosłych" — „Dzieje grzechu". Oglądała pani siebie po latach?

Nie, bo w tym czasie byłam w Szwecji. Film widziałam dwa lata po premierze. Popłakałam się po scenie swojej ekranowej śmierci, tak jakbym przeczuwała, że była to również moja śmierć aktorska.

„Śmierć aktorska", jak to należy rozumieć?

Zabito we mnie wiarę w sens dobrej pracy, jak się okazało za to się u nas karze. Tak, tak... Miałam problemy z ukończeniem studiów, niezrozumiałą dla mnie nienawiść środowiska, osłabiony system nerwowy i niedowagę 14 kg.

Czyżby próbowano panią usunąć ze studiów?

Tak, złożyło się na to wiele powodów i znalazło się wiele osób, które chciały decydować o moim dalszym życiu.

Podobno to przez panią zwolniono jednego z profesorów w PWSFTviT w Łodzi?

Sprawa dotyczyła wypadku na zajęciach z szermierki, na których jedna z koleżanek wykonała cios szpadą prosto w oko i groziła mi utrata wzroku. Operacja na żywca wymagała ode mnie utrzymania wzroku w pewnym punkcie, przy mrugnięciu straciłabym wzrok. Prowadzący te zajęcia został zwolniony z pracy.

Podobno studiowała pani znacznie dłużej niż inni?

Z przerwami na pracę w filmie studiowałam w PWSFTviT 7 lat, przeżyłam 4 rektorów, 5 dziekanów i paru profesorów. Gdy koledzy brali udział w dyplomowych przedstawieniach, ja indywidualnie chodziłam na zajęcia teoretyczne. Był to wynik nagrody ministra, czyli przyznania dyplomu zawodowego przed terminem.

Kariera filmowa zapowiadała się w pani przypadku wyjątkowo atrakcyjnie i ciekawie?

Dziś na jej wspomnienie tylko się uśmiecham. Po roli w filmie „Dzieje grzechu" nie angażowano mnie do żadnego filmu przez 4 lata. Będąc w tym czasie poza środowiskiem, stałam się nowym człowiekiem, doceniłam wartość zdrowia i piękna tego świata.

Nie proponowano pani żadnych ról w filmie?

Owszem, ale tylko do zapełnienia kadru, czyli dwa-trzy dni zdjęciowe w scenie pod prysznicem. Odmawiałam i później było już tylko milczenie ze strony filmowców.

Ale duża rola w filmie „Opis obyczajów" też pokazywała panią nagą i sam film był jak na nasze warunki prawie pornograficzny?

Ten film kręciłam dwa lata przed „Dziejami grzechu", było to podczas wakacji, nazywam go zieloną, studencką przygodą.

Należy pani do aktorek czekających na propozycje, czy też potrafi sama coś wybrać, zaproponować, zaaranżować?

Na smutki mam swoją Ofelię, czyli monodram pt. „Śmierć Ofelii", oparty na podstawie dopisanej przez Wyspiańskiego sceny do „Hamleta" Szekspira i drugiego aktu „Wyzwolenia". Śmierć i wyzwolenie, to mówi samo za siebie. Z tym monodramem jeżdżę po kraju już od dwóch lat, prezentowałam go m.in. na Festiwalu Teatrów Jednego Aktora w Toruniu, gdzie otrzymałam nagrodę.

I kto by się domyślał lub uwierzył w to, że miała pani zostać siostrą zakonną i przygotowywała się do tego posłannictwa w szkole klasztornej dla sióstr Urszulanek koło Nowego Sącza?

Byłam tam tylko przez rok, bo siostry przełożone nie mogły sobie dać rady z moim temperamentem. Nie pomogła nawet moja edukacja w żeńskich szkołach: podstawowej i średniej o zaostrzonym rygorze.

To siostry Urszulanki wyrzuciły panią z klasztoru, czy sama pani uciekła?

Był to wariacki bieg, bo ja byłam na etapie uciekania, a one wypychania mnie z klasztoru. Będąc u sióstr, szczególnie nie lubiłam chodzenia w parkach ze złożonymi rękoma, nie znosiłam rygorów klasztornych, szczególnie tego całego schematu w porządku dnia.

Miała też pani być skrzypaczką?

Skończyłam szkołę muzyczną I stopnia w klasie skrzypiec, a potem kontynuowałam naukę tokiem indywidualnym u kolejnych profesorów, ze szczególnym umiłowaniem lekcji u Kiejstuta Bacewicza.

Zapowiadała się pani również na świetną gimnastyczkę?

Kształciłam się w gimnastyce artystycznej i przyrządowej u trenera Zbigniewa Szuby. Zdobyłam wicemistrzostwo Łodzi. Wróżono mi karierę gimnastyczki.

I ku zaskoczeniu wszystkich została pani aktorką?

W X klasie liceum grałam Rachelę w szkolnym przedstawieniu „Wesela", za tę rolę otrzymałam nagrodę na festiwalu w Krakowie, a do niej dołączony szal od pewnej pani, w którym rolę Racheli grała wielka aktorka. Po tym wydarzeniu mój wewnętrzny świat zmienił się i zaczęłam myśleć o scenie i aktorstwie.

A może trzeba było udać się do wróżki, która przepowiedziałaby pani przyszłość?

Moją aktorską przyszłość przepowiadano mi jako wspaniałą. Tylko w rezultacie zabrakło wiadomości — kto przepowiada tę przyszłość i pewnych niedomówień odnośnie propozycji zagrania przeze mnie wielkiej roli w filmie samego Andrzeja Wajdy.

Co stało się w rezultacie pani odmowy?

Zablokowano mnie w filmie na parę lat.

Ale w sumie zagrała pani 13 ról na dużym i małym ekranie?

Przeważnie grałam rolę bezdusznych kobiet, nie do końca określonych, z wyłączeniem Ewy w „Dziejach grzechu" i najnowszej roli w „Bluszczu" Hanki Włodarczyk. Sympatycznie wspominam pracę przy filmie „Orinoko" Krzysztofa Riege, w którym zagrałam rolę byłej tancerki otwierającej sklep zoologiczny. Mogłam w tym filmie potańczyć, co widzowie niebawem obejrzą na małych ekranach. Role w filmach jugosłowiańskim i czechosłowackim też nie były ciekawe.

Czyli życie aktorki bez zawodowej satysfakcji?

Jeszcze jej nie mam, ale wierzę, że się doczekam, może da mi ją nowa rola Joanny w spektaklu pantomimicznym „Joanna d'Arc na nowo?", która w Statsteater w Malmoe w Szwecji wyreżyseruje amerykański choreograf i mim.

A teatr?

W teatrze pracowałam tylko dwa sezony w latach 1981-83, miało to miejsce w Teatrze Powszechnym w Łodzi. W tym czasie zagrałam mało znaczące rolki w „Szeryfie Brandy" i „Betlejem polskim". Czołowych zadań nie powierzano mi z uwagi na brak doświadczenia scenicznego. Dziwne to myślenie dyrekcji, a ponieważ nie mogłam go w żaden sposób zrozumieć — postanowiłam odejść z tego teatru. Nie odpowiadała mi rola „Białego Murzyna", stojącego za kulisami, gdzie podkładałam głos do mikrofonu dla aktorek na scenie oraz proponowane role starych kokot i starych góralek, bo na te role miałam jeszcze sporo czasu.

Podobno regułą stało się, że gwiazdy i gwiazdki filmowe nie sprawdzają się na scenie?

Aby sprawdzić się na scenie — zrobiłam dwugodzinny monodram i pojechałam z nim na poważny festiwal przed kompetentne jury i... udało się. Ale mimo zdobytej tam nagrody, w teatrze oznajmiono, że nie jest to jeszcze dostateczny dowód, abym mogła po jednym sukcesie w pierwszym spektaklu jednoosobowym pracować w kolektywie.

Sądzi pani, że doświadczenie zdobywane na planie i gotowość filmowa wystarczą, aby iść do przodu?

Nie wystarczą, bo ciągle trzeba dawać z siebie wiele własnych, nowych cierpień i radości, przekreowywanych w daną postać. Należy dbać o zdrowie psychiczne, kondycję fizyczną, bo nie mając formy nie ma możliwości pełnej realizacji siebie na ekranie.

Tylko, czy tego zdrowia i tej wysokiej formy starczy pani po zawale serca, który przebywała kilka tygodni temu?

Ja żyję wiarą i pozostaję nadal optymistką.

Ale pewnego dnia nie wytrzymała pani tego wszystkiego...

Leżałam na torach kolejowych i czekałam na nadjeżdżający pociąg. Do dziś pamiętam słowa dróżnika, który mnie zobaczył i uratował.

Trudno dziś rozpoznać w pani dawną Grażynę Długołęcką, a już w najnowszej roli filmowej matki trojga dzieci, która zabija męża alkoholika — nikt pani nie poznaje?

Reżyser Hanka Włodarczyk odnalazła mnie po kolejnej, czteroletniej nieobecności na ekranie i powierzyła drugą co do wielkości rolę w filmie „Bluszcz", tak ważnym dla niej, bo debiutanckim. W postaci matki-zabójczyni męża przekazałam całą tragedię i smutek swoich ostatnich lat, ponieważ prywatnie towarzyszyła mi również walka o dom, którą przegrałam. Wiedziałam co może czuć kreowana przeze mnie osoba, bo nie powstawała ta postać z papieru. Po raz pierwszy w życiu zostałam zaproszona na premierę filmu.

Lubi pani pracę w filmie?

Ciekawą tak, chciałabym zagrać taką rolę, w której mogłabym tańczyć, śpiewać i ukazać na ekranie radość życia.

Czy w Szwecji, do której niebawem pani wyjedzie, też będzie pracowała w filmie?

Jak zawsze to los szczęścia, ale Bergmana nie znam osobiście.

Na prawdziwą karierę za granicą jest już chyba za późno?

Ale jeszcze ją robię, zobaczy pan, jestem pełna wiary, bo jest takie mądre powiedzenie: „Życie życiem być musi, śmierć korzysta z prawa śmierci". A ja jeszcze żyję...

Czyżby ktoś w to wątpił?

Do niedawna byłam przekonana, że ktoś mnie uśmiercił, bowiem dowiedziałam się, że nie ma mojego nazwiska w spisach aktorów polskich, ani w katalogach Filmu Polskiego. Podobno stale przebywam za granicą, podczas gdy ja byłam: trzy miesiące we Włoszech, sześć miesięcy (z przerwami) w Jugosławii, pół roku w Szwecji, a w zawodzie, licząc od dyplomu jestem dziewięć lat. Ktoś mi te lata zabrał, nie wiem kto?

Życie prywatne aktorek też ma w tych karierach swoje istotne znaczenie?

Moje niewolnicze małżeństwo z jugosłowiańskim fotografem sprawiło to, że moja „kariera" zniszczyła mój dom, a co by było, gdybym pojechała do Cannes, gdzie swego czasu zostałam imiennie zaproszona — lepiej nie mówić.

Stan tej prywatności na dzisiaj?

Mam w sobie jeszcze wiele radości i zapału do pracy oraz nowego, wspaniałego męża, trenera pływania i narciarstwa, stale mieszkającego w Szwecji.

Od czasów „Dziejów grzechu" zmieniła się pani bardzo i ludzie nie poznają pani na ulicy...

Minęło 10 lat, a ja jestem tylko kobietą. Ale uśmiecham się do ludzi, którzy mnie pamiętają i czasami rozpoznają na ulicy. Stresy, jakie wyniosłam z głównej roli w głośnym filmie mimo wszystko nie zabiły we mnie uśmiechu i wesołego spojrzenia na ludzi i świat.

Co mówią lekarze na temat obecnego stanu pani zdrowia?

Pocieszają mnie i troskliwie się nim opiekują.

Ufa im pani?

Muszę.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

ZGIERZANIE W POWSTANIU WARSZAWSKIM 1944 R.

Wystawa będzie czynna w Muzeum Miasta Zgierza ul. Gen. Dąbrowskiego 21 do dnia 2 listopada 1984 r.

Dużym nakładem wieloletniej pracy stało się możliwe pokazanie 170 fotogramów: 40 portretów powstańców, dokumentów, zdjęć zgierzan na stanowiskach walki. Jedna ze zgierzanek została odznaczona Krzyżem Walecznych za spalenie czołgu. Gen. bryg. Edward Pfeiffer, zgierski skaut, był jednym z najlepszych dowódców Powstania. Z kolei jeden zgierzanin walczył w dwóch powstaniach: Warszawskim '44 i Praskim '45. Uciekł z obozu jenieckiego i dostał się do partyzantki AK w Słowacji. Jego oddział wziął do niewoli generała SS Von Pappenheima wraz ze 150 SS-manami. Można to wyczytać z wystawionego dokumentu, którego tłumaczenie także pokazane jest w gablocie. Po przeszło ćwierćwiekowej drzemce w wydanych przez Iksry, Pax, tygodnik „Stolica" albumach, odkryto zgierzan-powstańców na zdjęciach słynnych fotoreporterów (np. Eugeniusza Lokajskiego-olimpijczyka).

Na tę wystawę, choćby w najskromniejszy sposób, dlatego należy zwrócić uwagę społeczeństwa, ponieważ najprawdopodobniej jest ona obecnie jedyną ekspozycją tego rodzaju w kraju. (Przypuszcza tak jeden z historyków, który ją zwiedził).

BOGDAN BEJM

KLUB ADWOKATÓW PISARZY

W dniach 8 i 9 września 1984 r. odbyło się doroczne ogólne zebranie członków Klubu Adwokatów Pisarzy w Domu Pracy Twórczej Adwokata w Grzegorzewicach.

Obrady otworzył prezes klubu Alfred Dreszer, przewodniczył zebraniu Witold Bayer. Prócz członków klubu, w obradach wzięli udział zaproszeni: prezes Naczelnej Rady Adwokackiej Maria Budzanowska, wiceprezes — Kazimierz Łojewski, sekretarz — Halina Piekarska, naczelny redaktor „Palestry" Zygmunt Skoczek, wicedziekan Rady Adwokackiej w Łodzi — Andrzej Kern, przewodnicząca Koła Miłośników Książki — Maria Radzimirska oraz przedstawiciel „Gazety Prawniczej" Nie mogąc przybyć osobiście — pismo z życzeniami nadesłał dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie — Maciej Dubois.

Na wstępie pierwszego dnia obrad udekorowani zostali odznaką „Adwokatura PRL" członkowie klubu: Tomasz Kędzierski, dr Edward Muszalski oraz Henryk Nowógródzki. Czwarty wyróżniony Witold Kotowski — nie był obecny na zebraniu. Aktu dekoracji dokonała Maria Budzanowska, prezes NRA.

Następnie przystąpiono do uzupełniającego wyboru jednego członka zarządu — wobec ustąpienia Witolda Kotowskiego. Wybrany został Józef Malcen. Sprawozdanie z dotychczasowej działalności zarządu złożył prezes klubu Alfred Dreszer. Podniósł m. in. znaczenie publikacji II numeru „Palestry Literackiej", w której zaprezentowało swoje utwory 30 autorów. W końcowej fazie przygotowania znajduje się III numer „Palestry Literackiej", w którym znajdą się także prace laureatów I konkursu rozpisanego przez zarząd klubu. Nad sprawozdaniem z dotychczasowej działalności zarządu oraz nad zamierzeniami na przyszłość rozwinęła się dyskusja, w której brali udział prawie wszyscy uczestnicy obrad.

W drugim dniu obrad omawiano twórczość pisarską adwokatów w ostatnim okresie oraz prezentowali swoje utwory (według kolejności wygłaszania) adw. adw. — w dziedzinie poezji — Janina Kruszewska, Wiesław Uptas, Janusz Waliszewski, Aurelia Mikulińska-Korczyńska, Kazimierz Oblizajek, Maria Kędzierska, Alfred Dreszer; w dziedzinie prozy — Henryk Nowógródzki, Karol Pędowski, Wiktor Łyszczak, Józef Malcen, dr Julian Niekrasz, Jan Balicki, dr Leszek Sługocki.

Na najbliższy okres swojej działalności zarząd przewiduje wydanie kolejnego numeru „Palestry Literackiej", przygotowanie antologii anegdoty sądowo-adwokackiej, spotkania autorskie oraz nowy konkurs na utwór prozą tematycznie związany z zawodem adwokata. Następne doroczne zebranie członków klubu zarząd zamierza zorganizować w Krakowie.

A. D

VETO NA WETY

Utarło się w prasie polskiej — w „Polityce", „Tu i Teraz", „Przeglądzie Tygodniowym", „Sztandarze Młodych" i innych, łącznie z „Odgłosami" (np. nr 39/84 felieton „Strach grać przeciw tej drużynie") — odmieniać przez polskie przypadki łacińskie słowo veto, które stało się tytułem tygodnika „Veto". Pisze się więc: „Veto". „Veta". „Vetu". „Vetem". „Vecie". „Vetowi". Tymczasem „Veto", jako nieodmienne, w każdym przypadku powinno brzmieć „Veto". Tym samym przynajmniej na gruncie łódzkim powinno się pisać: „należy się „Veto" cześć i uszanowanie", a nie, jak pisze Jerzy P. w nieocenionych „spojrzeniach znad szachownicy" (cytuję): „należy się „Vetu" cześć i uszanowanie".

Cześć i uszanowanie należy się przede wszystkim językowi polskiemu, zwłaszcza gdy ten jeszcze nie w pełni przyswoił sobie (strawił na zdrowie?) słowa, zaczerpnięte z innych języków, nawet „martwych". Gdy „veto" zamieni się na weto — wówczas będziemy mogli odmieniać weto, byle nie na wety!

JAMNIK

TPŁ — DROŻEJE?!...

Próżno by dziś szukać w klapach młodych czy starszych łodzian powszechnej dawniej oznaki czy znaczka — Tow. Przyjaciół Łodzi... Towarzystwo to powołaliśmy do życia 25 lat temu przy wielkim entuzjazmie miłośników miasta! Entuzjazm ten był przede wszystkim udziałem ówczesnego zarządu TPŁ, przejawiał się w comiesięcznych atrakcyjnych imprezach publicznych dla łodzian. Obecny zarząd, a raczej jego prezydium, jest już o te 25 lat starszy i przeżywa kryzys.

Przykładem „kryzysowej działalności" może być sprawa znaczka (żelaznego) TPŁ — takiego zwykłego znaczka na szpilkę do przypinania na mundurku szkolnym, czy w klapę marynarki. Toż był to widomy i powszechny znak dla starszych i młodych miłośników Łodzi.

W grudniu 1981 r. — znaczek kosztował 6 zł (słownie sześć), ten sam znaczek, z posiadanych zapasów, nie nowo produkowany — w sekretariacie TPŁ przy ul. Ogrodowej — sprzedaje się obecnie po... 100 zł za sztukę!

Szał nowych cen nie ominął widać i prezydium TPŁ...

Ciekawe, jaka Komisja Cen, urzędowych, umownych czy regulowanych „samowolnie" — taką podwyżkę popularnej oznaki „miłości do Łodzi" — społecznie zatwierdziła?!...

Podobnie jest z folderami propagandowymi, teatralnymi TPŁ, które w nadruku nie mają ceny, a pobiera się coraz wyższe opłaty...

Żeby chociaż TPŁ organizowało jakieś publiczne imprezy samodzielnie... Imprezy, które w całej Łodzi i w całym kraju by zauważono, a do takich je przecież powołaliśmy.

Z. K.
Łodzianin

„SYPANE...?"

Temat przypomniał mi się nagle. Gdy w czasie stażu „słomianego wdowca" zacząłem obierać kartofle (ziemniaki, grule, pyry, czy jak tam kto chce). (...)

Pogodziłem się nawet z tym, że w zakupionych 4 kg — były przynajmniej ze trzy odmiany. Gdyż walka konsumentow o skup i sprzedaż ziemniaków jednorodnych jest już w PRL wg. mojego rozeznania przegrana. To są te drobne uwagi na korzyść przeszłości. Dawniej były „amerykany", o dziwo — nieco czerwone, „białki" i „żółtki". I na tym koniec. Było wiadomo, ile czasu gotować, aby nie doczekać się papki albo nie zamierzonych twardości. Aha — w jakiś czas później doszlusowały „almy", nie cieszące się jednak zbyt wielką popularnością.

Być może popełniam jakieś naukowe błędy w nazewnictwie, lecz piszę przecież jako szary konsument.

Teraz mamy „Lenino", wykazujące niezłomne skłonności do kompletnego rozgotowywania się oraz inne mieszanki niewiadomego pochodzenia.

Nawiasem mówiąc nazwanie tej odmiany kartofli „Lenino" uważam za obrazę naszych tradycji historycznych, bo czegoś równie paskudnego nie jadłem.

Ale trudno. Za sprawą rynku producenta i oczywistej bezbronności rynku konsumenta (niech nie jeł) można, a raczej trzeba się z tym pogodzić.

Nie mogę się jednak pogodzić z czymś innym. Z bezmyślnością. Że te nasze nowalijki już od zarania swego istnienia mają wewnątrz czarne dziury, niczym kawerny w beznadziejnym stadium gruźlicy.

W tym miejscu Czytelnicy przeczuleni na sprawy porównań, smaku i zapachu proszeni są o przerwanie lektury.

Przepraszam w duchu moją Matkę, która już chyba ze 20 lat temu pytała na widok owoców i jarzyn niewiadomego pochodzenia: „sypane...?". Oczywiście chodzi o sztuczne nawozy i tzw. środki ochrony roślin. A ja uważałem to za przewrażliwienie!

Kilkanaście dni temu przed kamerami TV wystąpił Pan X, nazwany ekspertem od spraw ogródków działkowych. Ustosunkował się on do zamieszczanego w środkach masowego przekazu apelu: „nie kupujcie produktów z ogródków działkowych!". Bo możecie się struć. Pan Ekspert, a chwała mu za to, poparł w swej wypowiedzi zarzut, że większość hodowców nadużywa chemii dla uzyskania maksimum plonów. A że potem wątroba pęka i nerki nie chcą działać?

Ekspert poparł. A ilu zrozumie?

Wspomnienie własne. Lat temu kilkanaście byłem świadkiem, gdy „nowy" sąsiad urządził na działce „zabiegi agrotechniczne". Zabieg opryskiwania był tak szczodry, że gdyby nawet chemia nie zadziałała — szkodniki na pewno się potopiły! Na nasze uwagi — prawie nie reagował. Po prostu nie rozumiał, o co chodzi.

Wracając do tych kawern w ziemniakach. Rozumiem, że nie wszystko lub raczej bardzo mało da się użyźnić nawozem naturalnym. Raz — bo nie ma już tyle źródeł, a co się tyczy pożytku z g... ludzkiego — to nie ma o czym mówić.

Dawniej większość ubikacji była tzw. sucha. A gdy nawet było lokalne szambo — to używało się takiego narzędzia pod nazwą „szeper" (drewniany kubeł osadzony na sztywno na drągu), którym ręcznie i w żmudny sposób wydobywało się efekty przemiany materii i skrzętnie, nie roniąc ani trochę tego „złota" — rozlewało po działkach i polach. A jak to równie skrzętnie ludziska podbierali do wiaderek krowie „placki"?

Kto z Czytelników pamięta pojazdy o nazwie „szajsebeka"? Ale nie beczka z MPO, z podciśnieniem, lecz te wozy konne, mało pachnące, lecz jakże pożyteczne!

Mało smakowite wspomnienia. Lecz przecież przyroda — to swego rodzaju obieg zamknięty, o czym coraz częściej przekonują się np. kosmonauci...

Teraz jest inaczej. Nowocześnie! Sieć wod.-kan. na ogół skutecznie zatruwa wszelkie cieki wodne, gdyż oczyszczalni nie staje. Nie twierdzę oczywiście, że jedynym ratunkiem jest powrót do suchych ubikacji. Byłoby to wbrew postępowi, a więc musimy się zgodzić z tym, co jest. Niech więc te wszystkie nieczystości, razem z „Ludwikiem" i innymi detergentami z prania spływają do rzek. Na miarę naszego sumienia.

Lecz ciągle jeszcze istnieje spory margines możliwości, który bez przerwy jest pomijany. Z głupoty lub z wygodnictwa. A rzecz w tym, aby nie nadużywać chemii, nie truć siebie i innych. Dziś ja ciebie, jutro ty mnie?

Widziałem wiśnie na straganie. Tak wielkie, że nie wierzę, aby nie były sztucznie pędzone. To samo z kartoflami: dziś 100 kg wagi, jutro 50 kg zgnilizny. I po co?

Przypominam i polecam zasłyszaną kiedyś radę: „jedz tylko te warzywa i owoce, w których są robaki. One wiedzą, że się nie strują!"

A jeśli o mnie chodzi? Przestanę wierzyć w rozum i instynkt samozachowawczy ludzi dopiero wtedy, gdy się dowiem, że pieczarki przystosowały się do egzystencji na odpadach koni mechanicznych.

W. AFELT

SPÓR O WSZYSTKO — NIEBEZPIECZNY PRECEDENS

„Spór o wszystko" nazwał swój tekst, zamieszczony w „Przeglądzie Tygodniowym" nr 40 z dn. 30 września 1984 r., Edward Kołodziejczyk. Tytuł pozornie na wyrost, bo spór był wyłącznie o pieniądze. W rzeczywistości był to spór o znacznie ważniejsze sprawy. Ważniejsze nie tylko dla stron sporu.

Sprawa, w największym skrócie, wyglądała tak: Załoga Zakładów Wytwórczych Aparatury Wysokiego Napięcia im. G. Dymitrowa w Warszawie, wraz z załogami pięciu zakładów filialnych, reprezentowana przez Związkową Radę Koordynacyjną wystąpiła do dyrekcji o zagwarantowanie — do końca bieżącego roku — podwyżek płac rzędu 2,5 do 3 tys. zł średnio na pracownika.

Pierwsze spotkanie ZRK z dyrektorem nastąpiło 10 kwietnia br. Do porozumienia nie doszło, ale strony ujawniły swoje racje i argumenty.

Argumenty dyrekcji: na proponowane podwyżki nie ma pieniędzy (chodzi o kwotę ok. 130 milionów rocznie), sytuacja zakładu jest zła, ubiegłoroczne przekroczenie funduszu płac pociągnęło za sobą wysoki podatek na PFAZ. Zakład jest samorządny i samofinansujący się — ile wyrobimy, tyle podzielimy.

Argumenty związkowców: ludzie odchodzą, zarobki są relatywnie coraz mniejsze, za pracę zmianową płaci się 2,50 zł, za pracę w warunkach szkodliwych 1 zł. To budzi śmiech. Kilogram soli kosztuje tyle, co godzina pracy w najniższej grupie.

W lipcu obydwie strony sporu stanęły przed Kolegium Arbitrażu Społecznego w Okręgowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Była to pierwsza tego typu sprawa w historii sądu... Nie wdając się w szczegóły przejdźmy do konkluzji. Na trzecim posiedzeniu Kolegium Arbitrażu Społecznego doszło do ugody: ministerstwo przyznało przedsiębiorstwu ulgę podatkową, mianowicie zwolniono je od płacenia na PFAZ kwoty czterdziestu sześciu milionów zł. Ustalono także, że wypłaci się jeszcze w tym roku sporą zaliczkę premii rocznej, tzw. trzynastki. Uzyskane kwoty pozwolą wypłacić pracownikom ZWAR-u średnio miesięcznie po ok. 3 tys. zł dodatkowo.

Wszyscy są zadowoleni, zwłaszcza związkowcy...

Ja otóż, choć nic wspólnego ze ZWAR-em ani jego załogą nie mam, wcale nie jestem zadowolony, przeciwnie, napawa mnie to pewnym niepokojem. Krótko rzecz nazywając po imieniu uważam sprawę za niebezpieczny precedens. I to z kilku powodów, które po kolei wyłuszczę.

Jeśli jeden mówi „czarne", drugi „białe", to arbitraż może ich pogodzić tylko w jeden sposób: „To jest szare, panowie". Jeśli bowiem arbitraż stwierdza, że „czarne" to oznacza, że na pewno nie „białe".

Arbitraż, jak sama nazwa wskazuje nie ma nikogo sądzić ani potępiać. Ma służyć zgodzie i porozumieniu. Taką też rolę spełnił. Tyle że rzecz cała nie zakończyła się żadnym kompromisem, a pełnym sukcesem związkowców. (Za kompromis uznałbym np. podwyżki rzędu 1,5 tys. zł). Tak więc podwyżki są, pieniądze się znalazły, ale nikt nie zakwestionował argumentacji dyrektora! To znaczy, że dyrektor miał rację? Jeśli ją miał, to nie mieli jej związkowcy, czemu więc wygrali?

Krótko mówiąc, gdyby organ założycielski odwołał dyrektora, komitet partyjny cofnął mu rekomendację — gdyby choć dostał naganę — to oznaczałoby, że rację miała strona związkowa. Jeśli było inaczej — a to wynika z relacji Edwarda Kołodziejczyka — to rację miał dyrektor i on jeden w efekcie tego sporu cierpi jego skutki moralne.

To dyrektor okazał się słabszy, to on przegrał, choć nikt jego ekonomicznych argumentów nie obalił. On też arbitraż w sensie merytorycznym wygrał! Wygrana związkowców leży w zupełnie innej sferze...

Drugi aspekt niebezpiecznego precedensu: związki zawodowe mogą a nawet mają prawo żądać podwyżek płac. Jeśli jednak posługują się argumentem „wszystko drożeje", to za mało. Związki nie potrafiły wskazać rezerw, arbitraż nie potwierdził zarzutu opieszałości i nieudolności dyrekcji. Jeśli w sytuacji, w której związkowcy zajrzeli do zakładowej kieszeni i uznali, że jest pusta, a nadal domagali się podwyżki, to nolens volens zapachniało to znajomym zapaszkiem...

Trzecia, koronna wątpliwość. Sprawę uratowało zwolnienie od podatku na PFAZ. Dobry wujaszek — państwo — jak wiele już razy, zrobiło komuś prezent. A przecież tak miało nie być? Dokonał się gwałt na reformie gospodarczej! Co będzie, jeśli za związkowcami ZWAR-u pójdą inni? A co będzie w ZWAR w przyszłym roku? Już wiadomo, że trzynastka będzie za ten rok malutka, bo wypłaci się zaliczki. A przyszłoroczny podatek na PFAZ? Czy znów go anuluje? Przecież nastąpi, i to automatycznie — zwiększenie kwoty na PFAZ w wyniku zwiększenia funduszu płac. Czy zwycięstwo związkowców będzie triumfem Pyrrusa?

Był to rzeczywiście „spór o wszystko". Tylko czy rzeczywiście dobrze się skończył...

ANDRZEJ KAROLCZAK

IX KONKURS IM. FRANCISZKA GILA NA REPORTAŻ

Konkurs nawiązuje do dorobku twórczego Franciszka Gila, który małopolską wieś uczynił terenem płodnych obserwacji dziennikarskich i literackich. Organizatorom zależy więc na reportażach ukazujących w sposób pełny i artystyczny wszechstronny rozwój życia na wsi, kształtowanie się i dojrzewanie postaw ludzi i zespołów będących współtwórcami socjalistycznych przemian, z ukazaniem trudności, konfliktów i sukcesów. Intencją organizatorów jest również uzyskanie prac, będących plonem obserwacji i analiz złożonej sytuacji społecznej wsi, miejsca w niej dla organizacji samorządowych i społeczno-zawodowych oraz postaw ludzi tworzących na wsi klimat dla społecznej aktywności swego środowiska.

Konkurs jest otwarty, o zasięgu ogólnopolskim. Nagrody w nim mogą być przyznane jednak wyłącznie za reportaże nie publikowane wcześniej w jakiejkolwiek formie. Organizatorzy nie ograniczają rozmiaru prac. **Przewiduje się przyznanie następujących nagród i wyróżnień:** I nagroda — **35.000 zł**, II nagroda — **25.000 zł**, III nagroda — **20.000 złotych** oraz wyróżnienia po **10.000 złotych.**

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród, a także zmiany ich wysokości, z tym jednak, że ogólny fundusz przeznaczony przez organizatorów na nagrody nie ulegnie zmniejszeniu.

Organizatorami konkursu są: Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w Rzeszowie, redakcje: „Nowiny" i „Profile", Rozgłośnia Polskiego Radia i TV, Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie, Zarząd Główny ZSMP, wydziały: Kultury i Sztuki oraz Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie oraz Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Prasy, Książki, Radia i TV.

Uczestnicy konkursu proszeni są o nadsyłanie tekstów, podpisanych godłem, w trzech egzemplarzach pod adresem: **Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, Al. Komunistów 10, Rzeszów,** z dopiskiem: „Konkurs im. F. Gila". Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę, zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 30 października 1984 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 4 grudnia 1984 r. w rocznicę urodzin Franciszka Gila.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku prac nadesłanych na konkurs oraz opublikowania ich w formie książkowej.

Szpital jest azylem. Chroni nas przed piciem Tam, „na wolności" (nader często używa się tu więziennej terminologii, nawet grypsery) jesteśmy narażeni na tysiące pułapek. Dowodnie świadczą o tym powroty...

Jacek zwykł mawiać: — Panowie, normalne życie to jest tutaj, normalni ludzie, normalne rozmowy. Tam, na zewnątrz, jest prawdziwy dom wariatów. Tam jest pijaństwo, tam jest nerwówa, tam jest ta idiotyczna, codzienna orka, zarabianie pieniędzy, wydawanie pieniędzy, kolejki, kłopoty, szaleństwo powszednie.

Romek wraca po przepustce Odwiedził krewnych w Zielonej Górze, był na jakiejś uroczystości rodzinnej. Opowiada: — Wszędzie tylko pijaństwo, w pociągu, w restauracji przed trzynastą wszyscy pijani. Kelnerka roznosi tylko jakieś zakąski, a pod każdym stolikiem pół litra. Rany boskie jak ci ludzie w Polsce piją!

Czy mógłby zdobyć się na podobną refleksję dwa miesiące temu, przed przyjściem na oddział?

Ale nie tylko przed pijaństwem chroni nas pobyt na oddziale. Bywa, że chroni przed wymiarem sprawiedliwości, bywa że stanowi skuteczną ucieczkę przed kłopotami w pracy i w rodzinie. Miesiące płyną, sprawy się „same układają". Niektórzy pensjonariusze wybierają pobyt długi, jak najdłuższy. Po ustawowym sześciomiesięcznym pobycie piszą podania do pracodawców o dodatkowe sto osiemdziesiąt dni. Z różnych powodów. Jedni, bo wierzą pani ordynator, że tylko długa, jak najdłuższa kuracja daje szansę wyleczenia. Inni chcą maksymalnie wykorzystać czas, możliwość brania zasiłku u pracodawcy, do którego nie zamierzają wracać. Wykorzystać zwolnienie i zmienić pracę. Są wreszcie tacy, którzy obliczają sobie, że pobyt w szpitalu opłaca się. Wydatki są nieduże, większą część zasiłku można odłożyć. Wreszcie tzw. margines, bezrobotni z wyboru: — Za pobyt w szpitalu zapłaci opieka społeczna, można polożeć, czysto, ciepło, dają jeść...

GORĄCZKA SOBOTNIEJ NOCY

Czy to z wieloletniego nawyku spędzania sobotniego wieczoru możliwie najweselej, czy z tego powodu, że personel w wieczory sobotnie składa się tylko z jednej pielęgniarki, pełniącej jednocześnie dyżur w izbie przyjęć, dość że podziemne życie oddziału tętni najmocniej właśnie w sobotnie wieczory. Czaj, wódka, poker itd. itp.

Około północy dyżurna pielęgniarka, jedna z najsympatyczniejszych zresztą, budzi mnie:

— Niech pan pomoże, niech pan coś zrobi, tu jest Sodoma i Gomora...

Rzeczywiście. Na korytarzu pijany kompletnie Romek wymachuje pustym dzbankiem po kawie: — Niech no który podejdzie! Nikt nie podchodzi. Romek to kawał chłopa, do tego ma szaleństwo w oczach. W świetlicy rozbity słoik, rozlany czaj, kupka fusów. Kilku zalanych lub „zaczajonych" prowadzi głośny spór. Ktoś ubliżył podobno siostrze. Ci sprawiedliwi mężowie chcą go ukarać.

Ożywienie także na sali obserwacyjnej — porodówce. Wielka plama na podłodze, obrzydliwy smród denaturatu. Chłopcy chcieli rozpić „dętkę" i któryś upuścił to tak nieszczęśliwie. Chyba z półtorej godziny zeszło, zanim z kilkoma przytomnymi doprowadziliśmy oddział do porządku. Plamy pozmywane, awanturnicy w łóżkach.

Dobranoc siostro! Dziewczyna ma jeszcze łzy w oczach..

Niedzielny wieczór niewiele różni się od sobotniego. W jednej z sal bankiecik — wódeczka, piwko, wszystko do nabycia na miejscu, z marżą, rzecz jasna. Czaj, prochy...

Podsumowanie weekendu w poniedziałek. Paweł, z przekrwionymi oczyma, z determinacją, podtrzymywaną porcją wody brzozowej, zgłasza się do lekarza. Wypisuje się na własną prośbę — Skoro tu, w szpitalu się ubzdryngoliłem, to znaczy, że nie ma już dla mnie ratunku.

Namawiamy go do rozwagi. Niech się prześpi, jutro podejmie decyzję. Paweł jest zdecydowany. Formalności trwają krótko. Paweł ze spakowaną torbą, uśmiechnięty: — Cześć chłopaki! Idę na kielicha! Prosto na rynek, tam odpalę Pershinga i idę równo dalej. W korek! (Pershing — kacowy zestaw śniadaniowy: seta, pół ogórka, papieros popularny).

O to chodziło...

Drugi jest Kowalczyk. Ten systematycznie szprycował się prochami. Od tygodni był, każdego popołudnia, na lekkim rauszu. W niedzielne popołudnie przedawkował, na dodatek poczęstował „smakołykiem" kolegę. „Jedzie na kopach". Ale broni się. Do końca nie przyznaje się ani do ćpania, ani do tego, że dał prochy koledze. Kłóci się ze wszystkimi, nie uznaje żadnych racji, napisze skargę do dyrektora szpitala. Jest klasyczną ilustracją tezy pani ordynator:

— Każdy alkoholik to egoista i egocentryk.

W trakcie wywiadu pani ordynator, po wysłuchaniu mego życiorysu i relacji z ostatnich miesięcy intensywnego chlania, zapytała: — Dlaczego pan tak siebie nienawidzi? Nie umiałem odpowiedzieć. A może dlatego właśnie? Może znudził mnie już własny egotyzm? Nieustająca autoanaliza?

„ABSTYNENT"

Doktor Tiszer był stale zajęty. Kilkakrotnie prosiłem go o rozmowę — minęły trzy miesiące, czułem się doskonale i zbliżał się sezon festiwalowy. Chciałem być w Zielonej Górze, w Opolu, w Kołobrzegu. Zresztą w Estradzie też było urwanie łba, sezon chałturniczy w miejscowościach wczasowych, festiwale i urlopy na dodatek. Szef tęsknił za mną jak nigdy!

A w szpitalu podobało mi się coraz mniej. Ciągnęło mnie do pracy, dokuczała mi abstynencja płciowa — coraz łakomiej spoglądałem na okrągły tyłeczek siostry „Żarówy". Biały fartuszek był półprzezroczysty, widać było skąpe, różowe majteczki. Zresztą, zaczęły mi się niebezpiecznie podobać także inne — dziewczęca, zawsze uśmiechnięta „Harcerka", ponura, złośliwa, ale bardzo zgrabna „Antena" i nieduża blondynka „Szprotka" o obiecującym spojrzeniu bladobłękitnych oczu — wszyscy w naszej sali byli zgodni, że ta to lubi te rzeczy i na pewno dużo potrafi.

Wreszcie doktor poprosił mnie do siebie. Poszło szybko, doktor nie widział przeciwwskazań, zapisał tylko relanium, podpisał rozpoznanie: „Zespół uzależnienia alkoholowego" — nieźle, innym wpisywano różne charakteropatie i psychopatie!

Do domu! Szpitalne łachy i pościel oddaję „Szprotce", z trudem powstrzymuję się od zaproponowania randki tam, „na wolności". Jednak nie mam odwagi. Nie zniósłbym odmowy, bo przecież w podtekście byłoby: „Z panem? Z alkoholikiem? Nie ma mowy!"

W Estradzie powitano mnie sympatycznie. Tylko księgowy powiedział mi na stronie: „Na temat pańskiego „tam" pobytu były tu różne takie ...no dowcipy". Ba, zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Na robotę rzuciłem się jak wygłodniały wilk na jagnię. Różne organizacyjne sprawy, które przedtem tak bardzo opornie szły, załatwiałem od ręki. Po południu pracowałem z reguły nad tekstami. Nową piosenkę z repertuaru Ałły Pugaczowej przetłumaczyłem w jeden wieczór, zajęła mi jakieś dwie, dwie i pół godziny!

Któregoś dnia — ze trzy tygodnie po wyjściu ze szpitala umówiłem się z Włodkiem. U mnie, w domu. Rano robiłem porządki. Pod oknem, w schowku koło kaloryfera bateria pustych butelek. Sprzedałem butelki, kupiłem kawę. Chwilę stałem przy stoisku monopolowym. Była „Złota Jesień". Poczęstować Włodka? Nie, ruszyłem w stronę wyjścia. Zawróciłem. Kupiłem. Tylko poczęstuję Włodka. Reszta zostanie, może zaproszę jakąś dziewczynę, trochę alkoholu może się przydać...

JAN KALICH

5

Poker z Hamletem

Włodek wypił trzy kieliszki.

Minął miesiąc. Było chandrowate, deszczowe popołudnie Nie mogłem czytać, nie mogłem pracować, nie bawiła mnie muzyka z płyt, książkę odłożyłem po przeczytaniu trzech kartek. Wyprałem koszulę i skarpetki, wyczyściłem buty. Już nic więcej nie miałem do zrobienia. Telewizja. Nudy, powtórkowy film Przypomniałem sobie, że mogę jeszcze zrobić porządek pod kuchennym bufetem. Tam natknąłem się na zapomnianą już „Złotą Jesień". Automatycznie postawiłem ją na stole i przetarłem ściereczką zakurzony kieliszek. Mój ulubiony, z grubego szkła, podwędzony kiedyś w barze hotelowym w Słonecznym Brzegu.

Nie, nie ma sensu, przecież tak dobrze idzie, ile to już tej abstynencji? Pięć miesięcy! Nie warto zaczynać. — To mówił „ten pierwszy". „Ten drugi" był akurat przeciwnego zdania:

— Jeden, no dwa kieliszki nic nie zmienią. Przecież aż pięć miesięcy wytrzymałeś, wypijesz, schowasz do kredensu i koniec. Przecież potrafisz nad sobą panować, przecież po tych dwóch, trzech kieliszkach nie będziesz miał kaca, nie wpadniesz w korek. A poczujesz się lepiej, muzyka znów zacznie ci się podobać...

Dwa razy nalewałem i ...dwa razy starannie przelewałem zawartość kieliszka z powrotem do butelki. Wreszcie „ten drugi" zdecydowanie uciął moje wahania — Nie wygłupiaj się, pokaż że masz silną wolę i panujesz nad sobą! (Ciekawe, że ten pierwszy mógł użyć dokładnie tych samych słów ...Ale nie użył!)

Nalałem, przechyliłem, zakąsiłem. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Zrobiło się ciepło i miło, schowałem butelkę i nastawiłem płytę. Poczułem głód. Miałem w domu polędwicę i pomidory, ale nie chciało mi się kroić chleba (!). Poszedłem na kolację do Spatifu. Tylko na kolację. Nie na wódkę, skądże. Po prostu miałem ochotę na szaszłyk. Zjem, wrócę do domu i koniec. Żadnej wódki. Żadnych kumpli od kielicha. Zresztą, przecież wiedzą, nawet nikt nie zaproponuje.

W Spatifie siedział nad pustym talerzem malarz i grafik Grantz. Dosiadłem się. Sam zaproponowałem pół litra. Zdziwił się, ale nie zaoponował.

— Wiesz stary — wyjaśniałem pośpiesznie, bardziej sobie niż jemu — ja już jestem wyleczony, nie ma problemu, przecież nie mogę być do końca życia abstynentem, raz na parę miesięcy mogę rąbnąć jeden kryształ ze starym kumplem, prawda?

MOJA OSTATNIA BUTELKA

Wróciłem do domu po trzech dniach, nad ranem. Z butelką „Bałtyckiej". Rzuciłem się na tapczan w butach. Obudziłem się w południe. Wypiłem szklankę, znów zasnąłem. Powtórnie obudziłem się w nocy. Po szklance wódki poczułem głód. Zjadłem łapczywie znalezioną w lodówce polędwicę, zrobiłem kawę. Wykąpałem się.

Usiadłem w fotelu z ostatnią już szklanką czystej. Nie ma sprawy, przecież na rano mam jeszcze „Złotą Jesień". Popijałem obrzydliwy „Bałtyk" i słuchałem monologu „tego pierwszego":

— Masz bracie 45 lat, niewiele już zwojujesz. Napiszesz trochę piosenek, już niewiele, piszesz przecież coraz mniej. Parę życiowych okazji diabli wzięli przy pomocy wódeczki. Nigdy się nie powtórzą, masz przecież zszarganą opinię...

Dwie kobiety, które naprawdę kochałeś, odeszły od ciebie. Rodzony syn nie chce cię znać podobno nawet zamierza zmienić nazwisko.

W tej dziedzinie też już nic cię nie czeka. Jesteś stary, nie masz i nie będziesz miał pieniędzy ani pozycji, za co można kochać starego moczymordę? A przecież się nie wyleczysz. Nie pomogły anticole i esperale, nie pomogła hipnoza. Wreszcie odwykówka nie pomogła... Żeby się wyleczyć, trzeba chcieć. A ty nie chcesz chcieć...

Włączył się „ten drugi":

— No widzisz? Nie jest dobrze i już nie będzie. Bądź konsekwentny, posłuchaj „tego pierwszego". Posłuchaj, ale nie rozmazgajaj się znowu. Wyciągnij konsekwencje z tego, co usłyszałeś. ...No, śmiało...

Odszukałem gruby, ozdobny sznur, którym przewiązywała kiedyś szlafrok Alina. Przywiązałem jeden koniec do haka, na którym wisiał karnisz. Na drugim końcu zrobiłem pętlę. Szarpnąłem. Hak trzymał mocno. Podstawiłem kuchenny taboret. Gotowe. Zaschło mi w gardle. Wypiłem ostatni łyk czyściochy, przyniosłem z kuchni napoczętą „Złotą Jesień". Usiadłem w fotelu. Jeszcze chwila, jeszcze parę minut. Aha, trzeba pamiętać, żeby węzeł pętli był koło ucha, a nie na karku. Wtedy trwa to krótko i — być może — jest zupełnie bezbolesne.

Jeszcze jeden łyk. I wtedy znów zaczął „ten pierwszy":

— To dobrze, że zdajesz sobie sprawę ze swego położenia. Rzeczywiście, nie pomoże ci już medycyna, ale możesz sam sobie pomóc. Przestań się rozglądać, przestań czekać. Postaw na siebie. Tylko poważnie. Zagraj w taką loterię — wygrana to życie, przegrana — sam wiesz...

Wszedłem na taboret. Zdjąłem sznur z haka. Rzuciłem go na stół. Przez chwilę przyglądałem się pętli zarzuconej na butelkę. Zacisnąłem ją. Na kartce napisałem mazakiem „Moja ostatnia butelka". Schowałem butelkę w szafie. Stoi tam. Moja ostatnia butelka. Jeśli kiedyś będę chciał się napić...

Jutro będę miał kaca. Kupię syfon wody sodowej i pójdę na basen. Do południa przejdzie.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wywiad nieautoryzowany

„Ustawa mnie dobrze ustawiła"

— Ile pan zarabia? Średnio, miesięcznie?

— Jestem na rencie.

— Tak, ale nie o to mi chodzi. Ile pan dorabia?

— ...

— Pół litra kosztuje u pana osiemset złotych. W innych „nieuspołecznionych" punktach sprzedaży stała cena, o ile wiem, wynosi siedemset pięćdziesiąt złotych?

— To niezupełnie tak. Meliniarze na Włókienniczej biorą siedemset pięćdziesiąt. Ale jak pan pójdziesz na Włókienniczą, to zapłacisz pan osiemset, bo pięć dych weźmie łazior co stoi pod bramą. On jest pośrednikiem. Niektórzy biorą także więcej. Jak jest bardzo późno, albo w poniedziałek rano. A u mnie zawsze tak samo: osiemset. No, chyba że nie mam zwykłej. Za wyborową muszę brać dziewięćset.

— Ostatnio otwarto nocne sklepy. Czy to nie wpływa ujemnie na pańskie obroty i zyski?

— Nie. Ja już dawno handluję głównie rano. Ta ustawa mnie dobrze ustawiła. Ja już nikomu po jedenastej w nocy nie otwieram. Po co? Cały utarg zrobię od szóstej rano do południa. Potem jeszcze parę butelek wieczorem, jak sklepy zamkną. A w nocy śpię, nie tak jak dawniej, kiedy człowiek się musiał zrywać o każdej porze...

— To ile tych butelek idzie dziennie?

— Jedno mogę panu powiedzieć. W poniedziałki idzie dwa razy więcej niż w inny dzień. W piątek muszę się zawsze zaopatrzyć potrójnie: na sobotę, niedzielę i na poniedziałek. W poniedziałek najwięcej chłopaków wpada już bardzo wcześnie, nawet przed szóstą. Przeważnie nie po połówkę, tylko na setę. Suszy ich...

— Nie ma pan kłopotów z zaopatrzeniem? Kupuje pan sporo, czy to nie zwraca niczyjej uwagi?

— W najbliższym sklepie kupuję tylko parę butelek tygodniowo. Resztę — na innej ulicy. Kierownik sklepu zblatowany, jak jest kolejka, to da od tyłu i nie obchodzi go, po co kupuję.

— I trzyma pan to wszystko w domu. Przecież to dowody rzeczowe?

— W domu to ja mam trzy, cztery butelki. Tyle mi zawsze wolno. Niech pan szuka, więcej pan nie znajdziesz...

— Dziękuję, wierzę bez szukania. Trzy butelki pójdą raz dwa. A potem? Reszta jest gdzieś schowana poza domem, zdeponowana u sąsiada?

— ...

— Zawsze był pan taki ostrożny?

— Zacząłem trzymać wódkę sześć lat temu. Miałem wtedy w domu po dwadzieścia butelek. Nie bałem się. Wpadał do mnie jeden z komendy dzielnicowej. Wypił setę, pogadał, wziął pół do domu. Nic się nie bałem. Ale go wyrzucili. To już byłem ostrożniejszy. A i tak wpadłem.

— W jaki sposób?

— Tajniak stał na klatce schodowej. Zdjęli klienta. Miał dwie połówki. Przestraszył się czy co, no i powiedział. Rewizja wykazała osiemnaście butelek. Zapłaciłem grzywnę, nawet w gazecie mnie obsmarowali.

— Dużo pan zapłacił?

— Możesz pan znaleźć w gazecie. Nie lubię o tym mówić. Rok temu to było, a jeszcze krew mnie zalewa.

— Ale handluje pan dalej?

— Na grzywnę muszę wyrobić, bo mi połowę rozłożyli na raty. No i żyć trzeba. Syn w technikum. Z czego to wszystko utrzymać? Z mojej renty? Czy z pensyjki żony? Jest sprzątaczką.

— Pije pan?

— Niewiele. Zdrowie nie pozwala. Czasem, z klientem. Albo od święta. Kiedyś to się piło... Ale nigdy do rana, jak te łazory, co tu przychodzą.

— Jaką pan ma klientelę?

— Ja się tam klienta nie pytam co robi i z czego żyje. Fakt, obcemu nie sprzedam. Boję się. Muszę znać, albo jakiś znajomy przyprowadzi, proszę bardzo, wtedy sprzedam. A ludzie są różni. Tu, piętro wyżej, mieszka inżynier. Wypić lubi. Czasem to przychodzi po południu. Panie inżynierze, po co to? Przecież sklep otwarty — mówię. A on: — W sklepie kolejka, a do pana to nawet butów nie zakładam. — Wygodę lubi. Jemu to i na kredyt sprzedam...

— A innym?

— Co to, to nie. Wyjątkowo, jak stały klient. Trzeba iść człowiekowi na rękę. Ale fant musi dać. Zegarek albo coś, co jakąś wartość ma. Żadne dowody, legitymacje. Co ja z tym będę robił?

— A kiedy pan jeszcze odmawia? Pijanemu pan odmówi?

— Ja nie jestem towarzystwo antyalkoholowe. Klient płaci, to mnie nie obchodzi czy pijany, czy trzeźwy. Jednemu nie sprzedaję. Żona tu była, bez awantur, spokojnie poprosiła, żeby nie dawać, bo człowiek ciężko chory, może walnąć w kalendarz na serce. No to mu nie sprzedaję. Koleżkę podsyła.

— Nie ma pan wyrzutów sumienia?

— Co? A kierownik państwowej knajpy ma wyrzuty sumienia? Co mi pan tu opowiadasz? Państwo jeszcze na mnie korzysta. Grzywnę mi dowalili...

Rozmawiał: J. K.

Cień Napoleona nad Korsyką

Prezydent Republiki jeszcze nie tak dawno wzywał Korsykanów, aby stali się „samymi sobą". Kształt obecnego zgromadzenia korsykańskiego oddaje niestety obraz społeczności tej wyspy. Mamy tu do czynienia ze śmieszną i przestarzałą grą polityczną, co prawda pełną subtelności, ale w grze tej Korsyka traci stopniowo swoją duszę. Podzielona lewica utraciła przewodnictwo zgromadzenia, oddając je prawicy. Przewodnictwo nie przypadło — wbrew pierwotnym założeniom — centrolewicowemu sojusznikowi z ruchu lewicowych radykałów Francois Giacobbiemu. Czy takie stanowisko przewodniczącego jest „zatrutym podarunkiem?". Czy taką właśnie taktykę przyjęto w Paryżu, bowiem skład Zgromadzenia Korsykańskiego jest tego rodzaju, że nie sposób sprawować z nim rządów? Zobaczymy o co tu chodzi w istocie.

Według szczególnej arytmetyki, której tylko prostaczkowie nie mogą zrozumieć, nacjonalistyczny dziennik „U RIBOMBU", zamieścił na czołówce komentarz opatrzony tytułem „Zwycięstwo" dochodząc do wniosku, że tylko 95 proc. głosów padło na innych kandydatów niż ci, jacy znajdowali się na liście separatystów (5 procent). Następnie — cóż to za cud polityczny — widzieliśmy w piątek, 24 sierpnia, przewodniczącego Rocca-Serra z gaulistowskiej partii RPR w towarzystwie Rogera Palmieri ze skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, a także beniaminka tego zgromadzenia 27-letniego Dominique Galleta, który reprezentuje Korsykański Ruch Samookreślenia. Potem mogliśmy wysłuchać lewicowego radykała Francois Giacobbiego, który jest szefem północnego klanu Korsykanów, stwierdzającego z całą jasnością, że nie udzielał mu poparcia kandydat skrajnie prawicowego Frontu Narodowego Pascal Arrighi.

— Nie próbujcie tutaj stosować schematów z kontynentu — mówią politycy korsykańscy — tu u nas głosuje się w o wiele większym stopniu na człowieka, a w o wiele mniejszym na jego przekonania polityczne.

Aby analiza polityczna była pełna dodajmy, że brązowy pomnik, jaki na placu generała de Gaulle'a w Ajaccio przedstawia cesarza Napoleona wraz z czterema jego braćmi, został uszkodzony 7 sierpnia, kiedy to strącono Lucjana i jego konia, a następnie 17 sierpnia, kiedy to obalono Hieronima. Obaj zostali strąceni eksplozją materiału wybuchowego. Aby zapobiec strąceniu Ludwika, albo Józefa, postanowiono zdjąć cały pomnik „dla odnowienia". Dla bonapartystów była to pełna wstydu porażka i teraz występują oni przeciwko władzom miejskim.

Z jakich to powodów ci dwaj członkowie słynnej rodziny zostali tak okaleczeni? Chodzi o to, że na Korsyce przeszłość rzuca wciąż cień na teraźniejszość.

Iberyjczycy, Ligurowie, Fenicjanie, Marsylczycy, Etruskowie, Kartagińczycy, Rzymianie, Grecy, Wandalowie, Ostrogoci, Bizantyjczycy, Lombardowie, Saraceni, Pizańczycy, Genueńczycy, a nawet Anglicy — wszyscy oni połamali sobie zęby na tej wyspie. Wszyscy utracili tę wyspę wszyscy zostali pozbawieni swych zdobyczy. Legiony rzymskie musiały stoczyć dziesięć kampanii i udało im się tylko opanować wschodnie wybrzeże wyspy. Na dwa stulecia przed Chrystusem koło Alerri pojawiły się ich galery, ale nie udało się Rzymianom zapanować nad Korsyką. Tylko resztki ruin porośniętych lasem świadczą o tych wydarzeniach. Jeszcze później powstało tu kilka genueńskich wież strażniczych, które dzisiaj nadają posmak romantyzmu owym wybrzeżom, na których rozbijali się przybysze z zewnątrz.

To właśnie niezwykła przeszłość Korsyki wytworzyła te nieszczęścia. Przez 10 wieków wyspa przeżywała historię pełną ucisku, gwałtów, okrucieństwa, waśni klanowych, zemsty rodowej i stale zmieniających się sojuszy z tym czy innym napastnikiem przeciwko pozostałym. Był to brzemienny w skutkach mechanizm, bowiem tragedie, zbrodnie i intrygi stanowiły przez długi czas jedyny środek pozwalający przetrwać Korsykanom.

Brak jasnej polityki ze strony państwa, nieporadność i niezręczność władz paryskich, jak również godne potępienia obyczaje panujące na wyspie doprowadziły do tego, że znów pojawiły się tu dawne nieszczęścia. Korsyka jakby poddawała się przekleństwu rzuconemu przez jej bohatera narodowego Pascala Paoli:

— Nigdy nie będziesz szczęśliwą.

„Kontynentalny" błąd polega na tym, że nie zna się historii *tej wyspy. Korsyka przed przyłączeniem do Francji przeżywała długie i burzliwe dzieje. Jest to jedyna wyspa, która przez zaledwie 15 lat była niepodległa, miała własną flotę wojenną i własną walutę. To właśnie te korzenie historyczne, lingwistyczne, nacjonalistyczne są dziś motywacją działania Frontu Wyzwolenia Narodowego Korsyki i Unita Naziunalista. Przyjrzyjmy się jednak bliżej co w polityce i obyczajach ukształtowało Korsykę i co dzisiaj* sprawia, że wyspa ta zmienia się. Na początek weźmy coś tak ważnego jak klany.

KLANY

Biorąc pod uwagę głębokie wrośnięcie tego zjawiska w społeczność korsykańską można by sądzić, że od epoki żelaza klany zawsze istniały na Korsyce. W czasach dominacji genueńskiej dobrowolne porozumienia, jakie wiązały ludzi tego samego klanu były czymś, co dawało gwarancje życia, zatrudnienia i protekcji ze strony lokalnych przywódców. Ta solidarność bardzo szybko przekształciła się w trwały związek i na Korsyce, która jest ojczyzną różnego rodzaju „przysług", nie można o pewnych sprawach zapominać.

Klan wyjaśnia także, dlaczego na Korsyce mamy tak wielką liczbę rencistów-inwalidów! W południowej części wyspy mamy ich 10 razy więcej niż we Francji metropolitalnej. W systemie znanym z wszelkiego rodzaju oszustw mamy tu opiekę socjalną, która jest najbardziej rozbudowana w całej metropolii. Rolnicy otrzymują odszkodowania za nigdy nie istniejące krowy, a mieszkańcy wyspy dostają często pensje za zupełnie teoretyczne prace wykonane na użytek gminy. W Ajaccio na merostwie zatrudnionych jest 1200 osób chociaż miasto ma tylko 55 tys. mieszkańców. Polityk, który może liczyć na pomoc i poparcie ze strony tego, kogo otacza protekcją, jest w stanie odgrywać istotną rolę. W dawnej Korsyce klany stawiały na Aragończyków przeciwko Genueńczykom i na Genueńczyków przeciwko Pizańczykom. Przywódcy klanu na północy wyspy związani byli zawsze z lewicą. Były to rodziny Pietri, Campinchi i Giacobbi. Na północy natomiast rodzina Rocca Serra stawiała zawsze na prawicę. Nie można zrozumieć subtelnych postaw tego najbardziej na świecie upolitycznionego ludu, jeśli nie uwzględni się tej elementarnej prawdy.

Każdy klan ma swego szefa, każdy szef ma swoich ludzi ulokowanych na właściwym miejscu, dzięki którym może kontrolować źródła finansów i przebieg pieniędzy, co pozwala na rozdzielanie prebend. Przez długi czas państwo samo wypłacało pewne zasiłki, aby tylko mieć spokój. Niektórzy próbują teraz ograniczyć to, tym bardziej, że 3 czynniki wpłynęły na osłabienie pozycji klanów.

— Radni i deputowani nie mają już takiej władzy, jak za czasów Trzeciej i Czwartej Republiki.

— Kryzys gospodarczy nie pozwala na oferowanie atrakcyjnych miejsc pracy.

— Młodzi gwałtownie protestują przeciwko praktyce klanów.

OBYCZAJE

W rodzinach korsykańskich od dawien dawna z uporem utrzymuje się, że nie ma nic bardziej zaszczytnego niż wolne zawody, albo też kariera urzędnicza. To prawda, że Korsyka dała Francji całą plejadę wybitnych administratorów i urzędników państwowych. Zawody techniczne nie cieszą się sympatią. Uczeń, który chce poświęcić się takiej dyscyplinie wywołuje rozpacz własnej rodziny.

— Tu, u nas, ten kto założyłby firmę elektroniczną, naraziłby się na opinię, że zaprzepaścił niewątpliwą karierę wybitnego urzędnika.

Mamy też turystów, przybyszy z kontynentu, zwanych „Pinzutu". Starzy Korsykanie, którzy traktują zasadę gościnności po staroświecku, z oburzeniem patrzą na Niemców w szortach, na mieszkańców Paryża w obcisłych koszulkach trykotowych. Najgorzej przyjmuje się tych, których nazywa się tutaj „zjadaczami pomidorów", bo ludzie ci niemal niczego nie kupują. Dodajcie do tego praktyki pewnych turystów, którzy ze strachu przed bombami przylepiają korsykańskie emblematy na szybach swoich samochodów. Na skrzynkach pocztowych przybyszy z kontynentu, którzy osiedlili się na Korsyce widać nieraz nazwiska w rodzaju „Dupont-Graziani". Ludzie ci są przekonani, że w ten sposób zdołają uniknąć aktów wandalizmu.

Reasumując, Korsyka nie jest już dzisiaj zamieszkała przez samych Korsykanów. Mamy tu „czarne stopy", czyli dawnych kolonów przybyłych z Algierii, których sytuacja materialna jest bardzo dobra, co wywołuje zawiść rdzennych mieszkańców. Mamy także Arabów w dzielnicy Kasba w Bastii, mieszkających w niesłychanym zagęszczeniu. Rdzenni mieszkańcy oskarżają Francję o prowadzenie takiej polityki, zmierzającej do zatarcia odrębności wyspy. Polityka taka zmusza zresztą młodzież korsykańską do wyjazdu na kontynent w poszukiwaniu pracy.

MŁODZIEŻ

Swego czasu młodzi Korsykanie mogli czuć się zarówno Korsykanami, jak też Francuzami. Korsyka pozostawała korsykańską w obrębie Francji i imperium. Dziś boi się jednak, że choć pozostanie francuską, przestanie być korsykańską. Tutejsi ludzie nabierają przekonania, że poddaje ich się procesowi „francyzacji" wbrew ich własnej woli. Wprawdzie jest to bardzo skomplikowane, a jednak prawdziwe! Pascal Arrighi z Frontu Narodowego, zwolennik „francuskiej Korsyki", tak jak kiedyś był zwolennikiem „Algierii francuskiej" mówi:

— Najpierw Korsyka, ale zawsze Francja.

Ci, którzy nie mają 18 lat, nie głosują wprawdzie, ale głośno dają znać o sobie, a słowna demagogia, która ich porywa, sprawia, że odrzucają zarówno klany, jak też Francję. „Represja kolonialna", „ucisk kulturalny". Jest to magia słów, oratorski zawrót głowy, przesada posunięta do skrajności. Mimo to młodzież jest tym urzeczona i dzisiaj nie czuje się związana ani z jedną, ani z drugą stroną. Te dziewczyny, które mówią o separatyzmie, czyż mają wiele wspólnego ze starymi kobietami, kultywującymi mit niegdysiejszej Korsyki?

— Na Korsyce nie ma właściwie problemu, ale są za to dramaty — mówi pewien zniechęcony urzędnik.

Na nabrzeżu starego portu w Bastii, Jean Paul i Michel wygrażają pięściami. Są studentami prawa i medycyny na uniwersytecie w Marsylii, a latem, kiedy przyjeżdżają na rodzinną wyspę lubią pozować przed włoskimi turystami i w ten sposób poszukiwać „autentyzmu".

— To tylko moda — stwierdza pewien korsykański przedsiębiorca, ale zaraz potem dodaje: — Latem studenci i intelektualiści nie mający stałego zajęcia przybywają tu na wyspę i jakby przypadkiem w tym samym czasie zaczynają się działania ekstremistów.

EKSTREMIŚCI

Separatyści z Korsykańskiego Ruchu na rzecz Samookreślenia nie mają żadnych szans. Zbierają zaledwie 5 procent głosów i mają tylko 7 tys. zwolenników. Kiedy załamał się ruch Unii Ludu Korsykańskiego, tracąc połowę głosów, wyglądało na to, że zakończył się mit o integracji Korsykanów z Francuzami. Zwolennicy ekstremistycznych rozwiązań odnieśli wówczas zwycięstwo, ale zaraz potem wpadli w pułapkę zastawioną przez lewicowy rząd. Ogromna większość Korsykanów nie chce bowiem zerwać z Francją i z kontynentem. Niektórzy specjaliści są nawet zdania, że ostatnie wybory pozwalają żywić pewne nadzieje.

Francois Giacobbi:

— Ja zawsze powtarzam to samo. Stwierdzam, że Korsyka jest wyspą ogarniętą gwałtem. Trzeba wobec tego zająć się tą wyspiarskością i tym gwałtem. Dzięki takiemu prostemu rozumowaniu zyskałem 5 tys. głosów.

— Analiza głosowania — mówi pewien wysoki urzędnik — wskazuje, że nacjonaliści w rzeczywistości w ciągu dwóch lat stracili 4 proc. Rzecz oczywista, nastąpiła ich radykalizacja, a trzech ich przedstawicieli weszło do Zgromadzenia Korsykańskiego. Jednakże słaba pozycja Unii Ludu Korsykańskiego zwiastuje upadek idei autonomizmu. Dwaj inni zwycięzcy Pascal Arrighi i Francois Giacobbi prowadzili kampanię przeciwko separatyzmowi. Ich powodzenie jest konsekwencją ruchu walki przeciwko separatyzmowi. Przed trzema laty było to jeszcze niemożliwe. Wkraczając do Zgromadzenia Korsykańskiego, zwolennicy niepodległości zmuszeni zostali do przestrzegania reguł gry. Będą postępować podobnie jak inni politycy, a więc utworzą własny klan. Wtedy też stopniowo zrezygnują z walki zbrojnej. Nie twierdzę, że nie będzie już więcej zamachów. Jednakże jeśli władza zachowa twardą postawę, jeśli nie będzie tolerować żadnego zamachu zagrażającego bezpieczeństwu i integralności państwa, to w ciągu kilku lat możemy zdecydowanie poprawić sytuację. Separatyści mają poparcie młodych wyborców od 18 do 22 roku życia. Młodość jednak upływa szybko.

Czy jednak separatyści rzeczywiście zrezygnują z metod przemocy. Być może sądzą, że ostatnie wybory dały im potwierdzenie że ich akcja znajduje uznanie w szerokich kręgach społeczeństwa. Jakież to wspaniałe perspektywy dla tajnych działań, jakież to źródło informacji!

SEPARATYSTYCZNA STRATEGIA

Aby rozwinąć „walkę o wyzwolenie narodowe" trzeba mnożyć fronty, a więc front socjalny, kulturalny, polityczny, a także front tajnych działań. Mamy więc różnego rodzaju stowarzyszenia nacjonalistyczne zjednoczone w Syndykacie Robotników Korsykańskich, o którego oficjalne uznanie separatyści będą toczyć batalię w zgromadzeniu. A oto chwytliwe hasła ich działań: korsykanizacja stanowisk pracy, uznanie kultury i języka korsykańskiego. Czy ktoś może być przeciwko temu? Ocenia się, że nacjonaliści kontrolują 60 proc. sektora kulturalnego na wyspie. Nie jest to zbyt trudne, a równocześnie może dawać spore zyski.

Separatyści mają także swoich ludzi w regionalnej telewizji i lokalnych rozgłośniach radiowych. Francois Giacobbi jest oburzony z tego powodu:

— W ten sposób przegrywamy wojnę psychologiczną.

Separatyści wykorzystują również różnego rodzaju święta młodzieżowe dzięki przychylnym zespołom artystycznym. Kiedy miasto Cargese odmówiło zgody na występy takiej grupy separatystów, zwolennicy oderwania od Francji stworzyli własną organizację kulturalną.

FRONT WYZWOLENIA NARODOWEGO KORSYKI

Walka toczy się nie tylko na płaszczyźnie kulturalnej. W jednej z kawiarni w Ajaccio policjanci znaleźli w kwietniu 1984 r. broń, materiały wybuchowe i dokumenty wojskowej organizacji Frontu Wyzwolenia Narodowego Korsyki. Cała wyspa podzielona jest na „sektory" i „grupy". Sektor to zazwyczaj górska dolina.

Każda grupa wytypowuje obiekty, które mogą być celem zamachu. Są to więc „źle widziani" przybysze z kontynentu albo ci, którzy nie chcą zapłacić rewolucyjnego podatku. Szef sektora wydaje decyzję, dostarcza materiał wybuchowy i ustala datę akcji. Na samym szczycie najważniejsze decyzje podejmowane są przez coś w rodzaju politycznego komitetu centralnego. Może to dotyczyć zarówno przerwy w zamachach bombowych, jak też intensyfikacji tych zamachów. Czynniki polityczne mają więc przewagę we Froncie Wyzwolenia Narodowego Korsyki i zdaniem specjalistów górują nad czynnikami wojskowymi.

W ciągu dwu lat prefekt policji Broussard zdołał zadać poważne ciosy separatystom. Liczba zamachów wyraźnie spadła. Czterdziestu terrorystów znalazło się w więzieniu i odkryto magazyn broni. Zabójcy fryzjera, który został zlikwidowany w ubiegłym roku „dla celów pokazowych", bowiem nie chciał zapłacić podatku, zostali niedawno aresztowani. Działania policji doprowadziły do rozbicia Korsykańskich Brygad Rewolucyjnych, które stanowiły „wojskową ramię" Frontu Wyzwolenia Narodowego Korsyki.

Dwie sprawy nie zostały jeszcze wyjaśnione. Przede wszystkim zabójstwo sekretarza generalnego Górnej Korsyki Pierre Jeana Massimi, do czego wprawdzie przyznał się Front Wyzwolenia Narodowego Korsyki, ale motywy nie są jasne.

Po drugie, śmierć Guy Orsoniego, który prawdopodobnie został zabity przez pomyłkę, jego brat Alain jest bowiem znanym separatystą. Front Wyzwolenia Narodowego Korsyki, wykorzystując potknięcia rządu, niezdolnego do zaprezentowania jasnej polityki, przedstawia tę sprawę kryminalną jako zbrodnię polityczną „na polecenie rządu".

W czerwcu komando Frontu Wyzwolenia Narodowego Korsyki przedostało się do więzienia w Ajaccio i zlikwidowało tam dwu więźniów podejrzanych o zabójstwo Guy Orsoniego. Akcja ta została przeprowadzona przez „wojskowych", którzy nie chcieli uznać racji „polityków". Jej uczestnicy zostali otoczeni i zmuszeni do poddania. Front Wyzwolenia Narodowego Korsyki stracił tu swą najlepszą ekipę szturmową. W ten sposób okazało się, że rację mieli „politycy", którzy opowiadali się za „działaniem oficjalnym".

GOSPODARKA

Zawsze wiadomo było, że Korsyka jest ubogą wyspą, ale 15 tys. osadników z Algierii, którzy przybyli tu w 1962 r. udowodniło, że ubóstwo to nie jest całkowite. To prawda, że Francuzi z Algierii byli ludźmi kompetentnymi i przedsiębiorczymi. To prawda również, że korzystali z pomocy państwa, kiedy zakładali swe plantacje, i że pomocy takiej nie mogli doczekać się chłopi korsykańscy. Ci Korsykanie uważali więc, że pomoc dla byłych kolonistów jest czymś niesprawiedliwym.

— Jeśli jesteś przybyszem z kontynentu, banki udzielają ci pożyczki, ale separatyści podrzucają ci bombę. Jeśli natomiast jesteś Korsykaninem, to nie grożą ci bomby, ale nie masz też pożyczek.

Na murach pojawiają się napisy: „Francuzi wynoście się do domu". W 1984 r. na wyspie było 12 tys bezrobotnych, a bezrobocie objęło nawet Arabów wykonujących najcięższe prace. Deputowany Jean Paul de Rocca-Serra mówi:

— Pierwszeństwo dla gospodarki. Zamiast zajmować się kryzysem separatyści mącą w głowach swymi pieśniami korsykańskimi i ludowymi tańcami. Gdybyśmy dali im swobodną rękę, to załatwiliby nas wszystkich.

Żadna sfera gospodarki nie uniknęła kryzysu. Równiny we wschodniej części wyspy, które są najważniejszym regionem rolniczym i gdzie uprawia się tylko winną latorośl, zostały objęte decyzjami z Brukseli, które muszą być stosowane na całym obszarze Wspólnego Rynku. Tym bardziej, że wino korsykańskie jest raczej miernego gatunku. Nastąpiło więc załamanie cen. Właściciele winnic opuszczają Korsykę, wśród nich także dawni kolonowie z Algierii. Mimo pewnego uspokojenia politycznego zmuszają ich do tego cztery powody: zamachy bombowe, kłopoty z winem, konieczność odnowienia winnic założonych w latach sześćdziesiątych, ucieczka młodzieży.

Roger, który mieszka w okolicach Ghizonaccia mówi:

— Nie ma tu przyszłości dla moich dzieci.

André, który jest właścicielem pięknej willi, pokazuje album wypełniony zdjęciami piwnic i składów wina zniszczonych w wyniku zamachów bombowych.

— Wiecie chyba dobrze, że lato bywa u nas bardzo gorące.

Działacze związku zawodowego rolników stwierdzają. — Dawni kolonowie mogą sobie odejść. Nawet wyjeżdżając robią dobre interesy, bo sprzedają swe ziemie po wysokich cenach.

Budownictwo przeżywa stagnację, co jest rezultatem zamachów bombowych i pogróżek. Przed rokiem 1980 budowano co roku na wyspie 4 tys. domów, a dziś tylko 400. Liczba turystów przebywających w miesiącach letnich spadła o 20 procent. Takie towarzystwa jak zachodnioniemiecki Neckermann nie organizują już podróży na Korsykę. Jedyną pociechą jest to, że zwiększa się liczba turystów włoskich.

Przemysł przeżywa także kłopoty. Na 17.500 przedsiębiorstw zaledwie 700 ma więcej niż 10 pracowników. Tylko 3 firmy zatrudniają ponad 50 ludzi. Są to Job-Bastos (tytoń), Femenia (maszyny do wytłaczania winogron) i AETA (elektronika). Ta ostatnia firma eksportuje komponenty elektroniczne m. in. „czarne skrzynki" używane w samolotach pasażerskich. Zarobki na Korsyce są najniższe w całej Francji, co powoduje, że zjawisko „pracy na lewo" jest szczególnie widoczne. Korsyka to także rejon, gdzie ceny są wyższe niż w innych francuskich prowincjach. A przecież państwo wypłaca ponad 80 mln franków towarzystwom transportowym po to, aby obniżyć ceny przewożonych artykułów. Ceny są jednak wyższe o 10 do 30 proc. z chwilą, gdy z kontynentalnej Francji znajdą się na Korsyce.

BANDYTYZM

Nie ulega wątpliwości, że kryzys nie ogarnął tej dziedziny. Od początku roku zanotowano tu rekord napadów na banki.

— Swego czasu — ironizuje stary policjant — przestępcy przeprowadzali swe akcje na kontynencie i następnie chronili się na wyspie. Teraz jest odwrotnie, bo łotrzykowie chcą „pracować" w rodzinnym kraju, a odpoczywają w Paryżu.

Policjanci zastanawiają się, czy wzrost liczby napadów na banki nie łączy się ze zjawiskiem szantażu politycznego. Istnieją bowiem ścisłe związki między światem przestępczym a Narodowym Frontem Wyzwolenia Narodowego Korsyki. Przed miesiącem policjanci znaleźli w kryjówce Frontu Bastii 60 pocisków moździerzowych, rakiety przeciwczołgowe, radiostacje wojskowe, drukarnię, a także 3 skradzione samochody z których jeden służył do przeprowadzania napadu na bank. W Ajaccio wysadzono w powietrze pewną restaurację „z przyczyn politycznych". Zaraz po zamachu do restauratora zgłosili się separatyści mówiąc:

— Biedaku, rzeczywiście nie miałeś szczęścia. Jeśli jednak chcesz sprzedać swój lokal, chętnie go kupimy.

Jeśli nie przyjmie tej oferty, to wówczas po raz drugi wyleci w powietrze.

Ten zawrót głowy ogarnia także amatorów. Na północy wyspy pewien zamożny rzemieślnik z kontynentu otrzymał list z pogróżkami, iż jeśli nie zapłaci „rewolucyjnego podatku", ryzykuje śmierć swoich dzieci. Policja zdołała pochwycić rzekomego separatystę, który uciekał się do szantażu. Był to po prostu sąsiad potrzebujący pieniędzy. Pewien aptekarz, który trzykrotnie padł ofiarą zamachów bombowych, zorientował się, że zamachy te organizuje jego wspólnik, który chce go wykończyć.

Na wyspie zniesiono głosowanie korespondencyjne, oczyszczono listy wyborców, usunięto częściowo nazwiska tych wyborców, którzy dawno zakończyli żywot. Osłabiony został także system klienteli. Paryż dostrzegł nareszcie jak wielkim błędem było to, iż właśnie na Korsyce chciał przeprowadzać pierwsze próby z regionalizacją.

(„LE POINT")

LEONID PANASENKO

Prywatne życie Atlasów

— Napij się wina, przyjacielu. — Jules odłożył karton i węgiel, wytarł palce w worek, którym była przykryta glina. — Ta stara purchawka, madme Bonnet nie pali w pracowni od poniedziałku, a ty ciągle jesteś rozebrany.

Marcel Delabare z ochotą opuścił ręce i zszedł z drewnianego postumentu, na którym już trzeci dzień z rzędu wyobrażał Atlasa. Wino było chłodne i mocne. Dobre wino!

Rzeźbiarz rozłamał silnymi palcami jabłko i podał Delabare'owi połówkę. Brązowe ziarenka posypały się na podłogę.

— Posłuchaj, Delabare. — Rzeźbiarz znowu nalał do szklanki. — Pod balkonem obok ciebie będzie stała przyjaciółka, Kariatyda. Chyba widziałeś w mieście... Właśnie tak. Zaraz tu przyjdzie pewna znakomita dama. Markiza czy hrabina. Oczywiście, mam w nosie jej tytuły, ale twarz — boska! A szyjka.. Jeśli byś zobaczył tę szyjkę, Delabare! Pani Natalie! Nie, nie, pani Szyjka! Wyobrażasz sobie — Jules zaśmiał się — sama zaproponowała, że będzie pozować, taki ma kaprys. Nie liczę na arcydzieło, ale kobieta, nawet kamienna, powinna być kobietą. Nie cierpię atletycznych Kariatyd...

Rzeźbiarz popatrzył na swego modela tak, jakby zgubił tok rozmowy.

— Cóż to ja właściwie chciałem ci powiedzieć? Aha, wiem! Ty, przyjacielu, przy hrabinie zachowuj się delikatnie. Raczej milcz. Ona lubi hołdy. Rozumiesz?

— Szkoda słów, waćpanie — zgodził się Delabare.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Jules pośpiesznie odstawił szklankę i ruszył na spotkanie gościa.

Delabare zobaczył Natalie nie od razu. Najpierw z półmroku korytarza zajaśniały białe, aksamitne pantofelki, potem popłynęła długa atłasowa suknia. Była tak wąska w talii, że Delabare'owi odebrało oddech. Znad atłasu, jak gdyby z pominięciem ramion, z dwóch maleńkich dolin wyłaniała się biała łodyga szyi. Wyłaniała się — i wznosiła...

— Co to za dzikus, monsieur Jules? — Chłodno i z obrzydzeniem zapytała dama. — Przynosi panu glinę? Ale dlaczego jest nagi?

Delabare wzdrygnął się jak od uderzenia i poczerwieniał z ogromnego zmieszania. Jego olbrzymie ciało, w którym śpiewał i grał każdy muskuł zaczęło się zmniejszać, kulić i jeżyć. Miał ochotę zapaść się pod ziemię schować w mysią norkę.

— Bój Boże, Marcelu — skonfudował się rzeźbiarz. Jak tak można?! Natychmiast się ubierz!

Delabare powlókł się w kąt pracowni, gdzie leżały kamienne bryły i beczki, zawadził o taboret i przewrócił go z łoskotem.

— Tysiąckrotnie Waszą Miłość przepraszam — Jules krążył wokół znakomitej damy, nie wiedząc gdzie ją posadzić. — Moja uboga pracownia i... pani! Nieszczęsnego Delabare'a oślepiła niezrównana piękność pani twarzy. A zresztą proszę popatrzeć: jaki bezbarwny i niepozorny przy pani jest ten piękny marmur.

— Jest pan pochlebcą — przerwała jego wynurzenia hrabina. — I, według wszelkich oznak, ma pan w tej dziedzinie większe sukcesy, niż w swoim zawodzie. Czy nie widzi pan, że już pozuję?

— Jeden, jedyny momencik, Pani — Jules chwycił karton i węgiel. — Już pracuję. Uwielbiam, uwielbiam pani rysy, boska Natalie.

Hrabina stała półobrócona w stronę okna. Delabare'owi wydało się, że jest przedłużeniem promieni światła przebijających się przez zakurzone szyby, a nawet czymś o wiele czystszym; czasami, kiedy czeladnicy zbytnio się postarają, tak właśnie niebieskie płomienie wznoszą się do zakopconej powały kuchni i zaraz rozwiewają.

Ubierał się powoli i w milczeniu, starając się nawet przypadkowym szelestem nie spłoszyć nieziemskiego zjawiska. Jednocześnie spalała go i niepojęta radość, i wstyd, że podgląda coś, czego podglądać nie powinien.

— Tak, sztuka wybiera godnych siebie — znacząco powiedział Jules, kończąc kolejny szkic. — Zwykłe piękno jest niczym. Pani dostojeństwo podkreśla piękno, napełnia je ukrytym sensem...

„Jak on mówi — pozazdrościł Delabare i zdziwił się jak dziecko: — Czyżby Ona rzeczywiście istniała, spała tak jak ja i Jules, czyżby Ona mogła, na przykład, płakać albo kogoś obejmować? Czyżby można ją było kochać?

Zawstydził się swoich myśli i podszedł bliżej ku światłu. Hrabina stała nieruchomo, jakby postanowiła zamienić się w posąg bez pomocy rzeźbiarza. W stronę Delabre'a nawet nie spojrzała.

* * *

Tej nocy Delabare spał źle. We śnie okrążały go jakieś cienie, wyrzekał i mówił, że trzeba więcej machać młotem, a nie łazić po pracowniach artystów, potem zaś, już nad ranem, kiedy wypił pół kubka wody i znowu zasnął, drzwi kuźni cichutko skrzypnęły i u Delabare'a zjawił się świetlisty anioł.

„To pani? — wyszeptał Delabare. — Ostrożnie, tu można się pobrudzić. Tutaj tak brudno i tak wiele dymu. Jak się pani zdecydowała?"

Madame Natalie uśmiechnęła się zagadkowo i skinęła na niego ręką.

— „Choć do mnie, dzikusie. Nie bój się chodź! Dowiedziałam się, że w niebie zapisano nam wspólne życie. Całe życie. No, chodź!"

Stąpnął w jej stronę, ale z paleniska nagle wybuchnął pomień przegradzający mu drogę.

„Luis, Raimond — zawołał do przyjaciół — zgaście ogień. Szybciej. Wołają mnie".

A w odpowiedzi — śmiech. Chichotały ściany, czarna powała, śmiał się i pląsał ogień.

„Pospiesz się! — tupnęła nóżką Natalie. — Jestem twoim losem".

„To twoja śmierć — sprzeciwił się płomień. — I wieczna męka".

Delabare odsunął go i zdecydowanym krokiem poszedł ku ukochanej.

Płomień skoczył mu na pierś, zerwał ubranie z Natalie...

Delabare krzyknął i obudził się.

* * *

Od rana mżył kapuśniaczek. W pracowni było jeszcze ciemniej, a na południowej ścianie pojawiła się plama wilgoci. Jules przy pomocy Delabare'a napalił w piecu.

— Zauważyłeś wczoraj, jakie ona ma oczy? — spytał rzeźbiarz, sadowiąc się na koślawym taborecie. — Ta grand-osoba? Nie zauważyłeś? Ma czarne oczy, przyjacielu. Niedobre! Robota mi z rąk leci. — Spojrzał na Delabare'a i uśmiechnął się. — Dlaczego jesteś taki ponury? Może ci się szyjka przyśniła, co? Nie rumień się, nie rumień... Moja Luiza...

Rozległ się dzwonek. Jules pobiegł otworzyć drzwi.

— Monsieur Jules — rzeczowo oznajmiła hrabina poprawiając koronę fryzury. — Skracam dzisiejszy seans. Oczekują gości, a poza tym znudziło mi się pozowanie. Zupełnie bezmyślne zajęcie. Myślałam, że to będzie bardziej interesujące.

— Ale ma sens — sprzeciwił się chmurnie Jules. — Czy nie cieszy panią myśl, że jej posąg ozdobi ratusz?

— Ach — powiedziała madame Natalie — kiedyż to będzie. I kto będzie wiedział, że Kariatyda — to ja?

„Ja! Ja będę wiedział! — niemal nie wykrzyknął Delabare. — Zamiast do kościoła będę teraz chodzić do ratusza, pani!"

Hrabina spostrzegła jego gorące spojrzenie i chłodno wskazała na Delabare'a.

— Pana pomocnik, Jules, umiera z nudów. W moim domu służący zawsze są zajęci i nie wlepiają oczu w gości. Tym bardziej w damy.

Delabare zacisnął szczęki z obrazy.

— Pani się raczy mylić — powiedział uszczypliwie Jules. — Pan Delabare jest co prawda biedny, ale nie jest ani czeladnikiem, ani służącym. To wolny człowiek. I tak samo jak pani pozuje do figur ratusza.

— Pan żartuje?! — krzyknęła hrabina. Na jej policzkach wykwitł rumieniec gniewu. — Żeby to chłopisko — obok mnie! To się może przyśnić w koszmarnym śnie. — Zmieszała się na moment. — Ale na placu, przy mnie? Za nic! Jest pan błaznem, monsieur Jules! Mam tego dość. Żegnam!

Delabare zamarł.

„Powiedziała — sen! To znaczy, że ona też!.. Przecież tylko kochającym sercom niebo zsyła jednakowe sny".

Trzasnęły drzwi.

— Skończyła się twoja miłość, przyjacielu — Jules wzruszył ramionami.

* * *

Mokre płótno z szelestem opadło na ziemię.

— Trzeba odejść dalej — poradził rzeźbiarz. Mer miasta roześmiał się.

— To nic, monsieur Jules. Z perspektywy będziemy oglądać później. Nie na darmo chyba powiadają: artyści pokazują swoje prace z daleka, żeby ukryć wady i błędy. No, no, proszę się nie obrażać. Zamówienie pan wykonał. Naprawdę, jak żywi.

— To znaczy, że uchwyciłem ich charakter — zagadkowo powiedział rzeźbiarz i zwrócił się do mera. — Czy pańskie słowa oznaczają, że mogę otrzymać wynagrodzenie?

— Z pewnością, mój drogi — odpowiedział mer zachwycając się Kariatydą. — Nawet z dodatkiem. Za mistrzostwo, które ożywiło ten kamień.

* * *

Nad dachówkami toczył się księżyc w pełni. Zegar umieszczony po lewej stronie balkonu, który podtrzymują Atlas i Kariatyda, oznajmił północ.

Niski, pełny dźwięk rozbudził Atlasa. Cichy rytm życia wlał się w kamienne ciało i biały marmur odrobinę porożowiał. W tym samym momencie ujrzał Kariatydę i drgnął — od podstawy, na której stał, odłupał się kawałek sztukatury i potoczył w dół. Nie było wątpliwości, że mistrzostwo monsieur Julesa ukryło życie także w posągu Natalie. Nie ulegało wątpliwości, że jej kamienny sen również się skończył, ale — dumna i wyniosła — nie dawała tego po sobie poznać. Srebrzyste światło księżyca niezdecydowanie dotknęło jej obnażonej piersi (mój Boże, Jules, dlaczego odsłoniłeś ją przed całym światem?), spływało po fałdach marmurowego odzienia. Ostry sutek zakłuł w półślepe czy Atlasa. Pośpiesznie odwrócił wzrok i po raz pierwszy odczuł chłód nocy, skamieniałość swego ciała, zobaczył niezgrabne bryły muskułów. Jego myśli były ogromnie powolne. Po przebudzeniu minęło wiele tygodni, zanim poczuł i uświadomił sobie światło i ciemność, własną nieruchomość i hałaśliwe życie miasta, które płynęło gdzieś tam, w dole — niedostępne i męczące znane. Ale to, że Natalie tak jak dawniej nie chce go zauważyć, omija wzrokiem nawet cień Atlasa — zrozumiał natychmiast, kiedy zobaczył ją obok, po drugiej stronie balkonu.

Często teraz wspominał swój sen. Rzeczywiście, przeznaczone im było być razem. Razem, ale niezupełnie. W tamtym, prawdziwym życiu, nie powiedział jej ani słowa — tak wyszło, mówił zawsze Jules — a teraz usta są nieme. Ale Atlasa to nie peszyło. Najważniejsze, że widzi Natalie, a ona wcześniej czy później przestanie udawać kamień, oceni jego wierność i cierpliwość. Nieważne kiedy — za dziesięć lat, czy za tysiąc... Ich dziwne życie nie ma końca i nie ma końca jego cierpliwość.

Tak myślał Atlas. Ale czasami, w mroźne noce, tracił swoje opanowanie. Pragnął przejść, przeskoczyć przestrzeń, która ich dzieliła, przytulić Natalie, osłonić ją od chłodu swoim wielkim ciałem, ogrzać. Jeszcze bardziej tęsknił w czasie zamieci. Gęstniał śnieg, oślepiał oczy, jego biały całun ukrywał Natalie, a on myślał o czymś nieprawdopodobnym: a jeśli ukradną Natalie, albo sama — wyniosła, nieprzystępna — odejdzie?

* * *

Minęło wiele lat.

Kariatyda była młoda i piękna jak dawniej. Pewnego razu, po raz pierwszy w ciągu tych lat, spotkał jej spojrzenie.

Atlas, jak wszyscy niemi, znał doskonale język spojrzeń, po ledwie zauważalnym ruchu warg poznawał wypowiedziane słowo. Zrozumiał wyrok opatrzności i ogarnęła go nieskończona radość — stało się! — Natalie wreszcie odtajała. To nic, że za chwilę Kariatyda znów stała się daleka i nieprzystępna jak gwiazda, a jej hardy wzrok skierował się w puste niebo. Stało się!

Ten dzień, bezmiernie znojny, ciągnął się jak rok, ponieważ radości nie można wymierzyć w czasie, ona żyje własnym życiem. Pod wieczór wiatr przygnał azjatycko-srogą hordę chmur, suche błyskawice kilkakrotnie uderzały w miasto, nagle łunął deszcz. Nie ulewa, a potoki wody, ciepły burzliwy wodospad.

Pewnie zmienił się kierunek wiatru. Balkon teraz ich nie chronił, woda lała się zewsząd, a Atlasowi nagle zdało się, że ten żywy, prężny potok łączy go z ukochaną, tysiącami nitek deszczu wiąże ich w jedną całość. Zapewne coś podobnego poczuła i Natalie. Błyskawica na moment oświetliła jej twarz. Natalie uśmiechała się.

Po tym zdarzeniu zaczęli się witać co rano.

Atlas cierpliwie uczył ukochaną rozmawiać spojrzeniami, ledwie uchwytnymi drgnieniami kamiennych ust. Opowiadał jej o swojej kuźni, o tym, jak Jules odnalazł go i namówił do pozowania... Opowiedział jej o swoim śnie i spróbował wyrazić, co poczuł, kiedy ją ujrzał w pracowni, o czym myślał przez te wszystkie lata. Opowiadał jej to wszystko lat chyba pięćdziesiąt. Natalie prawie zawsze milczała i Atlas zaczął się już niepokoić: a co, jeśli zestarzeje się marmur i on nie dowie się, czym żyła, jakie lubiła kwiaty i pieśni.

O miłości nie padło ani jedno słowo.

* * *

Minęło jeszcze sto lat, Atlas i Kariatyda stali się przyjaciółmi, ale Madame Natalie tak jak dawniej była dla Marcela Delabare zagadkowa i niedostępna. Niedostępna jego pojmowaniu.

O wszystkim zdecydował przypadek.

W pewien szary, marcowy poranek Atlas melancholijnie obserwował, jak po jego torsie powoli pełzają mrówki. Wiele z nich już rozpoznawał, a nawet nadawał im imiona. Właśnie teraz przeszła Młoda Para, a za nimi pokuśtykał Kulawy Kardynał... Kiedy Atlas zabawiał się obserwacjami, w dole, na placu dały się nagle słyszeć wzburzone głosy, zagrzmiał wystrzał i wzbiła się w niebo pieśń:

— Pójdziemy do naszych uwięzionych braci...

Drugi dzień kipiało miasto, nocą Atlas widział wiele ognisk na ulicach, słyszał niezrozumiałe słowa, a wśród nich najczęściej słowo „komuna". Co się działo?

Zatrzeszczały wystrzały. Ludzie na placu padli, niektórzy — widział to z góry — ukryli się za rogiem ratusza i zaczęli odpowiadać strzałami.

Natalie z naprężoną uwagą śledziła wydarzenia, a jemu wydało się, że ona wszystko rozumie, ale jeszcze nie zdecydowała, jak się do tego ustosunkować.

Ołowiana pszczoła zawsze znajdzie tego, kogo chce użądlić. Szalona kula wpiła się w kostkę nogi Atlasa. Bryznęły odłamki, posypały się na ulicę.

„Miły!" — krzyknęła Natalie oczami, twarzą, całym ciałem.

„Nie boli mnie — odpowiedział. — Wcale. Ale co tobie?"

Jej mleczno białą pierś nagle przekreśliło pęknięcie. Po lewej stronie, tam, gdzie u ludzi znajduje się serce.

„Mnie też nie boli — drgnęły leciutko jej wargi. — Przestraszyłam się o ciebie. Coś się tam zacisnęło i dlatego..."

Potem przeżyli jeszcze w miłości i zgodzie czterdzieści cztery lata i kilka dni.

* * *

Rano przyszli robotnicy, w dwie godziny postawili rusztowania, platformę do pracy, przygotowali narzędzia i poszli.

To jeszcze nic, ale z jakiegoś powodu ukryli figurę Natalie grubym płótnem. Atlasa ogarnął strach. Dlaczego? Co chcą z nią zrobić? Dlaczego narzucili na jej twarz tę brudną ścierkę?

Po południu na rusztowanie wspiął się konserwator z dwoma pomocnikami. Zdjęli płótno z Natalie i Atlas trochę się uspokoił.

— Spójrzcie no — zdumiał się konserwator. — Jak żywi! Autor nieznany, a dzieło genialne. Prawdziwa scenka rodzajowa — „Poskromienie złośnicy".

— Ma poważnego przyjaciela — zgodził się jeden z pomocników. — Oczu z niej nie spuszcza.

— Od czego zaczniemy, maestro? — rzeczowo zapytał drugi.

— Chyba od tej piękności — powiedział konserwator, podziwiając Kariatydę. — Lepiej się zachowała. Tylko jedno pęknięcie.

Wyjął z kieszeni maleńką, metalową linijkę i włożył w pęknięcie, żeby zmierzyć jego głębokość.

„Morderco! — bezgłośnie krzyknął Atlas. — Co robisz! Precz od niej!"

Jednym nadludzko potężnym ruchem oderwał od belki ręce i z łoskotem, rozpadając się na kawałki, rzucił się na tego, który obraził ukochaną.

Dwukrotnie bandażowano ranę na głowie, ale bandaże znowu nasiąkały krwią. Konserwator krzywiąc się z bólu, schylił się, z kupy odłamków wziął bryłę marmuru, która pięć minut temu była czołem pięknego Atlasa.

— Kto by pomyślał — powiedział zasępiony do pomocników — że ten diabeł ni stąd, ni zowąd, runie?

Janusz Szymański-Glanc

Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ

1 Nagle zastępstwo

Gdzie ci dżentelmeni?

Jego Magnificencja Rektor Politechniki Krakowskiej w otoczeniu senatu, profesury i młodzieży studenckiej wysłuchał był na uroczystości inauguracji roku akademickiego 1984/85 wykładu na temat „Jubileusz betonu". Miejmy nadzieję, że wykładowcą był szef katedry materiałów budowlanych w Instytucie Budownictwa, a nie pracownik katedry nauk politycznych. W tym drugim bowiem przypadku mielibyśmy do czynienia — najdelikatniej mówiąc — z nietaktem, biorąc pod uwagę czas i miejsce uroczystej inauguracji, a mianowicie mury szacownej uczelni w najstarszym mieście uniwersyteckim Polski i rok obchodów różnych „czterdziestoleć" najróżniejszych instytucji i organizacji...

Jednak nie o dżentelmenerię pracowników nauki chodzi mi w niniejszym elaboracie. Zastraszające jest zdziczenie obyczajów wśród mych kolegów żurnalistów. Oto spotykam przyjaciela. Chłop pod pięćdziesiątkę, siwy włos, wnuki.

— Straszną rzecz — powiada — przeżyłem. Różne już ideały mojej młodości skruszały jakby czy też przyśniedziały nieco. A w tych dniach przyszło mi pożegnać jeszcze jeden, taki mały, osobisty ideał. Jako kilkunastolatek oglądałem „Fanfana Tulipana". Czerwone i czarne" i inne filmy z Gerardem Philipem. Nosiłem marynarkę z szerokimi, spadzistymi ramionami, wąskie spodnie i fryzurę „na Fanfana". Gerard Philipe był moim ideałem mężczyzny... I co ja się dowiaduję z artykułu Kałużyńskiego w Polityce?

— Cóż to, przeszkadza ci, że był z pochodzenia rumuńskim Żydem?

— Skądże, nie jestem ani antysemitą, ani tym bardziej „antyromanistą". Kałużyński pisze, że mój ukochany Gerard Philipe lubił chłopców. Mój ideał męskości! Rozumiesz mój ból?

No tak. Zygmunt Kałużyński musiał się pojawić w tekście o upadku dżentelmenerii wśród dziennikarzy...

Nie okazał się też dżetelmenem francuski (czy belgijski?) żurnalista z tygodnika „Revelation" ukazującego się w Brukseli, pan Marc-Antoine (uwaga korekta!) Pisda. Oto redaktor Pisda, korzystając z zaproszenia Polskiego Towarzystwa Naturystów, uczestniczył w balu „Natura 84" w warszawskim klubie „Tip-Top". Narobił tam zdjęć i wszystko co widział i słyszał opisał w swym tygodniku. Słyszał różne pikantne anegdotki a widział i fotografował przeważnie gołe panienki tańczące z kompletnie odzianymi starszymi panami. Na łamach „Rzeczywistości" rzecz całą bezkompromisowo krytykuje Adam Domieniecki. Tyle że ostrze krytyki kieruje nie tam gdzie trzeba. Mianowicie w kierunku naszych golych ale wesołych naturystów. I że w klubie młodzieżowym to się odbywało! A co, w domu starców byłoby lepiej?

Prawda jest taka, że fajno było, każdy by tak lubił, może nawet kolega Domieniecki, potańczyć sobie ze zgrabnymi kobitkami na golasa. Tyle że jak my się tu nad Wisłą bawimy to jest nasza sprawa i wara od niej jakiemuś tam panu Pisda. Nie będzie Pisda pluł nam w twarz, czy w co tam się pluje naturyście!

W moim rodzinnym mieście w zaprzyjaźnionych gazetach, no po prostu wśród przyjaciół, też muszę — z ciężkim sercem, odnotować fatalny upadek obyczajów. Oto piłkarska drużyna dziennikarzy łódzkich z klubu „Kaczka" zamała mecz z... żeńską drużyną futbolową TKKF Teofilów. To jeszcze nie koniec! Oni ten mecz wygrali! Cztery do dwóch! I to jeszcze nie wszystko! Żurnaliści faulowali!

Pomyśleć tylko. Byli w tej drużynie tacy powszechnie znani z iście oksfordzkich manier panowie jak red. Szymański i red. Cierpikowski...

Panowie żurnaliści-futboliści. A może by tak skopać jakąś dziecięcą drużynę podwórkową? Dołożyć tak z sześć do zera i dzieciaków do gipsu...

Jeszcze inny kolega żurnalista był zaproszony na otwarcie restauracji. Podano różne tam takie zakąski i w — końcu rzecz się działa w knajpie —, również wódeczkę. Kolega wypił, zakąsił i obsmarował organizatorów, bo to wszystko było przed trzynastą...

Nic dziwnego że różni ludzie mający styczność z dziennikarzami zaczynają się ich bać i reagować nieco histerycznie. Oto na przykład opowiada mi kolega specjalizujący się w krytycznych artykułach o służbie zdrowia, że mu oferowano, i to kilkakrotnie, różne sumy zdecydowanie wyższe od dziennikarskich wierszówek aby... zaniechał pisania. Wyobraźcie sobie państwo, nie tylko forsy nie wziął, ale jeszcze i obsiał.

Dziś prawdziwych dżentelmenów już nie ma...

No, zdarzają się jeszcze dżentelmeni starej szkoły. Taki na przykład kabaret Zdecydowanie Starszych Panów i Równie Starszych Pań pt. „Bi-Ba-Bo". Pisała o nim moja redakcyjna koleżanka parę tygodni temu. Jako dobrze wychowana młoda osoba opisała życiorysy artystów-amatorów — seniorów, wymieniła ich odznaczenia itp itd. Tylko ani słowa o poziomie artystycznym ich produkcji! Taka delikatna...

Seniorzy natomiast delikatność tę docenili i przesłali konkretny dowód uznania dla talentu i subtelności mojej koleżanki...

Uprzedzam. Ja też już dawno przestałem być dżentelmenem. Oglądałem ostatnio — niestety — programy kabaretów „Bi-ba-bo" i „Eldorado". Nie będę taki dobrze wychowany, jak moja młodsza koleżanka. Napiszę, co o tym myślę. Chyba że...

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Najzabawniejsza partia świata

Wyjeżdżam, psia krew, dostałem ten cholerny paszport, ale nie cieszcie się za bardzo. Ja tu jeszcze wrócę — jak miał powiedzieć pewien sławny i niesławny zarazem generał, zwiewając przed Japończykami z Filipin.

(Nazwisko generała pozostawiam domyślności PT Czytelników; osoby młodsze bądź mniej wyedukowane odsyłam z kolei do stosownych lektur — roczniki „Odgłosów" byłyby tu jak ulał).

Rzecz jednak nie w tym, że wyjeżdżam, nie doczekawszy się odzewu ze strony „Veto", z którym — to tak nawiasem — chciałbym się zaprzyjaźnić, a przez które zostanę najprawdopodobniej zbesztany i to w jakimś mało honorowym, ustronnym kątku. Powiedziałbym iż sprawa ma się akurat odwrotnie: miałem zamiar na tych oto, łódzkich i zaprzyjaźnionych, a więc po prostu niniejszych łamach, opublikować artykuł o kulisach szachów, taki dla zwykłych ludzi, nie dla wtajemniczonych. Pewną zabawnostką jest bowiem, że wielcy szachiści — oczywiście historycznie na sprawę patrząc — to bywali obsypywani złotem, to umierali w nędzy, to mieli się jako tako, to znów biedowali, aż właściwie dopiero w drugiej połowie naszego stulecia zdobyli sobie całkiem uczciwy zawodowy status.

Tu już nie gra się o gruszkę czy pietruszkę — jak ja grałbym dajmy na to z red. Nałęcz-Jaweckim — a o parędziesiąt, paręset tysięcy, czy nawet parę milionów dolarów! W otwartych mistrzostwach RFN główną nagrodą był najnowszy model Mercedesa, a pewien prezydent (znów, jak na złość, Filipin!) obiecywał eks-mistrzowi świata Fischerowi równy milion zielonych jedynie za sam udział w turnieju! Nagrody były sobie, a „startowe" sobie — „Boby" mógł przegrać wszystkie partie i tak by swoją dolę dostał.

I jak państwo myślicie, co „Bobby" zrobił? Otóż nie przyjechał i dopiero po paru latach kręcenia okazało się, że genialny — bez przesady — Amerykanin miał już w tym czasie nieźle zaawansowaną chorobę psychiczną, coś w rodzaju manii depresyjno-prześladowczej jeżeli dobrze to sobie przetłumaczyłem z angielskiego.

Prawdopodobnie jeszcze nie zwariowałem, całkiem na pewno jestem mniej od Fischera zdolny, nie da się też niestety ukryć, że „Odgłosy" płacą marniej i w mniej stabilnej walucie. Splot tych okoliczności sprawił wszelako, że nie wyrobiłem się po prostu na czas, a tak naprawdę — to już mnie nie ma.

Mimo wszystko w formie rekompensaty — choć jest to rekompensata tylko dla szachistów, nie-szachista nic z dalszej części tego tekściku nie pojmie — proponuję odtworzyć sobie na szachownicy NAJZABAWNIEJSZĄ PARTIĘ ŚWIATA. Uśmiejecie się do łez, jeżeli tylko znacie ruchy, kto zaś ich nie zna, niechaj w tym miejscu zakończy lekturę.

2.

Partia ta została ułożona — czy, jak twierdził autor, wyśniona — przez znakomitego angielskiego kompozytora Samuela Loyda w roku 1906. Loyd sporządził jeszcze komentarz, będący parodią popisów pseudouczonych komentatorów, zapewne w owych czasach dość często publikujących swoje wypociny. Wymieniane w komentarzu nazwiska sławnych mistrzów są przemiennie to prawdziwe, to zmyślone, uwagi zaś miejscami mają sens, miejscami natomiast są przykładem szachowego pure nonsensu.

Uwaga, zaczynamy! (Dodam jedynie, że komentarze podaję w skrócie).

1. d4 d6 2. Hd2 (tak zagrał Gunsberg przeciwko Blackburnowi; dorzucam od siebie, że są to nazwiska znanych mistrzów, nie zagrałaby tak wszelako jedna noga stołowa przeciwko drugiej).

2. ...e5 3. a4 e4 4. Hf4 f5 5. h3 (na wypadek odwrotu własnego hetmana **(Ge7 6. Hh2)** mistrzowskie zamaskowanie hetmana; znów dodaję od siebie, że ruch jest idiotyczny).

6. ...Ge6 7. Wa3 (nieoczekiwany krok białych opracowany przez jednego z bostońskich mistrzów).

7. ...c5 8. Wg3 Ha5x 9. Sd2 Gh4 10. f3 Gb3 (czarne, nie rezygnując z przewagi pozycyjnej, atakują pionka c2; surrealizm — pionek c2 może przecież tego gońca bezkarnie zabić!).

11. d5 e3 12. e4 (czarne przegapiły teraz matę w pięciu posunięciach. Powinny grać 12. ...G:a4 13. f4 Ge2 14. Sg-f3 Ha1 15. Sb3 G:b3, albo 13. b3 G:b3 14. f4 Hc3. Tę świetną kombinację dostrzegłby może jeden mistrz spośród... tysiąca).

Czarne jednak zagrały **12. ...f4** i ze zdziwieniem spostrzegły... pata.

3.

Pat, wyjaśniam, oznacza wynik remisowy.

Czytelnicy — a zwłaszcza mniej lub bardziej zaprzyjaźnieni redaktorzy — po szczęśliwym odtworzeniu tej partii powinni teraz odgadnąć, gdzie Loyd kpił — choć nie zawsze to objaśniałem — gdzie zaś nie bardzo, a następnie policzyć, ile ruchów białych, a ile ruchów czarnych zawierało choć trochę sensu..

Jeżeli popełnią mniej niż 50 proc. błędów — możemy ewentualnie zagrać kiedyś w szachy. Jeżeli nie, to nie warto, nawet gdybym grał na ślepo, w wolną sobotę oraz w stanie wybitnie wskazującym.

Łączę pozdrowienia znad zaprzyjaźnionego morza, bądź — gdyby coś się przytrafiło — z zaświatów.

JERZY P.

3 Lewym okiem

Jest propozycja...

Na wakacje jeździliśmy do dziadka pod Pułtusk. Dziś jest to strefa weekendowa stolicy cały brzeg Narwi zagrodziły gęsto stojące dacze, ogromne pastwisko na zakolu rzeki pokryła woda zalewu, tworząc w tym miejscu rozległe jezioro. A tak niedawno — trochę ponad pół wieku temu — była tu głucha wieś, zdawało się że bardzo odległa od Waszawy: prawie pięćdziesiąt kilometrów! Niedawno i blisko. A pamiętam żyjące tam w najlepsze obyczaje sprzed wielu stuleci — na przykład stróżę.

Stróża to był kij sosnowy, ponacinany różnymi karbami, które chyba nic nie znaczyły. Stróżę przenosiło się co dzień do innej chaty i ten gospodarz, który ją z kolei otrzymał, musiał na noc wystawić wartownika. Był nim albo on sam, albo ktoś z domowników, oczywiście mężczyzna. Ponieważ stodoła mojego dziadka stała prawie dokładnie pośrodku wsi i wystawała z szeregu prawie takich samych stodół — przy niej najczęściej odbywali swoją nocną służbę społeczni strażnicy. Pamiętam, jak idąc wieczorem lub nocą od szosy widziało się z daleka czerwony, lekko migający punkcik — to strażnik palił któregoś z kolei machorkowego skręta. To było jedyne światełko, w chatach lamp nie zapalano, bo szkoda nafty i zresztą po co? Tam się chodziło spać i wstawało „z kurami", nawet tegary nie były potrzebne.

Od złodziei taki strażnik nie uchronił, przed awanturnikami się chował, bo oprócz karbowanego kija żadnej broni nie miał. Za to podczas burzy on pierwszy mógł dostrzec pożar i waląc swym kijem w blachę ze starego wiadra alarmował mieszkańców. Mnie też kiedyś — jako małego chłopca — poderwało to walenie tuż nad uchem, bo spałem właśnie w dziadkowej stodole. Paliła się kopa siana, trafiona piorunem, i długo pamiętaliśmy jakże malowniczą scenę rozrywania bosakami palącego się stogu, pod ulewnym deszczem, nocą, przez prawie nie ubranych chłopów.

Jakież to wydaje się zamierzchłe i egzotyczne! Ale nie: oto w „Głosie Robotniczym" redaktor Krystyna Majda najpoważniej w świecie proponuje, żeby lokatorzy dużych bloków stróżowali kolejno nocami na parkingach blokowych i strzegli przed złodziejami stojące tam samochody. Wracamy do wypróbowanych sposobów sprzed wielu pokoleń. — Obywatel Pcimski ma samochód? Niech obywatel weźmie dobry zapas machorki i kawał sosnowego kija. Może być kij z plastyku, a zamiast machorki — Marlboro z butiku. Niech siądzie pod blokiem na ławeczce i filuje na złodziei. Zamiast starego wiadra damy mu elektroniczną syrenę. Takie syreny już zresztą są w co drugim samochodzie i włączają się same, nie wiadomo od czego. Złodzieje kradną nadal po cichu.

Przed moim blokiem parkuje siedem — osiem samochodów, każdy był już chyba okradany co najmniej raz. Mieszkańcy sąsiednich bloków też mają samochody, ale stoją one z drugiej strony, albo za rogiem, albo od tyłu. Nie ma takiego punktu — i myślę, że w wielkim mieście jest to sytuacja normalna i powszechna — z którego można by obejmować wzrokiem dużą liczbę uśpionych samochodów. Więc do „naszych" siedmiu wozów trzeba by osobnego czuwacza. Czyli co siódmą noc padłoby na tę samą osobę. Jedna noc w każdym tygodniu nie przespana, więc potem oczywiście zwolnienie z pracy. Może nawet właściciele wozów zażądaliby specjalnie pięciodniowego tygodnia, wtedy przy ich stanowiskach pracy pojawiłyby się wywieszki: nieczynne w związku z nocną służbą parkingową...

Jest tych rozmaitych służb do licha i trochę, a jak przychodzi co do czego to mamy... organizować się społecznie, czyli na żadną z nich nie liczyć. Kolej ma na przykład własną Służbę Ochrony Kolei. I co? Ileż było przypadków, gdy ta służba kradła razem z pracownikami liniowymi, piła z nimi, kierowała wagony z ciekawszymi towarami na miejsca sprzyjające złodziejom („Przegląd Tygodniowy" podał, w wyniku 56 kontroli objętych akcją „Bezpieczne Tory" ujawniono w ciągu ośmiu miesięcy 19.400 osób podejrzanych o przestępstwa lub wykroczenia, prawie 800 nietrzeźwych pracowników...). Więc może pasażerowie wyłonią spośród siebie społeczną, ochotniczą służbę porządkową, a użytkownicy nadający do przewozu towary — sami, uzbrojeni w kije, będą ich pilnować aż do miejsca przeznaczenia? A potem wyłoni się spośród szczególnie czcigodnych starców społeczne ciało do pilnowania konwojentów, a potem...

Ponieważ mnożą się lawinowo kradzieże mieszkaniowe, ustalmy kolejkę czuwania w każdej klatce schodowej przez całą dobę, non stop. Czy to łatwiej niż po prostu zamykać na noc wejścia do domów mieszkalnych, jak to było jeszcze wiele lat po wojnie? Nie łatwiej, ale „jest propozycja". Podobna do tej o nocnym czuwaniu nad siedmioma samochodami.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Afery nie będzie

Włoski świat piłkarski przeżywa wielką aferę. Tygodnik „Epoca" wystąpił bowiem z wielkim oskarżeniem włoskiej kadry narodowej, że... kupiła remis u piłkarzy Kamerunu, a więc chwała włoskiej piłki nożnej, jej sukces na hiszpańskim Mundialu są dęte i fałszywe. Oskarżenie to straszne. Ten remis miał kosztować 100 000 dolarów. Trener reprezentacji i... „ojciec sukcesu", Enzo Bearzot zagroził dymisją, jeśli „Epoca" nie odwoła oszczerstw. Włoska Federacja Futbolowa zwróciła się do FIFA o podjęcie śledztwa i wyjaśnienie całej sprawy. Albo się zarzuty potwierdzą, albo „Epoca" stanie przed sądem oskarżona o zniesławienie. Ale dziennikarze tygodnika przeprowadzili rozmowy z 20 osobami, które podtrzymują oskarżenia. Rozmawiano też z kameruńskimi piłkarzami, między innymi z bramkarzem N'Kono. Głównym informatorem jest były członek kameruńskiej ekipy na Mundial w 1982 roku w Hiszpanii — Philippe Koutou.

We Włoszech zamęt i rozgoryczenie. Carlo de Claudio — przedstawiciel Włoskiej Federacji Futbolowej powiedział:

— Po fałszywych wspomnieniach Hitlera, fałszywych dziełach Modiglianiego, mamy fałszywy Mundial. Tego już za wiele.

I trudno mu się dziwić. Gdybym była Włoszką i w dodatku piłkarskim kibicem, też „wyszłabym z nerw", ale na szczęście nie jestem. Mogę spać spokojnie. U nas czegoś takiego nie będzie.

Pewnie, że zdarzają się u nas „niedziele cudów", sprzedaje się mecze, w klubowych ubikacjach, ktoś zapomina w umówionym miejscu o płóciennej torbie z pieniędzmi, a ktoś inny ją znajduje. To wszystko się zdarza. Ale przecież nikt nie oskarży naszej reprezentacji, że w Meksyku kupimy remis za 100 000 dolarów, bo — po pierwsze — ich nie mamy, a raczej mamy długi — a po drugie — wcale nie jest takie pewne, czy w ogóle będziemy grali w Meksyku. Raczej nie.

Nikt też nie oskarży szczecińskiej Pogoni, że na własnym boisku, za zachodnioniemieckie marki, dwa razy jej zawodnicy nie potrafili strzelić jedenastki. Oni po prostu tego nie umieli zrobić. Adam Kensy popisał się podobnym strzałem w meczu z Widzewem, a mecz ten poprzedził rewanżowe spotkanie z FC Koeln. Zresztą piłkarze Pogoni przed spotkaniem z FC Koeln przegrali kolejno cztery mecze: z Widzewem, GKS Katowice, Motorem Lublin i Górnikiem Zabrze. Z czym więc do gości?

A byli tacy teoretycy — przypomnijmy — którzy rozważali, że jeszcze szczecińscy piłkarze wygrają u siebie na boisku 0:1, to wtedy awansują. Teoretycy ci zakładali widać, że piłkarze z Kolonii będą przez 90 minut stali na boisku, Harald Schumacher wyjdzie z bramki i pozwoli wspaniałym piłkarzom ze Szczecina strzelić gola. Teoretycy ci zakładali — wbrew faktom — że piłkarze ze Szczecina w ogóle potrafią strzelać do bramki przeciwnika. A prawda jest taka, że ani w ostatnich czterech meczach w pierwszej lidze, ani w spotkaniu pucharowym w Kolonii nie strzelili ani jednego gola. Oni po prostu nie umieją strzelać! Smutne to, ale prawdziwe.

O naszym mistrzu, czyli o poznańskim Lechu w ogóle nie ma co pisać. Wojciech Łazarek powinien ostro wziąć się do roboty. Mistrz Polski wiele jeszcze musi się nauczyć, jeśli chce w przyszłości występować w pucharowych spotkaniach. To samo — niestety — czeka piłkarzy RTS Widzew. Prezes Ludwik Sobolewski — dla którego mam wiele uznania i szacunku — powinien już zwołać nadzwyczajne zebranie Zarządu RTS Widzew i nie tylko zastanowić się, co dalej z drużyną, ale i podjąć w tej sprawie niezbędne decyzje. Po dawnym Widzewie pozostały już tylko wspomnienia. Wspomnieniem jest też „widzewski charakter". Sensacyjny zakup, czyli Dariusz Dziekanowski bardziej przypomina kapryśną primabalerinę niż piłkarza o żelaznych nerwach i takiejż kondycji. Zmienność jego nastrojów i formy pewnie trenera Władysława Żmudę przyprawia o palpitacje serca, a kibiców o napady wściekłości. Włodzimierz Smolarek na ogół gra jak może, ale nie bardzo może, bo nie ma z kim grać. Tylko Henryk Bolesta ratuje honor piłkarzy Widzewa.

Ani w Danii, gdzie Widzew przegrał 1:0, ani w Radomiu, gdzie też przegrał 1:0, piłkarze RTS Widzew nie zachwycili. Awansowali wprawdzie do drugiej rundy pucharowej, gdzie teraz spotkają się z groźniejszym przeciwnikiem — Borussią Moenchengladbach, ale był to awans uzyskany siłą rozpędu, a nie dobrą grą w Danii. Po sensacyjnym popisie w Radomiu, gdzie piłkarze stracili nie tylko gola, ale zimną krew oraz umiejętności, gdzie też Dariusz Dziekanowski zarobił żółtą kartkę, a Krzysztof Kajrys czerwoną, wiele spodziewać się już nie można. I tym bardziej pilna staje się interwencja Zarządu RTS Widzew. Albo pasujemy z ambicjami i zakładamy przerwę na kilka lat, aż znów powstanie eksportowa drużyna, albo wszyscy, kto powinien i musi, wezmą się do solidnej roboty. Innego wyjścia nie widzę.

Jak z tego widać, żadnej afery u nas nie będzie, bo i też naszych piłkarzy już wkrótce nie będzie na zagranicznych boiskach. Jeszcze się wprawdzie ludzi nadzieją Antoni Piechniczek i kilku naiwnych kibiców, a przecież nad naszą reprezentacją wisi zupełnie realna groźba wyeliminowania już nie tylko przez Belgię czy Grecję, ale nawet przez Albanię.

Nie było „cudu nad Odrą", nie wierzę też w „cud nad Wisłą". Jak się nie umie grać w piłkę, to nie pomogą ani modlitwy, ani dobre życzenia.

BOGDA MADEJ

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 39

O tym, jak Kłobuk złoto w chleb zamienił

Joachimowi dobrze było u Brygidy, mile wspominał chwile u niej spędzone. Ojciec chodził po domu ponury, opryskliwy. Joachim odnosił wrażenie, że ucieka przed nim i dlatego każdą wolną chwilę spędza zamknięty w swoim gabinecie lekarskim, chociaż pacjentów miał mało. Nie zgodził się na propozycję Joachima, aby pójść z wizytą do Lubińskiego albo Porwasza. Chłopak po kilka godzin dziennie grał na skrzypcach, ale trochę nudził się na półwyspie. Niemal żałował, że na święta i ferie przyjechał do ojca, a nie pozostał u dziadków.

Dlatego, gdy tylko samochód doktora zniknął za bramą, popędził z Makuchową na przystanek autobusowy. Znowu siedzieli u Brygidy, pili wino i jedli ciasto, powtarzając tę samą co uprzednio rozmowę, tyle że innych słów używali. Brygida pozwoliła Joachimowi pobawić się chwilę jej dzieckiem, co go bardzo wzruszyło. „To nie jest dziecko twojego ojca" — oświadczyła. „Jak to, nie jest jego?" — zdumiał się Joachim. — Przecież wszyscy to mówią". Rozgniewał Brygidę: „W tym rzecz, że wszyscy to mówią. I robią mnie kochanką doktora, a to nie jest prawda". Gertruda dawała Joachimowi tajemne znaki za plecami Brygidy, więc powstrzymał się od dalszego roztrząsania tej sprawy. Nie znał prawdy, ale czuł, że jaka by ona nie była, tkwiło w niej trochę winy ojca. Chciał zresztą, żeby ojciec był czemuś winien, bo sam miał do niego pretensje, że jest taki ponury i opryskliwy. „On ma do mnie żal, że jestem podobny nie do niego, tylko do mojej matki" — żalił się Brygidzie. „To nie jest prawdą, Joachimie — broniła doktora Brygida. — Śmierć odebrała mu twoją matkę. A potem odebrano mu ciebie. Pomyśl, jaki musiał być nieszczęśliwy". Joachim był jednak wciąż przeciw ojcu: „A jego stosunek do kobiet? Myślicie, że jestem ślepy i głuchy? Nigdy nie zainteresował się porządną kobietą". Makuchową obrażały podobne słowa: „Zawsze mu przyprowadzałam porządne kobiety, Joachimie. Tego, co powiedziałeś, nie miałeś prawa mówić. To grzech, zresztą ty będziesz tak sam jak on, już ja to czuję. Taki sam był chorąży Niegłowicz". Brygida wtedy spytała: „Porządna kobieta? Co to znaczy: porządna kobieta? Ja jestem kobietą z nieślubnym dzieckiem, ale uważam się za porządną kobietę". Potem rozprawiali o historii doktora i Justyny. Walkowali tę sprawę, lecz w żaden sposób wyjaśnić jej nie umieli, pozostawała tajemnicą, jak cała osobowość doktora. „Musiał ją skrzywdzić i teraz ma wyrzuty sumienia" — twierdził Joachim. Na to Gertruda miała gotową odpowiedź: „Brygidę jeszcze bardziej skrzywdził, a żadnych wyrzutów sumienia u niego nie widać". Brygida protestowała: „Wcale mnie nie skrzywdził. Nie mówcie tak o nim. To dobry człowiek". Gertruda kręciła głową: „Jak będziesz tak o nim myślała, Brygido, to nigdy jego żoną nie zostaniesz". Brygida powtarzała: „Niczego od niego nie chcę. Mam swoją kobiecą godność".

W autobusie Gertruda tłumaczyła Joachimowi: „Sam się przekonałeś, że Brygida jest niezwykle dumna. Kocha go, ale tego nie okazuje. Nawet nie chce przyznać, że ma z nim dziecko. A on jeździ do Justyny i przez nią jeszcze w takie samo wariactwo popadnie. Nic go nie interesuje, do nikogo nie chodzi, pół obiadu zjada. Nawet z tobą nie ma ochoty pogawędzić jak kiedyś. Pomyśl, Joachimie, czy to jest w porządku, aby taka kobieta jak Brygida marnowała się przez niego? A już najbardziej żal mi tej małej dzieciny". Joachim zgadzał się z Gertrudą: „Ojciec nie jest w porządku, to jasne. Spróbuję z nim porozmawiać". Przeraził Gertrudę: „Wszystko, tylko nie to, Joachimie! On nie może wiedzieć, że ty czegoś się domyślasz, a broń Boże, że bywasz u Brygidy. Daj mi czas, niech ja coś obmyślę. Przecież musi się znaleźć jakiś sposób, żeby zapomniał o Justynie". Joachim pytał: „A to na pewno jego dziecko?" Makuchowa nie mogła się nadziwić takiemu pytaniu: „Na własne uszy usłyszałam, jak po jej powrocie ze szpitala proponował: dam mu swoje nazwisko, a ona uparła się, że bez ojca dziecko wychowa. Dumna jest. Tak, bardzo dumna".

Joachim nie potrafił rozgryźć tej sprawy. Ale to przecież nie była jedyna historia w Skiroławkach która wykraczała poza jego zrozumienie. Ludzie tu żyli inaczej niż w mieście, mieli swoje tajemnice, zawsze znało się jedynie połowę prawdy. Doszły do niego wiadomości, że to dziad jego chorąży Niegłowicz, wstał z grobu i z własnego pistoletu zastrzelił zbrodniarza Antka Pasemkę, gdyż nie mógł ścierpieć niesprawiedliwości. Potem ktoś mu szepnął, że to uczynił jego ojciec. A kiedy wypytywał o to sołtysa Wątrucha, usłyszał, że Antek sam się zastrzelił w lesie. I komu tu wierzyć? Czyim opowieściom zaufać? Kto znał prawdę i czy w ogóle istniała możliwość jej poznania? Nawet ojciec chyba nie o wszystkim wiedział, a także nie o wszystkim chciał wiedzieć. Tak mu kiedyś doradził: „Nie właź w krzaki tarniny, bo się podrapiesz. Sprawy ludzkie są bardziej drapieżne i bardziej ze sobą splątane niż tarnina". Czemu ojciec jeździł do jakiejś tam prostej kobiety wiejskiej, Justyny, którą podobno nawet niewiele znał? Dlaczego, jak twierdziła Gertruda, ona przyszła go zabić z karabinu? W jakich okolicznościach naprawdę zginął jej mąż, Dymitr? Co łączyło ojca z Brygidą? Dlaczego chciał jej dziecku dać swoje nazwisko, a ona tym wzgardziła? Czemu co innego mówiła Makuchowa, a co innego sama Brygida? Dlaczego Kłobuk przynosił szczęście, ale wobec spraw miłosnych bywał bezradny? Czemu Brygida się truła, a ojciec spalił jej list pożegnalny?

Któregoś popołudnia wszedł Joachim do białego pokoju i długo stał przed portretem matki. Kiedyś ten obraz wydawał mu się najładniejszy na świecie, a istota na nim przedstawiona — najpiękniejszą. Teraz, po tylu wizytach w galeriach sztuki, zdał sobie sprawę, że obraz wykonał kiepski malarz, portret jest bez żadnej wartości, matka na fotografii była zupełnie inna. Pokoju chyba nie używano od Wielkanocy, gdy miał tu swój krótki recital dla przyjaciół ojca. W nie wietrzonym pomieszczeniu pachniało stechlizną, dywan na podłodze był mokry i od spodu zapleśniały, pod parapetem okiennym rozprzestrzenił się szary grzyb. Portret i sprzęty po matce nie wywoływały w Joachimie żadnych żywszych uczuć. Pokój budził smutek, jak coś zaniedbanego, nie zamieszkanego, zapomnianego.

Ojciec siedział w salonie, w fotelu przy stojącej lampie i czytał. Joachim powiedział mu, co myśli o tym pokoju podobnym do ołtarzyka, przed którym nikt się nie modli.

— Co ty? Co ty mówisz, Joachimie? — oburzył się doktor. — Czy nie rozumiesz, że ranisz mnie bardzo boleśnie?

Poszedł jednak z Joachimem do białego pokoju, obejrzał pleśniejący dywan, bezkształtną plamę grzyba pod oknem, zawilgotniałe obicia kanapy i krzeseł.

— Trzeba tu będzie codziennie palić w piecu — zadecydował.

— To nie pomoże. Ktoś tu powinien mieszkać — ośmielił się stwierdzić Joachim.

— Kto? — ojciec natarł na niego marszcząc brwi.

Joachim wzruszył ramionami i udał się do Makuchowej, do kuchni. Tam było przytulnie, ciepło, przyjemnie, pachniało jedzeniem. Niegłowicz jednak nie zapomniał słów syna. Zapytał go podczas kolacji:

— Powiedz mi: kto? Kogo miałeś na myśli?

— Siebie — odparł natychmiast. — Czy już na zawsze mam się gnieździć na górze, gdy tu stoi pusty pokój? Lubię tamten pokoik na piętrze, ale tu jest lepsza akustyka.

— Gertruda napali w piecu i możesz go używać.

— Grać wśród tych białych mebli? Jak w muzeum? — przeczącо pokręcił głową.

Doktor opuścił głowę nad talerzem, ale po chwili podniósł twarz i uśmiechnął się do Joachima:

— Urządź go jak chcesz. Meble można przenieść na strych. To przecież wkrótce będzie twój dom.

Joachimowi zrobiło się przykro. Powtórzył tę rozmowę Gertrudzie, ale ta, o dziwo, wcale nie miała do niego pretensji.

— Nie żałuj go — powiedziała. — Znam go od małego. Ktoś musi nim porządnie potrząsnąć, bo gotów poczuć się stary i bezużyteczny. Czy myślisz, że on mnie potrzebuje? Albo ciebie? Przeszkadzamy mu tylko. Najchętniej siedziałby sam w tym fotelu przy lampie. Coś go odmieniło. Śmierć Pasemki albo choroba Justyny. Dlaczego nie poleciał do ciebie? Nie wiesz. I nikt tego nigdy nie będzie wiedział. Nosi w sobie coraz większe tajemnice i jest mu z nimi coraz ciężej. Komu ma się zwierzyć? Mnie? Tobie? Do takich rzeczy potrzebna jest kobieta. Choćby i najgłupsza. Im głupsza, tym więcej ciężaru weźmie od mężczyzny.

— Jeśli masz na myśli Brygidę, to ona nie jest głupia — zauważył Joachim.

— E, co ty tam wiesz — mruknęła.

Włożyła brudne naczynia do zlewozmywaka, narzuciła chustę na głowę i zaraz wyniosła się do swego domu. Joachim wziął do ręki książkę, usiadł w fotelu naprzeciw ojca. Czytali nie odzywając się do siebie ani słowem. Joachim znowu pożałował, że przybył na święta do Skiroławek.

Następnego dnia doktor jak zwykle wczesnym rankiem odjechał do pracy w ośrodku zdrowia. Joachim obudził się późno i samotnie jadł śniadanie przy ogromnym stole w salonie. W pewnej chwili doszedł jego uszu głośny jazgot psów na podwórku, a później tubalne głosy w sieni.

— Czy jest doktor? — wydawało mu się, że rozpoznał głos Jonasza Wątrucha. — Potrzebny jest nam pan Niegłowicz.

— Doktora nie ma. Ale jest jego syn, Joachim — powiedziała Gertruda.

Nastała chwila ciszy. Potem trzy męskie głosy stwierdziły niemal chórem:

— Nie ma doktora, ale jest jego syn, Joachim.

Do salonu weszli: Kondek, Wątruch i Kryszczak. — Byli czymś zaabsorbowani, że wpakowali się w ośnieżonych butach, w czapkach na głowach.

— Jest taka sprawa, Joachimie — oświadczył Kondek. — Trzeba wziąć strzelbę i pójść do kowala Malawki. Zabarykadował się w swoim domu i grozi siekierą każdemu, kto chce do niego wejść.

— Słoik ze złotem znalazł pod schodami dawnej szkoły — tłumaczył Erwin Kryszczak. — Chwycił słoik i schował się w domu. A złoto jest wspólne, skoro pod schodami dawnej szkoły leżało.

— Konia przyszedłem do niego podkuć — opowiadał Kondek. — Przednie kopyta, żeby się nie ślizgał po lodzie. U Zygfryda Malawki w kuźni piźmaki od jeziora kanał podziemny wykopały. Malawka wpadł w dół piźmaków, zeźlił się, poszedł na drugą stronę drogi do tego miejsca, gdzie kamienne schody pozostały po dawnej szkole. Jeden kamień odwalił i do dołu piźmaków wrzucił. Drugi kamień odwalił i pod kamieniem słoik ze złotem znalazł. Chwycił go i umknął do domu. Teraz grozi śmiercią, jeśli ktoś do niego wejdzie. A złoto jest nasze. Wspólne.

— Złoto trzeba oddać państwu — oświadczył sołtys Wątruch. — Ludzie gotowi złotego cielca sobie zrobić i kłaniać mu się jak kiedyś. Grzech z tego może być wielki.

— Co tam grzech — Kryszczak niegrzecznie popchnął sołtysa. — Złoto każdemu się należy. Choćby każdy miał dostać po malutkim kawałeczku. Trzeba wziąć strzelbę, Joachimie, pójść do Malawki i złoto mu odebrać.

Joachima ogarnęła wesołość.

— Tylu was jest, a on jeden.

— Z siekierą stoi za drzwiami. Kto wejdzie, temu głowę odrąbie — tłumaczył Kondek i aż trząsł się z chciwości na myśl o złocie. — Strzelby trzeba! Z gołymi rękami strach podejść do Malawki.

— Strzelbę ma pan Turlej, Porwasz, pan Lubiński — wyliczał Joachim, który nie chciał się przyznać, że nigdy w życiu strzelby ojca w ręku nie trzymał.

Jonasz Wątruch zdjął z głowy czapkę futrzaną i lekceważąco machnął nią w powietrzu.

— To nie na głowy tamtych ludzi. Nie odważą się pójść do Malawki nawet i ze strzelbą. Doktora nam potrzeba Niegłowicza.

— Ojca nie ma w domu — przypomniał Joachim.

— To nic — rzekł Kryszczak. — Nie ma doktora, ale ty jesteś, jego syn, Joachim.

Sołtys Jonasz Wątruch dodał:

— Takie sprawy w wiosce zawsze załatwiał Niegłowicz. Tak było i tak będzie.

I raptem z Joachimem stało się coś dziwnego. Poczuł w sobie jakąś ogromną siłę i odwagę. Skąd się w nim wzięła — nie wiedział. Czy z pamięci o historiach chorążego Niegłowicza? Czy z opowieści o ojcu, który mając kilkanaście lat ze starego manilichera zabił brodacza, dowódcę bandy rabusiów? A może ta siła szła od tych trzech mężczyzn, płynęła z ich wiary w jego moc olbrzyma?

Podniósł się Joachim od stołu. Otarł usta, w sieni narzucił na siebie palto i na głowę włożył kapelusz. Tak ubrany wyszedł na ganek, a za nim chłopi.

— A strzelba, Joachimie? — zwrócił mu uwagę Kryszczak.

— Mnie strzelba niepotrzebna — powiedział, bo nie chciał się przyznać, że nigdy jej w ręku nie trzymał.

Makuchowa zabiegła mu drogę.

— Nie pozwolę ci, Joachimie...

Odsunął ją z drogi i poszedł, a tamci za nim truchcikiem biegli, gdyż Joachim był wysoki i krok miał długi. Makuchowa podreptała do domu, dopadła telefonu i kazała się połączyć z ośrodkiem zdrowia w Trumiejkach.

A tamci szli ośnieżoną drogą koło leśniczówki Blesy, a potem przez całą wieś. Joachim pierwszy, z twarzą bledszą niż zwykle, a reszta za nim. Joachim milczał, strach i odwaga miotały nim na przemian, droga przez wieś wydawała mu się niezwykle długa. Tamci zaś gadali między sobą.

— Tylko dotknąć, chciałbym tylko dotknąć tego złota — mówił Kondek. — Pogłaskać taki malutki kawałeczek złota. Popatrzeć na jego blask. Żeby aż oślepił.

— I zabrać po kawałku — upierał się Kryszczak. — Bo złoto było pod schodami dawnej szkoły. To znaczy, że jest wspólne.

— Państwowe ono jest — twierdził sołtys. — Od złota rozum wam się pomieszać może, krew się zacznie lać.

Szli i szli, ślizgali się po zlodowaciałym śniegu. Joachim myślał o Zygfrydzie Malawce, który miał w domu słoik ze złotem i stał za drzwiami z siekierą w dłoni. Kowala nie znał, nigdy z nim nie rozmawiał, bo Malawka z nikim nie rozmawiał. Ale wiele razy go widywał, kilkakrotnie zaglądał do jego kuźni i patrzył, jak uderzeniami młota rozgrzana do czerwoności sztabkę żelaza wygina jak wałeczek plasteliny, robi z nią, co zechce — liście do żelaznego wieńca na krzyż cmentarny, zawias do drzwi, szczypce do węgla. Jak wszyscy we wsi lubił i Joachim słuchać dzwonienia młota dochodzącego z kuźni. Kowal był silnym mężczyzną. Jednym zamachem siekiery mógłby zdjąć głowę z karku. A stał, jak mówiono za drzwiami i bronił złota. Jego ojca, doktora, może by się uląkł, szczególnie gdyby ojciec miał broń w ręku. Ojciec był podobny do dziada chorążego, którego wszyscy we wsi słuchali i czuli przed nim respekt, bo nosił pas z pistoletem wojskowym. Ale Joachim? Kim był Joachim? Młodzieńcem, który grał na skrzypcach; widywano go jedynie ze smyczkiem, a nigdy ze strzelbą. Ojciec był straszny nawet i bez strzelby — ratował życie chorym, towarzyszył ludziom przy śmierci. Joachim nikomu nic nie zrobił złego i dobrego był nikim, tylko synem doktora Niegłowicza. To się wydawało dużo dla Kondka, Wątrucha i Kryszczaka, lecz czy tak samo wiele znaczyć będzie dla Malawki?

Przed domem kowala aż czarno było od zgromadzonego tam tłumu. Przed drzwiami tłoczyli się mężczyźni i kobiety z dziećmi na rękach. Starsze dzieci płakały, trzymając się matczynych spodnic. Nad tłumem górowała wielka i czarna jak osmalony sagan głowa cieśli Sewruka w skórzanej pilotce. Ludzie tłoczyli się, ale przy samym wejściu było luźno — nikt nie śmiał dotknąć starej klamki w drzwiach powykrzywianych od deszczów i słońca. Za tymi drzwiami krył się kowal z siekierą w dłoni, a w jego izbie za oknem zasłoniętym firanką, zapewne na środku stołu znajdował się słoik ze złotem.

Dopiero w tej chwili poczuł Joachim, co to znaczy strach, ponieważ ujrzał strach w oczach innych ludzi. Strach i chciwość. Ale strach był chyba większy — to on ustalał dystans między dłońmi i klamką, paraliżował siłę tylu mężczyzn równie mocnych jak kowal.

Rozstąpili się ludzie na widok Joachima. A on spojrzał w niebo, które było sine i puste. Potem podszedł do drzwi i uderzył w nie pięścią.

Nastała chwila zupełnej ciszy, aż z drugiej strony, zza drzwi usłyszeli głos Malawki:

— Siekiera głowę odrąbię...

— To ja, Joachim, syn doktora Niegłowicza, Joachim Niegłowicz. Wpuść mnie do siebie, kowalu — piskliwym głosem przemówił młodzieniec.

Znowu trwała straszna cisza, potem lecuteńko drgnęła klamka, drzwi się uchyliły, ukazując czarną czeluść. Joachim zniknął w tej czeluści, drzwi znowu się zamknęły, klamka zapadła.

— Jezus, Maria, Józef — przeżegnała się głośno Lucyna Jarosz.

Wytężyli słuch, czy nie dojdzie do ich uszu przedśmiertny krzyk Joachima, łoskot upadającego ciała. Zamiast tego wstrząsnął nimi pisk hamulców, wóz doktora niemal obrócił się w miejscu przed domem Malawki, koła osypały ludzi zlodowaciałym śniegiem.

Doktor wyskoczył z samochodu, roztrącił tłum ludzki, dopadł drzwi, chwycił za klamkę. Drzwi ustąpiły bez oporu i, podobnie jak Joachim, doktor zniknął w ciemnej czeluści sieni. To nic, że doktor przyjechał tu prosto z Trumiejek i nie miał przy sobie strzelby. Jeśli Joachimowi stała się krzywda, nie będzie kowala wśród żywych — tak ludzie myśleli a Jonasz Wątruch głośno powiedział:

— Przez złoto zawsze krew się leje...

W czarnej od brudu izbie paliła się goła żarówka, gdyż okno zasłonięto jakąś szmatą. Przy kulawym stole zobaczył doktor siedzących na dwóch zydlach Joachima i Malawkę, który raz po raz sięgnął do słoika i wyciągał z niego jakieś pożółkłe fotografie. Na czarnej od sadzy twarzy kowala łzy zrobiły jasne ścieżki od oczu ku brodzie.

— Na tym zdjęciu, panie Joachimie, widać dom moich rodziców. O tam, za tymi pelargoniami w oknie siedzi moja matka. Nie ma już tego domu, panie Joachimie... To zaś jest restauracja mojego wuja. Teraz tam rośnie bukowy las. To szkoła, panie Joachimie... W tym oknie na prawo widać głowę mojego starszego brata, a w tamtym głowę mojej siostry, bo ona była w niższej klasie. Mnie jeszcze wtedy chyba nie było na świecie...

Doktor Niegłowicz wziął w swoje dłonie stare fotografie i popatrzył na twarze ludzi, którzy już dawno tutaj lub gdzie indziej pomarli. Ale ze zdjęć wciąż się uśmiechali. I były na tych zdjęciach domy, po których śladu nie zostało, i inne, gdzie teraz mieszkali zupełnie nowi ludzie. Jedynie jezioro wyglądało tak samo jak teraz.

Zygfryd Malawka rozmazywał łzy na policzkach i mówił. Wciąż mówił do Joachima, a potem do doktora. Prawie trzydzieści lat milczał, a teraz jakby się w nim jakieś drzwi otwarły dla słów i wspomnień; tego potoku słów nie potrafił opanować. I mówił, mówił, mówił...

W słoiku znalazł doktor kartki na chleb z okresu wojny już niemal zapomnianej, bo ta druga, co po niej przyszła, okazała się po stokroć gorsza. I była też kartka podpisana przez leśniczego Ruperta z Blesów, że słoik ów, kartki na chleb i fotografię, zostają zamurowane pod schodami szkoły na pamiątkę faktu, że tę szkołę wybudowano wspólnymi siłami całej wioski w czasach zawieruchy wojennej. „Na wieczną rzeczy pamiątkę" — zaznaczył na końcu leśniczy Rupert, który miał ładny charakter pisma, każda gotycka litera odznaczała się niezwykłą elegancją.

Doktor domyślił się, że kowal Malawka wstydzi się swych łez i swego wzruszenia. Tedy słoik z fotografiami i kartkami na chleb wyniósł na dwór i zebranym przed domem ludziom pokazał. Odczytał im też pismo leśniczego Ruperta.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

c.d.n.